

PROF. PIOTR CZAUDERNA:

SZPITALNA AFERA PODWAŻYŁA ZAUFANIE PACJENTÓW DO LEKARZY



NOWY RPO: RZECZNIK BEZPRAWIA



NAJEM KRÓTKOTERMINOWY, CZYLI RZĄD KONTRA MIESZKAŃCY



POLOWANIE NA UFO

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

31 (713) 2026
27 lipca – 2 sierpnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 31
Numer w sprzedaży do 3 VIII 2026 r.

TYLKO U NAS

WSTRZĄSAJĄCE KULISY ZBRODNI

DRAMATYCZNA RELACJA MARIUSZA PILISA Z PRAC EKSHUMACYJNYCH NA WOŁYNIU. POTWIERDZAJĄ SIĘ NAJSTRASZNIEJSZE RELACJE ŚWIADKÓW



MŁOTY DO OGŁUSZANIA BYDŁA PRZED UBOJEM

Kawa Wikło

wPolsce 24

Od poniedziałku do piątku o **9:00**

Stawiamy mocne diagnozy, by wchodzili Państwo w nowy dzień z pełnym obrazem sytuacji

O 9:00 zamykamy tematy z poprzedniego wieczoru i wyciągamy na światło dzienne to, o czym Polska będzie mówić przez resztę dnia



Marcin Wikło

Marzena Kawa

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube TelewizjawPolsce24

eprasa.pl ca127791e6

Ten system ma upaść



Może problemy w ochronie zdrowia zeszły ostatnio w debacie publicznej na drugi plan – bo Prawo i Sprawiedliwość postanowiło zainteresować wszystkich własnymi sprawami – ale to nie znaczy, że zniknęły z serc i umysłów Polaków.

Ilu z nas uważa, iż rząd radzi sobie z aferami w ochronie zdrowia zdecydowanie dobrze? 0,4 proc.! 17 proc. mówi: raczej dobrze, aż 77 proc. zaś uważa, że źle, z czego aż 48 proc., że zdecydowanie źle (United Surveys dla Wirtualnej Polski). Do tego 49 proc. badanych domaga się dymisji minister zdrowia, a broni jej ledwie 19 proc., czyli nawet około jedna trzecia elektoratu KO nie ma o niej dobrego zdania (SW Research dla „Dziennika Gazety Prawnej").

To dramat dla Donalda Tuska. Dlatego w tradycyjnej pogadance przed posiedzeniem rządu poruszył tylko jeden temat – propozycje Jolanty Sobierańskiej-Grendy, które przyjął jako własne i postanowił sprzedać nam jako cudowny lek. Tyle że to nawet nie jest placebo.

Premier z dumą ogłosił bowiem, że limit zarobków lekarzy (bo to oni mają być głównymi winowajcami zapaści systemu) wyniesie 76,8 tys. zł brutto miesięcznie (to kosmiczna kwota), pod warunkiem że komuś uda się wykręcić dwa etaty.

Załóżmy, że lekarze są wyjątkową grupą zawodową, prawdziwymi herosami, którzy świetnie odnaleźliby się w XIX-wiecznych fabrykach i nie przeszkadzałaby im praca 16 godzin na dobę. Załóżmy, że pacjenci nie muszą się martwić, czy lekarz, który jest od 15 godzin na nogach, dobrze ich zbada i postawi trafną diagnozę. Nawet w takich warunkach remedium ogłoszone przez Tuska to kolejna ściema. Bo ograniczenie zarobków dotyczy wyłącznie pracowników etatowych, a nie obejmuje tych na kontraktach. Ci ostatni stanowią zaś niemal dwie trzecie wszystkich medyków. Jaki więc problem to rozwiąże? Żaden. Wręcz przeciwnie, spowoduje ucieczkę lekarzy z państwowych lecznic do prywatnego biznesu. A ponieważ obecny gabinet sprzyja prywatyzacji szpitali, to wszystko będzie się zgadzać. Czy ktoś w rządzie przejmie się tym, że kolejki się wydłużą, czas oczekiwania na zabiegi takoż, a kolejne oddziały albo nawet całe szpitale padną? Absolutnie nie. Jak dowiadujemy się niemal każdego dnia, oni mają „swoje" publiczne lecznice, a ich elektorat zwykle stać na prywatną opiekę medyczną.

Ci niszczyciele znów skupiają się na tandetnym PR, a nie na zapobieganiu katastrofie. Przecież rządowe propozycje nic nie mówią o sposobach zasypania dziury budżetowej w NFZ (a nie powodują jej zarobki lekarzy), systemowych oszczędnościach. Nie usłyszeliśmy nic o tym, jak zwiększyć liczbę specjalistów w szpitalach, jak otworzyć zawody medyczne.

Ale jest plan, by skrócić staże do sześciu miesięcy i jak najszybciej kierować lekarzy do pracy. Czy oni będą nas leczyć lepiej? Nie, będzie więcej pomyłek i krzywd pacjentów. Czy ktoś się tym przejmie? Nie, bo Polska i tak jest na szarym końcu europejskich statystyk, jeśli chodzi o odpowiedzialność medyków za błędy. Na 100 tys. lekarzy uprawnienia traci 1 (słownie: jeden). A w Skandynawii – blisko 100. Może czas ukrócić praktyki samorządów lekarskich, opornych na karanie swoich?

Nikt nie zamierza niczego zrobić z upolitycznieniem ochrony zdrowia. Przychodnie i szpitale są łakomym kąskiem dla politycznych sitw, obsiadających ich zarządy i rady, co najlepiej pokazała afera w warszawskiej KO. Gdyby rządowi naprawdę zależało na jej wyjaśnieniu, Dawid Kacprzyk już dawno miałby postawione zarzuty, a jego telefony, komputery i dokumenty byłyby przeanalizowane przez prokuratorów. Nic takiego się nie wydarzyło, choć minęło już ponad 40 dni od ujawnienia skandalu. Były szef młodzieżówki partii Tuska może spokojnie zacierać ślady. Trudno oprzeć się wrażeniu, że celem jest tu ochrona jego politycznych patronów, którzy w zamian za preferencyjne traktowanie w dumie Trzaskowskiego (czyli w Szpitalu Południowym) dali mu mnóstwo czasu na mataczenie.

Rząd Tuska z premedytacją nie robi nic, by ten system naprawić. A zatem plan musi zakładać jego upadek.

Marek Pyza



17 lipca 2026 r. odszedł do Pana

Śp.

Ryszard Mularczyk

wybitny nauczyciel i wychowawca,
Ojciec Posła do Parlamentu Europejskiego
Arkadiusza Mularczyka.

Naszemu Drogiemu Koledze
wraz z Rodziną
wyrazy najgłębszego współczucia
i słowa modlitewnej otuchy

składa w imieniu Prawa i Sprawiedliwości
oraz własnym
Jarosław Kaczyński

21/0726/F

Autopromocja

eprasa.pl ca127791e6

SIECI spis treści



35 Węgierska lekcja dla polskiej prawicy
Piotr Gursztyn



41 Nawrócenie J.D. Vance'a
Goran Andrijanić



47 Broń powstańców warszawskich – czym naprawdę walczyła Armia Krajowa
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **IDEOLOGICZNY KOLONIALIZM**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **RUDY I BRUDY**
MuMa

9 **RACHUNEK ZA EUROPEJSKIE ŻYCIE NA KREDYT**
Arkadiusz Mularczyk

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **METANOWA PUŁAPKA BRUKSELI. JAK KOMISJA EUROPEJSKA DUSI EUROPĘ W IMIĘ KLIMATU**
Daniel Obajtek

13 **RAZEM ZNACZY SKUTECZNIEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA AGNIESZKI PACZUSKIEJ-KORKUĆ**
Michał Korsun

16 **STRACH SIĘ BAĆ!**
Lech Makowiecki

17 **TO JUŻ NAWET NIE JEST ŚMIESZNE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

18 **KAINIE, GDZIE JEST TWÓJ BRAT ABEL?**
Mariusz Pilis

KRAJ

23 **RZECZNIK BEZPRAWIA**
Marzena Nykiel

26 **OSOBNO RAZEM**
Stanisław Janecki

29 **AFERY SZPITALA POŁUDNIOWEGO NIE ZAMIOTĄ DO WYBORÓW**
Z Piotrem Czauderną rozmawia Jerzy Szmit

32 **ZAMACH NA MIR DOMOWY**
Konrad Kołodziejski

35 **WĘGIERSKA LEKCJA DLA POLSKIEJ PRAWICY**
Piotr Gursztyn

ŚWIAT

38 **REWOLUCJA FEDOROWA**
Marek Budzisz

41 **NAWRÓCENIE J.D. VANCE'A**
Goran Andrijanić

NAUKA

44 **POLOWANIE NA UFO**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

47 **BROŃ POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH – CZYM NAPRAWDĘ WALCZYŁA ARMIA KRAJOWA**
Stanisław Płużański

50 **AMERYKA MA POZOSTAĆ SILNA**
Maciej Walaszczyk

WSPOMNIENIE

53 **ZAUFAŁ PANU BOGU**
Piotr Słabek

SPORT

56 **ŚWIAT WPADŁ W CZERWONĄ FURIĘ**
Michał Muzyczuk

SIECI KULTURY

59 **OD PARKERA DO ASTAIRE'A**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

64 **PREMIER LECI W KOSMOS, A ZIEMIA CZEKA NA KONKRETY**
Maciej Wośko

NATURA DLA LUDZI

66 **CZY ZWIERZĘTA WSPÓŁCZUJĄ?**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: BARBARA PAWLUK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **PIĘĆ HISTORII**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **„RZYG, RZYG, WYMIOT"**
Ryszard Czarnecki

74 **KOBIETA KONSERWATYWNA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl ca127791e6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ideologiczny kolonializm

15 lipca br. w PE na zaproszenie grupy ECR, do której należy m.in. PiS, wystąpił kardynał z Gwinei, Robert Sarah. Tematem jego wykładu były relacje europejsko-afrykańskie, ale wypowiedź gwinejskiego duchownego zdecydowanie wykraczała poza nie. Stanowiła głęboką analizę przyczyn obecnego kryzysu Zachodu, a zwłaszcza Europy.

Sarah mówił wprost, że mechanizm warunkowości, rozbudowywany dziś przez KE, służy podporządkowywaniu sobie państw afrykańskich i jest nową formą kolonializmu. To metoda narzucenia panującej dziś na Zachodzie ideologii. Pod szyldem praw człowieka oraz propagowania praworządności jej rzecznicy odwracają znaczenia fundamentalnych pojęć, dotyczy to również prawa. Nowi kolonizatorzy prezentują siebie jako wcielenie postępu i rozumności, ale w rzeczywistości usiłują przedefiniować idee, które legły u podstaw chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej.

„W relacjach między Unią Europejską a Afryką słowa są dziś używane nie po to, by ujawniać rzeczywistość, lecz by ją ukrywać, a nawet wywracać do góry nogami" – akcentował Sarah i cytował Leona XIV: „Na nowo potrzebujemy słów, żeby wyrażać jasno i klarownie jednoznaczne rzeczywistości. Tylko w ten sposób można wznowić autentyczny dialog bez nieporozumień. [...] Kiedy Europa konstruuje prawa oderwane od prawdy o ludzkości – aborcję usiłuje się podnieść do rangi prawa podstawowego, a tożsamość seksualną sprowadzić do czysto subiektywnego samostanowienia – sam rozum ulega wypaczeniu: z narzędzia poznania prawdy staje się narzędziem władzy, które siłą prawa i pieniędzy narzuca te przesłanki tym, którzy ich nie podzielają" – wskazuje kardynał. – „Aby w pełni zrozumieć ten kryzys słów, musimy cofnąć się do głębszego źródła: kryzysu samego rozumu" – twierdzi Sarah i przywołuje sławny wykład Benedykta XVI z 2006 r. w Ratyzbonie, w którym papież odwołał się do wypowiedzi bizantyjskiego cesarza Manuela II Paleologa: „nie działać zgodnie z rozumem jest sprzeczne z naturą Boga".

Odrzucenie natury rzeczy, a w konsekwencji człowieka, jest odbieraniem mu godności, deklarował Sarah, odwołując się do pierwszej encykliki obecnego papieża Leona XIV. Godność prezentowana jest jako zasada ideologii emancypacji, ale w jej ujęciu zostaje pozbawiona swojego elementarnego znaczenia. Jeśli kwestionujemy samą naturę człowieka, to jak możemy mówić o jego godności: kogo godność ta ma dotyczyć i co ma znaczyć?

Dziś oficjalnie pomoc dla Afryki ma być uzależniona od akceptacji przez jej kraje ideologii gender, zgody na bezwarunkową aborcję i faktycznego rozmontowania rodziny poprzez przyjęcie tzw. związków partnerskich. To uderzenie w fundamenty kultury ludów tego kontynentu, o poszanowanie których apelował gwinejski kardynał. Problemy współczesnej Afryki, jej bieda nie pozbawia godności jej mieszkańców – przypominał. „Bądźcie gotowi przyjąć od Afryki to, co może ona jeszcze zaoferować znużonemu Zachodowi: świadectwo żywej wiary i wartość rodziny, które mogą pomóc Europie na nowo odkryć swój logos" – to przesłanie, które do Parlamentu Europejskiego skierował kard. Sarah, nie odnosi się wyłącznie do relacji afrykańsko-europejskich. Neokolonialną postawę establishment europejski prezentuje także wobec europejskich państw postkomunistycznych, których narody po swoich historycznych doświadczeniach są dużo ostrożniejsze wobec kulturowych eksperymentów narzucanych im przez Brukselę i bardziej uwrażliwione na ideologię jako narzędzie dominacji.

Mechanizm warunkowości, który piętnował afrykański duchowny, testowany był po raz pierwszy na Polsce za rządów PiS, a spowodowane tym wstrzymywanie kredytów z KPO być może doprowadziło do utraty władzy przez tę partię z wszystkimi konsekwencjami, jakich doświadczamy obecnie. Ta metoda arbitralnej presji ma zostać wpisana w ramy nowego budżetu UE, a zatem relacje ekonomiczne mają stać się narzędziem uzależniania państw wspólnoty od jej gremiów decyzyjnych.

W Polsce chrześcijaństwo, patriotyzm oraz szacunek do rodziny są jeszcze ciągle żywe i dlatego stanowią obiekt ataku ze strony władających w Europie i ich namiestników w naszym kraju jako kulturowe atawizmy, które trzeba wyplenić na drodze postępu, modernizacji oraz europeizacji. Służy temu reforma edukacji, która pomimo sprzeciwu rodziców jest wprowadzana przez obecny rząd. Taki cel mają kolejne projekty ustaw o związkach partnerskich czy „osobach najbliższych", które pod humanitarnymi szyldami wymierzone są w małżeństwo i rodzinę.

Odwracanie znaczeń słów, które wskazywał Sarah, jest zasadniczym elementem panującej dziś ideologii. Narzuca ona nowy język, który uniemożliwia zrozumienie natury człowieka i ukonstytuowanie zgodnego z nią społecznego porządku. Prowadzi do rozbicia tradycyjnych tożsamości i pozostawia samotną jednostkę bezbronną wobec dominujących obecnie neokolonialnych układów, a narody pozbawia podmiotowości.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ca127791e6



Sygnalista nadaje

Strona demokratyczna ma frajdę – jak rzekł Pan Premier Donald Franciszek – z powodu tego, co się dzieje w PiS. Przesyłamy wyrazy wdzięczności dla panów Patryka, Marcina, Kacpra, Tobiasza, Mateusza i kilku innych. Dyplom „Zasłużony dla Platformy" już w drodze! Niestety nie wiemy, jak długo potrwa radość strony demokratycznej. Do pokłóconych kaczystów dotarła informacja, jakie będą konsekwencje ich dalszych awantur. Najgorszą nie jest to, że Pan Premier Tusk będzie rządził jeszcze jedną kadencję (niektórym to nie przeszkadza, bo w opozycji jest w sumie fajniej, niż harować jako jakiś wiceminister). Jest jednak taka informacja, która przeraziła kierownictwo oraz aktyw partii kaczystowskiej. Gdy PiS przystanie być największym klubem w Sejmie, straci ten fajny korytarz w łączniku między gmachem głównym a Senatem. A to naprawdę świetna miejscówka i przyjemne gabinety. A pisożerczy Włodek już na to czyha!

Jak nie ma przestrzeni, to nie ma przestrzeni! Czego nie rozumiecie, roszczeniowe nieroby? Ministerstwo ds. Dziury Budżetowej poinformowało personel sfery budżetowej, aby spadał na drzewo z żądaniami podwyżek pensji. „Nie ma przestrzeni na nowe wydatki ponoszone z budżetu państwa w najbliższych latach budżetowych, w tym w szczególności na zwiększenie wynagrodzeń w administracji publicznej" – czytamy w projekcie jednej z ustaw podpisanym przez samego ***Endrju Domańskiego***. Ministerstwo apeluje o chwilę cierpliwości. Długą chwilę. A nawet bardzo długą. Bo w przyszłym roku też nie będzie przestrzeni. A potem będzie kolejna, czwarta już kadencja premiera Tuska. A wtedy to już na pewno nie będzie przestrzeni na zwiększenie wynagrodzeń. Ale za to będzie przestrzeń na ich zmniejszenie.

Uwaga, uwaga! PSL w każdym paczkomacie. Ale tylko InPostu. ***Rafał Paczkomat-Brzoska*** wesprze w kampanii wyborczej Władysława Kosiniaka-Kamysza. Wizerunkowo. Są już po słowie, ale nie ma jeszcze informacji, czy było już buzi-buzi. Analitycy rynku politycznego i sceny paczkowej zwracają uwagę, że ta ciekawa inicjatywa łączy się też z niebezpieczeństwami. PSL brzmi prawie jak DHL. Jest ryzyko, że elektorat i klienci zaczną mylić oba podmioty. Zwłaszcza, że oba są równie pazerne na pieniądze. Pierwsi biorą z budżetu, drudzy do niego nie wpłacają.

Alarm w „Gazecie Wyborczej". Czytamy w niej: „Najnowsze badania CBOS-u powinny zapalić czerwoną lampkę w rządzie jako takim. W ciągu miesiąca o 6 proc. spadło zaufanie do premiera, do Kosiniaka-Kamysza, Marcina Kierwińskiego i Andrzeja Domańskiego. Mała pociecha, że również do coraz bardziej kłopotliwego wizerunkowo Rafała Trzaskowskiego. Po raz pierwszy od września 2025 roku, a więc od kryzysu wiary i sondaży po przegranych wyborach prezydenckich, poparcie rządu spadło poniżej 30 proc.". Jaka czerwona lampka? Przecież trzeba patrzeć przez różowe okulary! Czy wy znacie choć jedną osobę, która głosuje na PiS? Zwłaszcza teraz.

Poza tym polityka rządu to nieustające pasmo samych sukcesów. Pan Premier zapowiedział, że każdy z nas bę-

eprasa.pl ca12779166

dzie jeździł superszybkim pociągiem, jak jakiś Chińczyk czy inny Japończyk. Brzmi obiecująco, bo pamiętamy hasło „Drugiej Japonii". A jeśli chodzi o deficyt budżetowy, to już realizowane. „I nie ma w tym słowa przesady" – powiedział jak zwykle skromnie przywódca Tenkraju. A jak wiadomo, u niego obietnica cenniejsza od każdych pieniędzy. Premier Donald Franciszek ogłosił swój kolejowy konkret w czasie wydarzenia „Najnowocześniejsza w Europie – nasza kolej". Czujemy, że to hasło zostanie z nami dłużej, jak np. słowa „Sorry, taki mamy klimat".



A Koalicja Obywatelska umie w infrastrukturę! Tylko nie umie się tym chwalić. Tak jak Hanka Zdanowska, charyzmatyczna i wizjonerska prezydentka miasta Uć. Jej ogromnym sukcesem jest inwestycja na miarę XXII w. Hanna ustawiła na ulicach swojej metropolii 165 tojtojek dla tych mieszkańców, którzy mieszkają w kamienicach, gdzie od 150 lat nie ma kanalizacji. I nadal nie będzie, bo po samoistnej destrukcji wspomnianych kamienic teren zostanie przekazany deweloperom. Airbnb i inne tego rodzaju inwestycje. Dzięki proinnowacyjnej polityce prezydentki Hanny miasto Uć zasłużyło na określenie smart city (bo to sprytne, c'nie?). A także miasta 15-minutowego, bo niektórzy lokatorzy potrzebują tyle czasu, aby dotrzeć do najbliższej tojtojki.



Idzie sprawiedliwa odpłata za krzywdy, które spotkały Judyma naszych czasów, czyli ***Dawida Kacprzyka***. Do prokuratury wpłynęło zawiadomienie o przestępstwie, które popełnił niejaki dr Emil Jędrzejewski. Miał poświadczać nieprawdę, zawyżać zakontraktowane procedury i robić inne świństwa, które lekarzowi Dawidowi nawet by do głowy nie przyszły. Bo, jak wiadomo, ten młody altruista pracował prawie za darmo, dzień w dzień, nie śpiąc i nie opuszczając sesji rady dzielnicy Ursus (dieta – 300 zł).



Ukryta w prokuraturze opcja ziobrystowska usiłuje zamęczyć płk. Mazgułę, legendarnego opozycjonistę z czasów stanu wojennego. Pułkownik jest maltretowany groźbą postawienia zarzutów za znieważenie tego Nawrockiego z Gdańska, który sfałszował wybory prezydenckie. Jest faktem, że pułkownik pojechał długą wiązanką pod jego adresem na swoim fejsie. Ale napisał to samo, co mówi poseł Frysztak z Radomia i poseł Zembaczyński z Opola. To samo, co mówią tak wybitni intelektualiści strony demokratycznej, jak pan Tomek Wiejski, pan SokzBuraka i pani Michalik Eliza. Głowa do góry! Losowanie sędziów skończy się kompromitacją kryptoziobrystów z prokuratury. Nie ma praworządności dla wrogów praworządności (tak jak my ją rozumiemy).



Olek Kwaśniewski, prezydent wszystkich, ale to wszystkich Fajnopolaków, ma stany lękowe. Nie ogarnia soszial mediów i z tego powodu się ich boi. „Mojego tatę to przeraża. Te wszystkie social media dla niego to jest w ogóle jakieś dzieło szatana" – wyznała Ola, córka Olka. Jolka, żona Olka, też tego nie ogarnia. I też się boi. Smutna sprawa, bo gdyby np. Jolka ogarnęła jakieś insta czy innego tiktoka, to nadal mogłaby opowiadać narodowi, jak się je bezę widelczykiem. Pozytywną wiadomością jest tylko to, że Ola ogarnia co nieco z mediów społecznościowych, mimo że ma już swoje lata. Dokładniej to skończone 45, czyli młodsza już nie będzie.

Osoby postępowe, empatyczne i demokratyczne potępiają Izę Bodnar za sesję zdjęciową z dwoma tuńczykami, które straciły życie w niejasnych okolicznościach. Są zszokowane, gdyż wyczuwają, że tuńczyki mogły chwilę wcześniej cierpieć, a poza tym planeta płonie. Nie spieszcie się jednak z łatwymi ocenami. Pamiętacie Hemingwaya? Taką lekturę szkolną, której nie czytaliście, ale znacie ze streszczenia w bryku. Tam była podobna sytuacja, że osoba identyfikująca się jako mężczyzna, w kryzysie wieku młodego, usiłowała złapać taką samą rybę. Niby jedna została złapana, ale z defektem, bo rekiny ją obgryzły. A z Izą Bodnar jest inaczej. Dwie świeżutkie nienaruszone rybki. W sam raz na tradycyjne fajnopolackie sushi. Stara baba i może!

Tenkraj się rozwija i ma swoje aspiracje. Aszczególnie Trzecia Osoba w Państwie (która kiedyś była planowana na Pierwszą Osobę), czyli ***Małgośka Kidawa-Błońska***. Kancelaria Senatu podpisała umowę z salonem fryzjerskim, który będzie dbał o koafiury Małgośki. To dobra wiadomość, a jeszcze lepsza jest taka, że to renomowany salon, który pracuje z gwiazdami show-biznesu. Jest też zła wiadomość. Całość usługi będzie kosztowała tylko 20 tys. zł. rocznie. To jakieś drwiny! Za te pieniądze to jakieś pisowy mogą czesać swoje kudły, ale nie demokratyczna osoba marszałkowska. Nie stać nas na tak tanie państwo. Zwłaszcza, że są historyczne przykłady, jak to powinno być robione. Wzorcem niech będzie Stasia Gierkowa, żona legendarnego przywódcy Tenkraju z szalonych lat 70. Stasia latała czesać się do Paryża. I komu to przeszkadzało? Co najwyżej jakimś warchołom z Radomia i Ursusa. Ale były na to sposoby, które rekomenduje ceniony autorytet strony demokratycznej, czyli płk Mazguła: „Oczywiście były tam jakieś bijatyki, jakieś ścieżki zdrowia, ale generalnie najczęściej jednak dochowano jakiejś kultury w tym całym zdarzeniu".

Fot. Andrzej Wiktor, Warsaw PhotoProton Studio/CC0, Dawid Kacprzyk/Facebook, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl ca127791e6

RUDY i BRUDY
Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Jak pół, to pół

Premier tysiąclecia Ronald Kieł z satysfakcją obejrzał nagraną dzień wcześniej rolkę na social media, na której, posługując się subtelnym żartem z własnego nazwiska, ogłasza mieszkańcom Tenkraju otwarcie obwodnicy.

– Widzisz, Stópka? Tak się dba o pijar! – Kieł zwrócił się do rzecznika rządu Adama Stópki, który nie wyglądał na zachwyconego.

– Kierowniku, a może nie będziemy tego publikować? – Stópka zdobył się na odwagę, choć głos mu drżał. – Nie wiem, czy to się ludziom spodoba. To jest w końcu obwodnica miasta powiatowego, a dookoła mamy kilka kryzysów na większą skalę. Takich w sumie ogólnokrajowych.

– Stópka, ty się zastanów, czyim jesteś rzecznikiem. Moim czy może Fiony?! Jakie kryzysy? Ludziom żyje się lepiej! Co ja mówię, nie lepiej, tylko najlepiej! – wykrzyczał Kieł. Odetchnął głęboko i zapytał niepokojąco zimnym tonem: – Jakie kryzysy miałeś na myśli, mój rzeczniku?

Choć ton był lodowaty, Stópka poczuł, jak strużka potu spływa mu po plecach.

– W zasadzie to nie ma żadnych poważniejszych kryzysów – odparł, jąkając się. – Bo przecież ceny benzyny są niezależne od nas.

– Oczywiście – przytaknął Kieł. – Przecież wyraźnie mówiłem, że gdyby ceny benzyny zależały ode mnie, to kosztowałaby 5,19 zł.

– No, niedokładnie tak mówiłeś – wszedł mu w słowo siedzący do tej pory cicho na końcu stołu Radek Świrowski, minister spraw zagranicznych. – Powiedziałeś, że gdybyś rządził, to benzyna byłaby po 5,19.

– Radek, ty się nie wpi...przaj niepytany – odpowiedział ze złością Kieł. – Lepiej zajmij się prezydentem Żołnierskim, żeby tak nie kłuł w oczy tymi swoimi bohaterami. Ja tam nic do nich nie mam, bo, jak wiadomo, oddzielamy przeszłość grubą kreską, ale trochę nam to wpływa na sondaże. A ty, Stópka, masz jeszcze jakieś kryzysy na myśli?

– No chyba nie – odezwał się niepewnie rzecznik. I dodał przymilnie: – Bo sprawę służby zdrowia Kierownik rozwiązał modelowo.

– Faktycznie, to jest mój majstersztyk. – Kieł wyprężył się z dumy. – Jedną decyzją zlikwidowałem kominy płacowe. Teraz nie zarobią więcej niż 76,8 tys. zł miesięcznie. Niech i lekarze poczują, co to skromne życie.

– Ja zarabiam mniej – poskarżył się Stópka.

– Ja teoretycznie też. – Premier rozłożył ręce. – Na tym polega służba publiczna... Ale, mój drogi Adamie, nie obrażaj mojej legendarnej inteligencji i nie wmawiaj mi, że nie wiesz, że w naszym zawodzie konfitury są w innym miejscu.

– Kierowniku, z gołej pensji to nawet Salomon nie naleje. – Stópka uśmiechnął się i po raz kolejny udowodnił, że nie zawsze głowa panuje nad tym, co wypowiadają usta.



Sympatyczną konwersację przerwało delikatne pukanie do drzwi, przez które wkroczyła, zmysłowo powłócząc nogami w kabaretkach, Justyna Szop-Pracz.

– Dzień dobry, Kierowniku, dzień dobry, pozostali – wyseplenił z gracją. – Przychodzę w sprawie rolki na insta.

– A więc widziałaś, Justyno. – Kieł rozpłynął się w uśmiechu. – Nagrywanie rolek do internetu to jest to, co w rządzeniu Tejkrajem podoba mi się najbardziej.

– A co podoba się panu najmniej? – Szop-Pracz wykazała się dziennikarską dociekliwością.

– Wszystko poza nagrywaniem – odpowiedział premier zaskakująco szczerze. – Praca szefa rządu jest bardzo nudna i męcząca. Gdyby nie to, że jestem najlepszym premierem w historii Tenkraju, to już dawno bym zrezygnował i wyjechał. Ale znalazłem rozwiązanie – robię w pracy tylko to, co mi się podoba, czyli nagrywam rolki. Jestem w tym mistrzem!

– No właśnie chyba nie do końca – powiedziała ostrożnie Szop-Pracz. – Coraz częściej słyszę, i to od najwierniejszych funkcjonariuszy medialnych, że te rolki to nie jest najlepszy pomysł... Mają być dowcipne, a są, jakby to powiedzieć, nieśmieszne i przestarzałe.

– Pani Justyno, bo się pogniewamy! – Kieł aż się zatrząsł z oburzenia. – Proszę pamiętać, że praca w telewizji w likwidacji nie jest pani dana raz na zawsze! Przez panią przemawia zazdrość, bo moje rolki są lepsze od pani programów!

Ciało Justyny Szop-Pracz zadrżało z przerażenia.

– Ależ skąd! – zaprotestowała ze łzami w oczach. – Ja to mówiłam z troską i miłością, ale przecież mogłam się mylić. Ta ostatnia rolka była ogromnie zabawna! Ha, ha! Że niby jest pana premiera pół, a obwodnica jest cała, ha, ha! No przecież to dowcip. Bo pan zawsze coś obiecuje, a potem te obietnice trzeba podzielić na pół. Dobrze zrozumiałam, prawda?

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl ca127791e6

Rachunek za europejskie życie na kredyt

W każdym domu obowiązuje prosta zasada: najpierw trzeba zarobić, a dopiero potem wydawać. Jeśli ktoś przez lata żyje na kredyt, w końcu przychodzi dzień, kiedy zamiast inwestować w przyszłość, spłaca wyłącznie odsetki. Wtedy zaczyna brakować już nawet na teraźniejszość. Niestety dokładnie w tym miejscu znalazła się dziś Unia Europejska.

Projekt budżetu UE na 2027 r. pokazuje skalę problemu. Ponad 11 mld euro zostanie przeznaczone wyłącznie na obsługę wspólnego długu. Ok. 10 mld euro pochłoną odsetki od programu NextGenerationEU, a kolejne 1,15 mld euro kosztować będzie obsługa wspólnego długu zaciąganego na instrument dla Ukrainy. To nie są pieniądze na drogi, innowacje czy rozwój – to rachunek za wcześniejsze decyzje i politykę życia na kredyt.



Jeszcze bardziej niepokojące są słowa wiceszefowej Komisji Budżetowej Parlamentu Europejskiego, niemieckiej eurodeputowanej Moniki Hohlmeier z Europejskiej Partii Ludowej, czyli partii Donalda Tuska. Stwierdziła, że budżet nie jest przygotowany na żadne nieprzewidziane wydarzenia i pozostaje jedynie „modlić się", aby nie było wojny, klęsk żywiołowych ani pożarów. W odpowiedzialnej polityce finansowej bezpieczeństwo Europy powinno się budować na rozsądku, przewidywaniu i stabilnych finansach.

Najgorsze jest jednak to, że rachunek za tę politykę zapłacą europejscy podatnicy, także Polacy. Coraz częściej słyszymy, że wspólny dług ma być receptą na każdy kryzys. Tymczasem każdy kolejny kredyt oznacza kolejne odsetki, a te ograniczają możliwości finansowania realnych potrzeb obywateli.

Europa potrzebuje dziś mniej ideologii, a więcej odpowiedzialności. Mniej eksperymentów finansowych, a więcej szacunku dla pieniędzy podatników. Bo wspólny dług może być wspólny tylko z nazwy. Rachunek zawsze trafia do konkretnych ludzi.

Arkadiusz Mularczyk

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

RYSZARDA MULARCZYKA

Europosłowi Arkadiuszowi Mularczykowi oraz Jego Rodzinie składamy wyrazy szczerego współczucia i słowa wsparcia w obliczu tej bolesnej straty.

Łączymy się z Państwem w bólu i modlitwie.

Adam Bielan
Przewodniczący Delegacji Prawa i Sprawiedliwości w Parlamencie Europejskim

Patryk Jaki
Współprzewodniczący Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

20/0726/F

Odszedł nasz redakcyjny kolega

JAROMIR KWIATKOWSKI

Rodzinie i bliskim

składamy wyrazy najgłębszego współczucia

Współpracownicy tygodnika „Sieci" i portalu wPolityce.pl

eprasa.pl ca127791e6

Twardy dyktat Pekinu



Moskwa stoi przed widmem utraty dochodów ze sprzedaży paliw. Ratunkiem byłby zwiększony eksport gazu ziemnego do Chin, jednak Pekin – zdając sobie sprawę z kiepskiego położenia Rosji – żąda gigantycznej bonifikaty na dostawy surowca.

Jeszcze tylko przez ponad rok państwa Unii Europejskiej będą mogły kupować rosyjski gaz ziemny (skroplony do końca 2026 r., a rurociągowy do października 2027 r.). Potem, jeżeli nic się nie zmieni, wejdzie w życie unijny zakaz importu tego surowca z Rosji i Moskwa utraci dochodowy rynek europejski, na którym przez wiele lat mogła dyktować warunki, sprzedając gaz po 300–450 dol. za 1 tys. m³.

Całkowite odcięcie od rynku unijnego będzie poważnym ciosem dla rosyjskiego budżetu, ale do niedawna na Kremlu panował względny spokój. Moskwa liczyła bowiem na to, że utrzyma część dochodów ze sprzedaży gazu, przekierowując jego eksport do Chin. Wszystko jednak wskazuje na to, że Rosjanie się przeliczyli.

Chińczycy, widząc, że Moskwa jest przyciśnięta do muru, zaczęli domagać się ogromnych rabatów. Rosja była gotowa sprzedawać gaz do Chin po 250 dol. za 1 tys. m³, ale Pekin nie zgodził się na taką cenę i zażądał pięciokrotnej obniżki, do 50 dol. za 1 tys. m³ – dokładnie tyle, ile płacą za gaz rosyjskie gospodarstwa domowe. Eksport surowca po tak niskiej cenie byłby dla Rosji zupełnie nieopłacalny, ponieważ byłoby to równoznaczne z dotowaniem chińskiej gospodarki. Co więcej, Chińczycy odrzucili jakiekolwiek inwestycje w planowany gazociąg Siła Syberii 2. Pekin oznajmił Rosjanom, że jeśli chcą zwiększyć eksport gazu do Chin, to muszą sami wyłożyć pieniądze na nowy rurociąg.

Stanowisko chińskich władz stawia Kreml w trudnej sytuacji. Podczas majowej wizyty w Pekinie Władimir Putin próbował nakłonić Xi Jinpinga do zmiany zdania, jednak – według informacji „The Wall Street Journal" – miał usłyszeć w odpowiedzi stanowcze żądanie, aby przestał naciskać w tej kwestii.

Chiny, w odróżnieniu od Rosji, mają w czym wybierać i na razie gazu im nie brakuje. Importują już rosyjski gaz rurociągiem Siła Syberii 1 po cenie od 240 do 280 dol. za 1 tys. m³ i z państw Azji Środkowej po ok. 200 dol. Cztery gazociągi z tego ostatniego regionu mają łączną przepustowość ponad 85 mld m³ rocznie, a kolejne trasy są w trakcie planowania. Pekin sprowadza też skroplony gaz z Kataru, Australii i Malezji, a niedawno wznowiono dostawy ze Stanów Zjednoczonych. Jest również krajowe wydobycie (262 mld m³ w 2025 r. – wzrost 6,2 proc. rok do roku).

Jeśli więc Kreml chce sprzedać więcej gazu do Chin, musi zejść z ceny. Taki jest bowiem koszt uzależnienia od silniejszego partnera.

Konrad Kołodziejski

Koniec z tradycyjnymi rikszami



Stolica Indii New Delhi w ciągu najbliższych dwóch lat zakaże rejestracji riksz, skuterów oraz małych ciężarówek i autobusów zasilanych benzyną oraz gazem. Wszystko to w celu ograniczenia zanieczyszczenia powietrza w mieście.

Każdej zimy, gdy niskie temperatury gwałtownie wychładzają spaliny, powodując ich opadanie, miasto spowijają opary toksycznego smogu. Szacuje się, że spaliny emitowane przez pojazdy stanowią ok. 23 proc. zanieczyszczenia miejskiego powietrza, co jest niebezpieczne dla zdrowia i bezpośrednio odpowiada za zgon dziesiątek tysięcy osób rocznie. Tymczasem skutery i riksze, niezwykle popularne i niezbędne do codziennego życia, to ponad dwie trzecie z dziesiątek milionów pojazdów poruszających się każdego dnia po stolicy Indii.

Władze stanu Delhi były już wielokrotnie krytykowane za opieszałość w zwalczaniu niebezpiecznie wysokiego i utrzymującego się miesiącami poziomu zanieczyszczeń. Dlatego już od początku przyszłego roku rejestrowane będą wyłącznie riksze i ciężarówki elektryczne (pozostałe małe pojazdy za dwa lata).

Elektryczne riksze nie są niczym nowym, ale dotąd było ich niewiele, do ich zakupu skutecznie zniechęcał bowiem brak punktów ładowania. „Jeśli muszę czekać godzinę lub dwie dziennie na ładowanie, to tracę dochód, na co mnie nie stać. Nie wiem też, jak utrzymać e-rikszę ani jak zapobiec kradzieży baterii" – wyznał jeden z rikszarzy, którzy twierdzą, że faktyczne koszty „zielonej transformacji" rząd przerzuca na ich barki. Dlatego władze stanu zobowiązały się do uruchomienia ponad 30 tys. punktów ładowania akumulatorów.

Delhi, liczące ok. 24,5 mln mieszkańców, jest dziś największym rynkiem pojazdów elektrycznych w Indiach, co dla producentów ma stanowić impuls do inwestowania w nowe, zielone technologie i oferowania w przyszłości większej liczby modeli. Prawdopodobnie zgiełk spalinowych riksz wkrótce odejdzie do historii.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl ca127791e6



Izrael

Krokodyle przeciw więźniom

Izraelska minister ochrony środowiska Idit Silman zmieniła oficjalny status krokodyli. Obecnie krokodyl nilowy jest „dzikim zwierzęciem hodowlanym", a nie – jak wcześniej – po prostu dzikim zwierzęciem.

Zdaniem izraelskiej prasy zmiana pozwoli organom bezpieczeństwa na zakup i przetrzymywanie tych zwierząt. Już wcześniej Izrael zmieniał status krokodyli, ale dotyczyło to innych gatunków i miało związek z komercyjną hodowlą po to, by uzyskać cenne skóry. Teraz powody są inne. W grudniu 2025 r. minister bezpieczeństwa Itamar Ben-Gwir zaproponował, aby do fos otaczających więzienia, w których przetrzymywani są Palestyńczycy, wpuszczono krokodyle, co miałoby utrudnić ewentualną ucieczkę osadzonych. Ben-Gwir chciałby, aby w ramach „programu pilotażowego" przetestować to rozwiązanie w więzieniu o zaostrzonym rygorze Ktzi'ot na pustyni Negew, w którym umieszczono najgroźniejszych dla bezpieczeństwa Izraela przestępców. „Myślisz o ucieczce? Zastanów się jeszcze raz" – napisał Ben-Gwir na Facebooku, ilustrując ten wpis obrazkiem wygenerowanym przez sztuczną inteligencję, który przedstawiał go z krokodylem na smyczy.

Obrońcy przyrody w Izraelu protestują przeciw takim pomysłom, argumentując, że próby hodowli krokodyli przysporzyły w przeszłości więcej problemów niż pożytku. Gady często uciekały, co stanowiło zagrożenie dla ludzi. Inni wytykają rządowi dyskryminację, zwracając uwagę, że krokodyle mają się pojawić wyłącznie przy więzieniach, w których przetrzymywani są Palestyńczycy. Ich zdaniem celem Ben-Gwira jest raczej torturowanie i znęcanie się nad Palestyńczykami niż przeciwdziałanie ucieczkom, tym bardziej że w ciągu ostatnich pięciu lat nie odnotowano ani jednej takiej próby.

Plany izraelskiego rządu nasuwają też skojarzenia z amerykańskim ośrodkiem deportacyjnym dla imigrantów na Florydzie, nazywanym Alligator Alcatraz. Tamtejsze bagna, pełne aligatorów i innych dzikich zwierząt, stanowiły jego naturalne otoczenie. W czerwcu, po niespełna roku funkcjonowania, placówkę zamknięto, nie wynikało to jednak z obecności aligatorów, lecz z trudnych warunków, w jakich przetrzymywano nielegalnych imigrantów. Spali oni w namiotach i mieli ograniczony dostęp do sanitariatów.

Marek Budzisz

Niemcy

Chadeccy geje i surogatki

Czasy mamy takie, że przewodniczącym frakcji CDU/CSU, a więc partii chrześcijańsko-demokratycznej w Bundestagu, jest zdeklarowany homoseksualista Jens Spahn [z prawej na fot.], znajdujący się od 2017 r. w oficjalnym „związku małżeńskim" z dziennikarzem Danielem Funkem [z lewej na fot.]. Ostatnio obaj znaleźli się w centrum politycznego skandalu, gdy na łamach dziennika „Bild" pochwalili się, iż zafundowali sobie dziecko z surogacji. „Georg jest naszą największą radością. To uczucie jest niemal niemożliwe do opisania słowami" – wyznał tabloidowi Spahn, a jego partner zamieścił na Instagramie zdjęcie pary pchającej wózek z noworodkiem i podpis: „Jesteśmy rodziną".

Sprawa wywołała powszechne oburzenie, ponieważ macierzyństwo zastępcze jest w Niemczech surowo zabronione i zagrożone karą trzech lat więzienia lub wysoką grzywną. Spahn i Funke ominęli jednak obowiązujące prawo i znaleźli surogatkę w USA. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że w 2020 r. polityk CDU, będąc wówczas ministrem zdrowia, odrzucił wniosek o złagodzenie zakazu surogacji. Na dodatek w lutym kongres partii zdecydowanie sprzeciwił się pomysłom, by zalegalizować ten proceder w Niemczech.

W tym kontekście postawa Spahna stała się emblematycznym przykładem hipokryzji niemieckiej chadecji. Nie jest on jednak jedynym podobnie niekonsekwentnym politykiem tej formacji. W kwietniu inny poseł CDU, Hendrik Streeck, pochwalił się, że razem ze swoim „mężem" Paulem Zubeilem także zafundował sobie dziecko w USA.

Spahna zalała fala krytyki również w szeregach własnej partii, której notowania stale spadają kosztem rosnącej w sondażach AfD. W efekcie polityk podał się do dymisji, publikując oświadczenie: „Zrozumiałem, że moje osobiste szczęście, założenie rodziny z mężem i zostanie ojcem nie da się pogodzić z pełnioną przeze mnie funkcją polityczną jako lidera klubu parlamentarnego, mimo że wychowywanie dzieci urodzonych za granicą dzięki macierzyństwu zastępczemu nie jest nielegalne dla obywateli Niemiec". Czy pomoże to jednak CDU odzyskać wiarygodność?

Grzegorz Górny



Fot. Shutterstock x4

Metanowa pułapka Brukseli. Jak Komisja Europejska dusi Europę w imię klimatu

Szanowni czytelnicy „Sieci", wyobraźcie sobie eurokratów jako czarnoksiężników w brukselskiej wieży, mieszających eliksir z podejrzanych intencji, tabelek w Excelu i ideologicznej pychy. Efekt? Dyrektywa metanowa – regulacja, która niby walczy z ulatniającym się metanem, lecz w rzeczywistości zaciska pętlę na szyi europejskiego importu surowców energetycznych. To nie jest zwykła biurokracja – to po prostu akt samobójstwa energetycznego, przygotowywany i głosowany w Brukseli z uśmiechem na ustach.

Dyrektywa (2024/1787) nakłada na importerów obowiązek szczegółowego raportowania intensywności emisji metanu od 2025 r., a w latach 2027–2030 przestrzegania ostrych limitów i standardów MRV (Monitoring, Reporting, Verification). Dotyczy to ropy, gazu i węgla. Brzmi naukowo? Dla praktyków to koszmar.

Eksperci biją na alarm. Już w 2027 r. nawet 43 proc. unijnego importu gazu oraz 87 proc. importu ropy może okazać się niezgodne z przepisami. To wielkość porównywalna z szokiem po odcięciu rosyjskich dostaw w 2022 r.! Dostawy mogą zostać przekierowane na inne rynki – do Azji, która nie zadaje głupich pytań – a Europa zostanie z luką podażową, wyższymi cenami i zimowymi rachunkami, które przypomną najgorsze koszmary.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) i inne raporty potwierdzają to ryzyko. Skomplikowane łańcuchy dostaw, zwłaszcza amerykańskiego LNG (naszego głównego ratunku po Putinie), nie pasują do brukselskich wymagań „na poziomie producenta". Gaz z Teksasu miesza się w rurociągach – jak tu udowodnić każdą ulatniającą się molekułę? Bliski Wschód też nie będzie się bawił w unijne certyfikaty, gdy Chiny i Indie czekają z otwartymi portfelami. Niemcy już ostrzegają – te przepisy mogą zahamować import LNG właśnie wtedy, gdy potrzebujemy dywersyfikacji. Efekt? Wyższe ceny energii, mniejsza konkurencyjność przemysłu, zagrożone miejsca pracy i powrót do zależności, ale tym razem od kaprysów globalnego rynku.



Eksperci biją na alarm. Już w 2027 r. nawet 43 proc. unijnego importu gazu oraz 87 proc. importu ropy może się okazać niezgodne z przepisami. To wielkość porównywalna z szokiem po odcięciu rosyjskich dostaw w 2022 r.!

To nie przypadek, lecz systematyczna głupota. W Brukseli fabryka absurdalnych regulacji pracuje pełną parą. Zielone fantazje są oderwane od rzeczywistości technicznej, geopolitycznej i ekonomicznej. Dyrektywa metanowa to symbol – jedna z wielu, które dławią Europę. A co robi rząd Donalda Tuska? Nic. Zero walki, zero skutecznego oporu, zero sojuszy w obronie polskich interesów. Obiecywali „powrót do Europy", a dostaliśmy kapitulację. Kiedy PiS blokowało szaleństwa, dzisiejsi rządzący siedzą dziwnie cicho, pozwalając, by polska energetyka i zwykli obywatele płacili rachunek za brukselską pychę. Polski interes? Schowany głęboko pod unijnym dywanem.

Komisja chce uratować klimat, a realnie przyspiesza deindustrializację Starego Kontynentu. Metan to pretekst – prawdziwym celem wydaje się kontrolowanie każdej molekuły energii, nawet jeśli ma to oznaczać blackouty i ubóstwo energetyczne. Brzmi złowieszczo? Owszem. Bo za tymi regulacjami czai się wizja Europy słabej, zależnej i biednej.

Polacy znają smak walki z absurdem i mają w genach zdrowy rozsądek. Pęknięcia w zielonej utopii są już widoczne – protesty, głosy rozsądku w Europie, powrót do pragmatyzmu. Nadejdzie moment, gdy Polska znowu zabierze głos: dość ideologicznych pętli, tak dla suwerenności i realnej polityki energetycznej. Bo prawdziwa przyszłość to nie brukselskie sprawozdania, lecz silna, niezależna gospodarka, która nie boi się wyzwań. Europa przetrwa pod warunkiem, że otrzeźwieje. A my, Polacy, możemy być w tym otrzeźwieniu liderem.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl ca127791e6

Razem znaczy skuteczniej



Marta Kaczyńska-Zielińska

Fragmentaryzacja prawicy jest jednym z klasycznych przykładów pokazujących, że o zdobyciu władzy decyduje nie tylko rzeczywiste poparcie społeczne, lecz także konstrukcja systemu wyborczego oraz zdolność ugrupowań politycznych do współpracy. Obóz dysponujący większym łącznym poparciem może przegrać wybory, jeśli jego elektorat zostanie rozproszony pomiędzy wiele konkurujących ze sobą list. Z kolei dobrze skoordynowane ugrupowania mogą uzyskać znacznie większą reprezentację parlamentarną, niż wynikałoby to z prostego porównania liczby oddanych na nie głosów.

Najbardziej wymownym przykładem tego zjawiska pozostaje Polska pierwszej połowy lat 90. Wybory z 27 października 1991 r. odbyły się według skrajnie proporcjonalnej ordynacji wyborczej. Nie obowiązywał próg wyborczy, a mandaty rozdzielano metodą Hare'a-Niemeyera z dodatkową pulą mandatów z list krajowych. W konsekwencji do Sejmu weszło aż 29 komitetów wyborczych, co sprawiło, że był to najbardziej rozdrobniony parlament w historii III RP. Szczególnie podzielony był obóz postsolidarnościowy, którego wyborcy rozproszyli swoje głosy pomiędzy liczne ugrupowania, m.in. Porozumienie Centrum, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Kongres Liberalno-Demokratyczny, Akcję Katolicką, listę NSZZ „Solidarność", Porozumienie Ludowe, NSZZ „Solidarność 80", Partię Chrześcijańskich Demokratów oraz wiele mniejszych formacji. Żadna z tych partii nie była w stanie samodzielnie stworzyć stabilnej większości parlamentarnej.

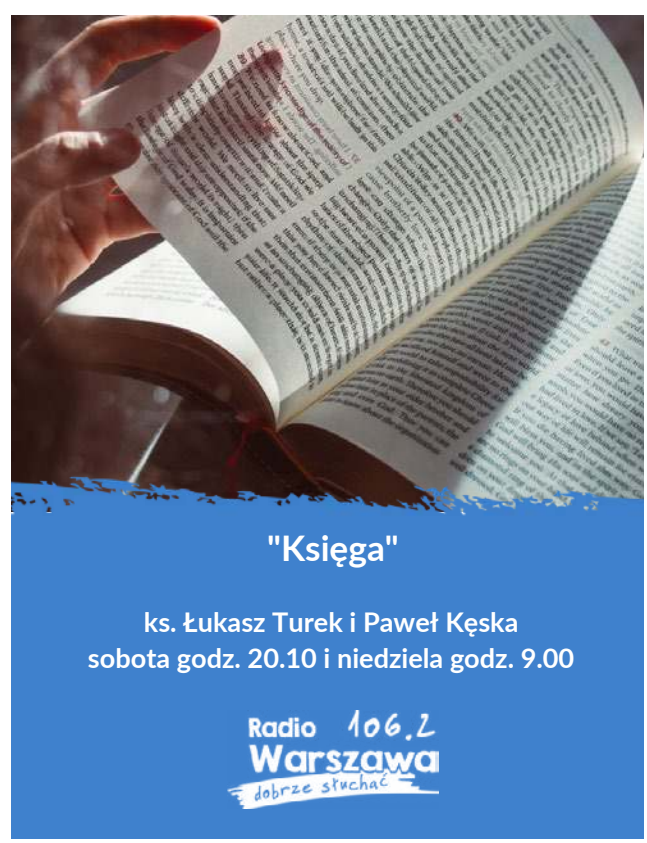
Przed wyborami z 19 września 1993 r. uchwalono nową ordynację, wzorowaną na rozwiązaniach niemieckich. Wprowadzono próg 5 proc. dla partii, 8 proc. dla koalicji. Skutki reformy najmocniej odczuł rozproszony obóz postsolidarnościowy. W sumie komitety, które nie przekroczyły progów wyborczych, uzyskały ok. 34 proc. wszystkich głosów. Głosy te nie przełożyły się na mandaty i zostały „rozdysponowane" pomiędzy ugrupowania, które przekroczyły próg. Największym beneficjentem okazał się SLD. Uzyskał 20,4 proc. głosów, ale otrzymał aż 171 mandatów, czyli ok. 37 proc. miejsc w Sejmie. PSL zdobyło 15,4 proc. głosów i ok. 29 proc. mandatów. Łącznie koalicja SLD-PSL dysponowała ponad 300 mandatami, mimo że uzyskała niespełna 36 proc. głosów wyborców. Ugrupowania postsolidarnościowe miały łącznie 30–34 proc. poparcia społecznego, lecz wskutek rozproszenia ich reprezentacja parlamentarna była nieporównywalnie mniejsza. W praktyce znaczna część głosów oddanych na prawicę i centroprawicę nie znalazła odzwierciedlenia w składzie Sejmu. Wybory z 1993 r. pokazały, że nawet stosunkowo wysokie poparcie społeczne nie gwarantuje sukcesu wyborczego, jeżeli elektorat zostanie podzielony pomiędzy wiele konkurujących ze sobą list.

W czerwcu 1996 r. powstała Akcja Wyborcza Solidarność (AWS), skupiająca ponad 30 ugrupowań politycznych, organizacji społecznych i stowarzyszeń, w tym ZChN, Porozumienie Centrum, Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, Partię Konserwatywną oraz środowiska wywodzące się z NSZZ „Solidarność". Efekt konsolidacji był jednoznaczny. W wyborach w 1997 r. AWS zdobyła 33,8 proc. głosów i 201 mandatów, wygrywając wybory oraz tworząc rząd z Unią Wolności. Zjednoczenie pod wspólnym szyldem pozwoliło niemal w pełni wykorzystać rzeczywiste poparcie społeczne i przełożyć je na silną reprezentację parlamentarną. Przypadek Polski nie był wyjątkiem, lecz ilustracją uniwersalnego mechanizmu występującego w wielu demokracjach.

W systemach proporcjonalnych z progami wyborczymi rozdrobnienie jest karane szczególnie silnie, ponieważ głosy oddane na ugrupowania, które nie przekroczą ustawowego progu, nie uczestniczą w podziale mandatów. Im więcej takich głosów, tym większą premię otrzymują partie, które przekroczyły próg. Systemy większościowe typu first past the post są jeszcze bardziej restrykcyjne.

Historia polskich wyborów z lat 1991–1997 oraz doświadczenia innych państw wskazują, że rozdrobnienie polityczne może sprawić, iż znaczna część głosów nie przełoży się na reprezentację parlamentarną. Konsolidacja pozwala znacznie skuteczniej wykorzystać rzeczywiste poparcie społeczne.

REKLAMA



20/0626/F

eprasa.pl ca127791e6



Walizka Agnieszki Paczuskiej-Korkuć

artystki, miłośniczki jazdy konnej

Od wczesnego dzieciństwa sztuka towarzyszy mojej podróży przez życie. Choć skończyłam Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, a potem studiowałam na SGGW hodowlę koni, dziś tworzę w technikach oleju, akwareli, gwaszu, akrylu i pasteli. Rysuję węglem, tuszem i ołówkiem, wykonuję ceramikę użytkową i dekoracyjną, projektuję odzież oraz maluję murale. Fascynuje mnie możliwość projektowania otaczającej przestrzeni – ścian, mebli – oraz ozdabiania ich autorskimi przedmiotami ceramicznymi, takimi jak kinkiety lub zastawa stołowa. Bliskie jest mi również ogrodnictwo, które daje ogromną przestrzeń wyobraźni i twórczemu kształtowaniu zieleni. W mojej pracy najważniejszym kryterium jest obiektywne piękno. Jako nastolatka często odwiedzałam Zachętę i Centrum Sztuki Współczesnej, ale wówczas odniosłam wrażenie, że przedstawiana tam sztuka utraciła swój sens i misję. Dlatego coraz rzadziej chodziłam na wernisaże i wystawy. Odzyskanie wiary w sztukę zawdzięczam mojemu mężowi Wojciechowi oraz ludziom, których dzięki niemu poznałam. Świadomie wybrałam drogę tworzenia piękna i dobra. Są one dla mnie odpowiedzią na wszechobecną estetykę szoku i brzydoty, która karmi odbiorców złem, prowadzącym do duchowego zubożenia. A przecież sztuka powinna podnosić człowieka i rozwijać jego wrażliwość.





RÓŻANIEC

Kolekcjonuję różańce, ten jest z tarczą Najświętszego Serca Pana Jezusa i relikwią św. Małgorzaty Alacoque. Modlę się przed każdą podróżą. Ostatnio przed wylotem na wakacje wyprosiłam łaskę odroczenia ospy wietrznej, która na 100 proc. groziła mojemu dziecku po kontakcie z pociechą przyjaciółki. Okazało się, że ospa całkiem nas ominęła.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Agnieszki Paczuskiej-Korkuć

eprasa.pl ca127791e6



PRZYBORY PLASTYCZNE

Moje niezbędniki w podróży: markery brush, miękkie ołówki, kredki akwarelowe, szkicowniki, bloki akwarelowe oraz kaseta z farbami akwarelowymi, która na szczęście zajmuje mało miejsca w bagażu.

KSIĄŻKI



Na te wakacje zabieram „Z Pokorą przez życie" – wywiad rzekę z moim ulubionym aktorem Wojciechem Pokorą, „Ostateczne wyjaśnienia wszechświata" Michała Hellera oraz „Listę Wächtera" autorstwa Magdaleny Ogórek, dotyczącą zrabowanych z Polski dzieł sztuki.

KOLOROWE SUKIENKI

Minimum jedna na dzień. Latem kolorowe, często lniane, czasem własnego projektu.

STRÓJ JEŹDZIECKI

Moja ułańska dusza najlepiej odpoczywa na końskim grzbiecie. „Na koniu Polak czuje się wolnym", jak rzekł odtwórca postaci Adama Chmielowskiego w filmie „Nędzarz i madame". W pełni się z tym zgadzam.





KOPIE

Podejmuję się odtworzenia utraconych dzieł sztuki w oryginalnej technice i formacie na podstawie zdjęć. Ponieważ w katalogach są tylko czarno-białe reprodukcje, kolorystykę czerpię z wiedzy na temat stylistyki danego artysty i mojej intuicji. Te próby materializacji utraconych dzieł przynoszą mi dużo satysfakcji.



T-SHIRTY

Z nadrukami autorstwa mojego męża, Wojciecha Korkucia, często o tematyce patriotycznej.

CZAPKA Z DASZKIEM



Wolę od okularów słonecznych, ponadto utrzymuje loki w ryzach.

KRAJOBRAZY, MUSZELKI



Kiedy nie można nabyć pamiątek wytworzonych lokalnie, zawsze można narysować sobie pocztówkę lub zabrać kilka muszelek, które później zdobią doniczki.

KSIĄŻKI DLA DZIECI



Autorstwa Małgorzaty Śmierzyńskiej o przygodach Czarnego Wąsa. Zabieramy na wakacje i czytamy przed snem – fajne, wartościowe, rozwijające słownictwo, wyobraźnię i empatię.

PORTRETY



Potrafię na żywo szybko rysować portrety węglem i markerem, co na eventach jest bezcenne. Ze zdjęć – bardziej dopracowane, w akwareli – zajmują ciut więcej czasu.

CERAMIKA

Cały świat jest inspirujący, ponieważ Stwórca ma niezwykłe pomysły i poczucie humoru. Nieustannie podziwiam jego dzieła flory i fauny, notuję pomysły i później wykorzystuję do robienia np. pater, talerzy czy kinkietów w kształcie kokonów motyli, liści czy płatków kwiatów.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl ca127791e6

Strach się bać!



Etap względnego dobrobytu i pokoju mamy już za sobą. Nadchodzą trudne czasy, doskonale znane naszym dziadkom i pradziadkom, ale zupełnie obce pokoleniu milenialsów i generacji Z.

Polacy, którzy przyszli na świat w okresie powojennego wyżu demograficznego (tzw. baby boomers, 1946–1964), zostali ukształtowani przez rodziców doświadczonych wojenną traumą. Idolami chłopców byli wtedy rycerze i żołnierze, dziewczęta czerpały wzorce z prorodzinnych zachowań od swych matek i babek.

Dorastałem w cieniu zagrożenia hekatombą, doskonale pamiętam „zimną wojnę" i kryzys kubański. Trenowałem strzelectwo, karate, nurkowanie. Po studiach inżynierskich odbyłem roczną, obowiązkową wtedy służbę wojskową (artyleria). Umiejętność działania w grupie, poligonowe szkolenie i ogólna sprawność fizyczna dawały mi poczucie bezpieczeństwa i możliwość realnej oceny potencjalnych zagrożeń. Dlatego dziś nie mogę się nadziwić niefrasobliwości polskich rządów (tego i poprzedniego), które – mimo licznych sygnałów ostrzegawczych: zagrożenia agresywną migracją i wybuchem pełnoskalowej wojny – nie poczyniły praktycznie żadnych działań przygotowujących społeczeństwo na nadchodzący armagedon.

Nie przywrócono powszechnego poboru do wojska. Do szkół nie wprowadzono przysposobienia obronnego, praktycznego kursu pierwszej pomocy i wojennego survivalu. Przed maturą zdążyłem zaliczyć w radioklubie kurs krótkofalarski. Czy dziś ktoś słyszał np. o zajęciach pozalekcyjnych z obsługi dronów? Zamiast propagowania patriotyzmu, strzelectwa i sportów walki wtłacza się dzieciom do głów demoralizującą „edukację zdrowotną", zaburzając ich psychikę i tożsamość płciową.

PS Ostatnie ogólnopolskie ćwiczenia systemu alarmowania z wykorzystaniem syren trudno mi nawet skomentować. Mój dom nie ma piwnicy. Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek schronach w najbliższej okolicy. W pobliżu nie ma stacji metra, tunelu ani innej bezpiecznej kryjówki.

Cała para w gwizdek?

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

W Polsce jak we Francji. Lawenda zakwitła w Beskidach



Fot. Paweł Murzyn/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MARIUSZ PILIS, IPN X 2, PRZEMYSŁAW KELER/KPRP, LIUDMYLA SKWARCZYNSKA, SHUTTERSTOCK/ AGNES KANTARUK, ANA AGUIRRE PEREZ

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

21/0626/F

eprasa.pl ca127791e6

To już nawet nie jest śmieszne



Samuel Pereira

Temat „rozliczeń” z materiału na thriller stał się już obiektem kpin, godnym komedii. Doszło do tego, że nawet ważny polityk Koalicji Obywatelskiej, niegdyś przewodniczący Platformy Obywatelskiej, zapomniał, kogo „uśmiechnięta Polska” miała ścigać. Tak, Grzegorz Schetyna nie potrafił sobie przypomnieć, ilu przedstawicieli poprzedniej władzy KO obiecywała w swoim wiodącym dokumencie – „100 konkretach” – postawić przed Trybunałem Stanu. Senator Koalicji Obywatelskiej wił się, po czym wyrzucił z siebie smutną wymówkę. „Wie pan, Trybunał Stanu jest pewnego rodzaju symbolem rozliczeń”. Już tylko to mogłoby stać się tematem rozprawki o traktowaniu nie tylko własnych wyborców, lecz także wszystkich obywateli, bo przecież obietnice składano nie tylko Polakom głosującym na partię Donalda Tuska.

Przecież skoro Trybunał Stanu, instytucja wagi ciężkiej, miałaby zostać użyta wobec konkretnych ludzi, z imienia i nazwiska wskazanych na liście sporządzonej specjalnie na cele kampanii wyborczej, to również waga zarzutów powinna być poważna. Chyba że to całkowicie irrelewantne, bo dziś od listy „wrogów” ważniejsza jest lista „swoich” do licznych spółek i spółeczek lub po prostu do szpitalnych ścieżek VIP.

Taka postawa jest zresztą tożsama z podejściem obozu władzy do wyborców, którego symbolem są właśnie te „100 konkretów”. Obiecane nie tylko w kampanii, lecz także w exposé, gdy Tusk już wiedział, ile ma „szabel” i jak wygląda jego układanka koalicyjna. Groteskowość tematu „rozliczeń” widzimy już praktycznie każdego dnia, gdy okazuje się, że jedna i druga „afera” wcale nią nie jest, nawet w oczach siłą przejętej przez ekipę Tuska prokuratury. Wywołuje to ulgę obiektów polowania, rozbawienie obserwatorów nie tylko z prawej strony i rosnącą wściekłość sekty Silnych Razem. Nagonka jednak trwa, bo herszt tej sekty, Waldemar Żurek, z jednej strony sam jest radykałem, z drugiej – musi przypodobać się jednocześnie wyznawcom i swojemu „kierownikowi”. „Złodzieja Kacprzyka nie przesłuchali, ale za to chcą zatrzymać Michała Wosia do sprawy awansów w Służbie Więziennej. Dobre mają tam priorytety” – napisał ostatnio Janusz Cieszyński i trudno się z nim nie zgodzić. Tylko obywateli szkoda.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:

FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW

03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:

POMOC DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+

WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja Instytut Mediów

WIĘCEJ O AKCJI POMOCY:

eprasa.pl ca127791e6



Kainie, gdzie jest twój brat Abel?

To biblijne pytanie wołające z krzyża w wołyńskim lesie, którego ziemia kryje pomordowanych Polaków z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, jest skierowane do sąsiadów ofiar, do Ukraińców. „Co się stało z waszymi braćmi? Co zrobiliście? Jaką ponosicie odpowiedzialność?”. To wezwanie do uznania prawdy o zbrodni i wzięcia za nią odpowiedzialności



MARIUSZ PILIS





Jest 14 lipca 2026 r. Wołyń. Kilkanaście kilometrów w linii prostej od granicy polsko-ukraińskiej. Stajemy kolumną samochodów na prowizorycznym parkingu, w miejscu, w którym kończy się asfalt i zaczyna bita droga. Środek lasu. Po prawej stronie, na pagórkach, pośrodku lasu jest niewielki cmentarzyk. Groby chaotycznie rozrzucone wśród drzew. Wiele drewnianych krzyży, większość przewiązanych biało czerwonymi wstążkami. Pomniczek z niewiele wyjaśniającym, poprawnym politycznie napisem. Pewnie gdyby napis miał być inny, nigdy by tu nie stał. Nie byłoby zgody. Z lokalną i obwodową administracją toczono walkę o treść, o każde słowo wyryte w kamieniu. Byle tylko nie wskazać sprawców okrutnej rzezi, która miała miejsce w dwóch pobliskich wsiach, dla których ten cmentarzyk był kiedyś cmentarzem parafialnym.

Jeden z członków grupy ekshumacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej, z którą tu przyjechałem, zwraca moją uwagę na inne miejsce. Nieco z boku stoi krzyż na postumencie. Właściwie można go przeoczyć, nie wyróżnia się niczym szczególnym. Pod nim, na kamiennej tabliczce, wyryto biblijny cytat: „Kainie, gdzie jest twój brat Abel?”. W Księdze Rodzaju Bóg zadał je Kainowi. Czy Stwórca nie wiedział, czego dopuścił się Kain? Wiedział i wezwał swym pytaniem bratobójcę do zmierzenia się z odpowiedzialnością za popełnioną zbrodnię.

Tu, w wołyńskim lesie pełnym krzyży, leżą pomordowani przez Ukraińców Polacy z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. To biblijne pytanie wołające z krzyża jest skierowane do sąsiadów ofiar, do Ukraińców. „Co się stało z waszymi braćmi? Co zrobiliście? Jaką ponosicie odpowiedzialność?”. To wezwanie do uznania prawdy o zbrodni i wzięcia za nią odpowiedzialności. Bóg upomniał się o Abla. Pamięć o rzezi na Wołyniu upomina się o zamordowanych mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, bo ofiary nie są anonimowe. „Co zrobiliście swoim braciom? Gdzie są ci, których zamordowaliście?”. To pytania mające wymiar moralny i duchowy. Brzmią tym silniej, im bardziej człowiek zdaje sobie sprawę, dlaczego tutaj przyjechał.

1050 OFIAR MORDU

W miejscach, w których kiedyś były dwie wsie: Wola Ostrowiecka i Ostrówki, pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej od rana prowadzą prace ekshumacyjne. Po 82 latach od zbrodni. Są archeolodzy, medycy sądowi, logistycy, historycy. Wciąż nieznany jest los ponad 350 osób z ok. 1050 ofiar mordu z 30 sierpnia 1943 r.

Pierwsze prace rozpoczęły się w Woli Ostrowieckiej, gdzie kiedyś było gospodarstwo Aleksandra Strażyca. Tutaj w 1943 r. wyprowadzano ludzi za stodołę i mordowanych wrzucano do dołu. Nad miejscem, gdzie ziemia skrywa szczątki niezidentyfikowanej liczby ofiar, stoją już dwa namioty. A na nich napis: „Powracamy po swoich”.

Po drodze do Woli Ostrowieckiej rozciąga się pole słoneczników. Po horyzont. W samym środku tego zielono-żółtego morza stoi krzyż i dwie białe figury Maryi. Jedna z nich nie ma głowy. Jak mówi mi dr Leon Popek, historyk, archiwista, opiekun polskich miejsc pamięci na Wołyniu i członek zespołu ekshumacyjnego

Fot. Mariusz Pilis

eprasa.pl ca127791e6



IPN, to pole kiedyś było wsią. Tu były Ostrówki. Ponad 100 gospodarstw. Żyło tu blisko 700 Mazurów, którzy osiedlili się w tym rejonie jeszcze w XVI w.

W miejscu, w którym stoi krzyż otoczony metalowym płotkiem i dwie figury, był kościół parafialny pw. św. Andrzeja Apostoła. Służył kilkunastu okolicznym wsiom. Sama parafia liczyła ponad 2 tys. wiernych. Tak było do 30 sierpnia 1943 r., kiedy przyszła UPA i okoliczni mieszkańcy wymordowali praktycznie wszystkich. Kościół spalili kilka dni później. Tę świątynię zbudowano jeszcze w czasach panowania Augusta II Mocnego, w 1720 r. Przetrwał powstania, rozbiory i I wojnę światową. Nie przetrwał nacjonalistycznej nienawiści.

Z tym miejscem związane są dwie piękne i bardzo symboliczne historie. Figura Matki Boskiej, która nie ma głowy, ocalała ze spalonego kościoła. Jeszcze w latach 90. XX w. podjęto decyzję, żeby tę głowę przywrócić. Wyrzeźbiono ją i trzykrotnie próbowano przypasować do figury, a ta trzykrotnie ją odrzucała – za każdym razem po jakimś czasie głowa sama odpadała. Wtedy zdecydowano, by pozostawić figurę taką, jaka jest. Potem próbowano ją ustawić obok krzyża, przodem do wschodu, północy i południa. Jakby jej nie ustawiano, wywracała się. Ktoś wpadł na pomysł, by ustawić ją przodem do Polski. Problemy się skończyły. Oryginalna figura Maryi do dziś stoi niewzruszenie i stabilnie. Ludzie mówią, że Matka Boża chciała stać zwrócona w stronę Polski.

> W ciągu ostatnich 30 lat Ukraińcy wyrazili zgodę na zaledwie 4 ekshumacje. W skali całego Wołynia, Podola, Małopolski Wschodniej. A w latach 1943–1945 z mapy obecnej Ukrainy w wyniku rzezi wymazanych zostało ok. 2 tys. polskich miejscowości i wsi. Dołów śmierci do znalezienia i ekshumacji może być nawet ponad 2,5 tys.

DÓŁ ŚMIERCI W MORZU SŁONECZNIKÓW

W dużym oddaleniu od miejsca, w którym kiedyś był kościół, w morzu słoneczników stoi samotny, mały, brzozowy krzyż. Tuż obok niego jest mały skrawek ziemi, ogrodzony biało-czerwoną taśmą. Wyznacza kolejny obrys dołu śmierci ze szczątkami pomordowanych Polaków. Zespół IPN zidentyfikował go jeszcze w kwietniu br., kiedy prowadzono tu prace poszukiwawcze. Po zakończeniu pierwszego etapu prac ekshumacyjnych w sąsiedniej Woli Ostrowieckiej stanowiska zespołu zostaną przeniesione właśnie na to pole słoneczników. Liczba ofiar rzezi, którzy tu leżą, nie jest jeszcze znana.

W samej Woli Ostrowieckiej specjalna miejscowa grupa saperów sprawdza, czy teren nadaje się do pracy. Trwa to długo, ale w końcu zespół IPN dostaje zgodę na wejście. Teren jest czysty. Trudno uwierzyć, że te chaszcze pośrodku niczego skrywają szczątki rzezi, którą urządziła UPA w Woli Ostrowieckiej. Tego miejsca nie dało się tak po prostu zidentyfikować i odnaleźć wyłącznie na podstawie zeznań tych, którzy ocaleli. Nie ma tu żadnych charakterystycznych punktów orientacyjnych.

Jedzie się tu polnymi drogami. Po jednej stronie – bezkres słoneczników, po drugiej – pszenicy. Dalej wjeżdża się w dziki las pomieszanych drzew iglastych, dzikich drzew owocowych i wszelkiego rodzaju traw po pas. Prawie nie widać dróżki. To miejsce rozpoznano dzięki niemieckiemu zdjęciu lotniczemu z II wojny światowej – na czarno-białej fotografii widać było dwa niewielkie, nienaturalnie białe paski. Okazało się, że to właśnie doły śmierci. Dr Leon Popek mówi, że po nałożeniu na zdjęcie siatki topograficznej udało się ustalić położenie tego miejsca. Kiedy wczesną

Fot. Mariusz Pilis

eprasa.pl ca127791e6

wiosną przybyła tu pierwsza ekspedycja, zauważono nienaturalne, lekkie wgłębienie w terenie. Tu rozpoczęto poszukiwania i pierwszego dnia prac natrafiono na szczątki dwóch osób. Czaszki i ręce. IPN wystąpił do strony ukraińskiej o zgodę na ekshumację w tym miejscu. Po trzech miesiącach została udzielona.

POLOWE LABORATORIUM

Prace są prowadzone w piekielnym upale. Rankiem trzeciego dnia widziałem jeszcze pierwsze odsłonięte szczątki dwojga zamordowanych. Dwojga, choć nie znam płci tych, którzy leżą w dole śmierci. Ale, jak mówią mi ludzie z Instytutu Pamięci Narodowej, w tym dole są prawdopodobnie wszyscy. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Co godzinę powiększa się liczba odsłoniętych szczątków mieszkańców pomordowanych przez banderowców i okolicznych sąsiadów Ukraińców. Jedna czaszka jest wyraźnie mniejsza od pozostałych. Do wieczora odsłonięto jeszcze siedem ofiar. W sumie dziewięć czaszek. I kości przedramion, paluszki. Makabryczny widok.

Dr Leon Popek, który dysponuje najobszerniejszą listą zamordowanych na tym terenie, mówi, że wciąż nie wiadomo, gdzie są doły śmierci ze szczątkami 350–360 osób. Gdzieś tu leżą. W chaszczach, lesie, na polach. Szacuje się, że w okolicy znajduje się jeszcze 35 nieodkrytych dołów śmierci. Instytut Pamięci Narodowej dysponuje świadectwami ocalonych. W ciągu ostatnich 30 lat Ukraińcy wyrazili zgodę na zaledwie 4 ekshumacje. W skali całego Wołynia, Podola, Małopolski Wschodniej. A w latach 1943–1945 w wyniku rzezi z mapy obecnej Ukrainy wymazanych zostało ok. 2 tys. polskich miejscowości i wsi. Dołów śmierci do znalezienia i ekshumacji może być nawet ponad 2,5 tys.

W zespole pracującym na miejscu jest również przedstawiciel Uniwersytetu Medycznego z Wrocławia. To Łukasz Szleszkowski, medyk sądowy. Doświadczony patolog. Jego rola jest kluczowa w identyfikacji i badaniu szczątków. Jak mówi, procedura prac jest ściśle określona. Odsłania się w ziemi szczątki, warstwa po warstwie. Kiedy pierwsza warstwa jest gotowa do badania, medyk sądowy ogląda, bada i sporządza pierwszy raport. Gdy kończy prace, szczątki są wydobywane i zabezpieczane. I tak warstwa po warstwie. W tym czasie wydobyte szczątki trafiają do polowego laboratorium, gdzie są poddawane szczegółowym oględzinom medycznym i archeologicznym. Spisywany jest pełny raport z oględzin i pobierane są próbki materiału do badania DNA, które pojadą do Polski w celu identyfikacji i określenia, do kogo należą. Wydobyte z ziemi szczątki znajdą schronienie w miejscu, którego nikt nie zna. Aż do momentu, kiedy z honorami zostaną pochowane w trumnach na cmentarzu w Ostrówkach. Tam, gdzie powinny zostać złożone. To nastąpi prawdopodobnie 30 sierpnia, w rocznicę mordu Polaków przez UPA.







Fot. Mariusz Pilis

eprasa.pl ca127791e6



POLSKA CZEKAŁA NA TO 30 LAT

Polityczna burza, którą w ostatnim czasie rozpętał prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przyznaniem nazwy „Bohaterów UPA" jednej z ważnych jednostek wojskowych bijących się dzisiaj z Rosją i w konsekwencji odebranie mu przez prezydenta Karola Nawrockiego Orderu Orła Białego, spowodowała, że emocje społeczne wypłynęły. Wypłynęły też nieprawdy, manipulacje i prowokacje. Wypłynęły kłamstwa. W dyskusji, która wybuchła wokół Wołynia i ludobójstwa, poszły w ruch argumenty, które mają usprawiedliwić te straszliwe zbrodnie.

Ukraińcy mówią o nas „nachodźcy", „kolonizatorzy", „uzurpatorzy", którzy w okresie II Rzeczypospolitej zawłaszczali rdzennie „ukraińskie" ziemie. I to ma usprawiedliwiać, dlaczego Ukraińcy, banderowcy, zabijali.

Niedaleko miejsc makabrycznych zbrodni w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej jest miasteczko Luboml. Wciąż stoi tam średniowieczny kościół katolicki, datowany na 1412 r. Świątynia w Ostrówkach była fundowana w czasach saskich, polskie osadnictwo na tych ziemiach rozpoczęło się w XV w., a może jeszcze wcześniej. Ludzie żyli w pokoju obok siebie. Katolicy, prawosławni, Polacy, Rusini, Żydzi. Aż do czasu, kiedy ukraińscy nacjonaliści postanowili rozwiązać kwestie narodowościowe, niosąc mord i śmierć.

Kiedy piątego dnia rano opuszczałem miejsce prac zespołu Instytutu Pamięci Narodowej, w dole śmierci na terenie dawnego gospodarstwa Aleksandra Straskrzyń. Na wielu czaszkach widać ślady bardzo silnych mechanicznych urazów. Przy szczątkach odnajdujemy przedmioty osobiste: medaliki i krzyżyki oraz elementy odzieży. Podejmowanie szczątków rozpocznie się po odsłonięciu całych szkieletów".

– Te mechaniczne ślady uszkodzeń pochodzą prawdopodobnie od siekier, młotów do uboju zwierząt i drągów – mówi mi dr Leon Popek. Ale ostateczny głos w tej sprawie będzie miał Łukasz Szleszkowżyca ujawniono 10 uszkodzonych czaszek. Każda godzina przynosiła nowe liczby. Wieczorem, po piątym dniu prac, dostałem krótką wiadomość: „Stan na dzień dzisiejszy [sobota], mogiła w gospodarstwie Strażyca, odsłonięte 32 czaszki".

Ósmego dnia prac dostałem informację od ks. Tomasza Trzaski, rzecznika Biura Badań i Identyfikacji IPN, który pracuje z zespołem na miejscu: „Rozpoczęliśmy drugi tydzień prac ekshumacyjnych. Aktualny stan: dotychczas ujawniono szczątki co najmniej 38 osób. W miarę dalszej eksploracji jamy grobowej sukcesywnie ujawniane są kolejne ofiary. Ciała były wrzucane do dołu śmierci niedbale i w nieładzie. Szczątki leżą w przypadkowym układzie. Nie odnaleziono śladów trumien czy



Młot ubojowy (tzw. pole hammer) – stosowany do ogłuszania bydła przed ubojem



Młot ubojowy z końcem klinowym (kolekcja muzealna). Długość: ok. 60 cm, waga: ok. 3,5 kg

Zbliżenie na obuch z trójkątną wypustką

Młot ubojowy z piramidalnym ostrzem (pocz. XX w.)

ski, lekarz sądowy z Uniwersytetu Medycznego z Wrocławia. Czekamy na jego raport z ekshumacji.

Zgodnie z biblijną Księgą Rodzaju, gdy Bóg zapytał Kaina o jego brata, ten skłamał i na pytanie „Kainie, gdzie jest twój brat Abel?" odpowiedział: „Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mego?". Abel nie żył, ponieważ Kain chwilę wcześniej zabił go na polu z zazdrości, po czym jego krew wsiąkła w ziemię. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski zapowiedział niedawno otwarcie archiwów, uproszczenie i przyspieszenie procedur związanych z wydawaniem przez stronę ukraińską pozwoleń na poszukiwania i ekshumacje pomordowanych Polaków. Polska czeka na te działania od 30 lat.

Fot. IPN

eprasa.pl ca127791e6



Rzecznik bezprawia

Nadciąga finalne uderzenie w konstytucyjne prawa obywateli. Sejm powołał na Rzecznika Praw Obywatelskich jedną z najbardziej zagorzałych aktywistek walczących z PiS. Sylwia Gregorczyk-Abram wykazała się wsparciem PO i działaniami przeciwko Polsce. Jako prawnik z oddaniem realizowała hasło „ulica i zagranica". Teraz ma pomóc Donaldowi Tuskowi w „domykaniu systemu"



MARZENA NYKIEL

233 posłów przesądziło o tym, że Sylwia Gregorczyk-Abram została wybrana przez Sejm na Rzecznika Praw Obywatelskich. Przepadła tym samym kandydatura legendy „Solidarności" – Adama Borowskiego, za którym głosowało 177 posłów. Senat potwierdził decyzję Sejmu. I choć rozstrzygnięcie to nie jest zaskoczeniem, nie przestaje zdumiewać siła bezczelności, z jaką ekipa Donalda Tuska oddaje kolejne przestrzenie państwa ludziom popierającym bezprawie.

Gregorczyk-Abram do dziś nie wyjaśniła swojego udziału w siłowym przejęciu mediów publicznych. Z zapałem walczyła z rządem PiS i występowała na arenie międzynarodowej przeciwko Polsce, była współzałożycielką skrajnie upolitycznionej inicjatywy Wolne Sądy, krytykowała prezydenta Andrzeja Dudę i gromiła prezydenta Karola Nawrockiego. Atakowała też Straż Graniczną i z oddaniem broniła Barbary Kurdej-Szatan, która nazwała polskich żołnierzy mordercami. Przez 18 lat była związana z kancelarią, która współpracowała z Moskwą, a w kraju prowadziła kontrowersyjne działania. Co to wszystko oznacza? Nadchodzi kolejne, być może ostateczne, uderzenie w prawa obywateli.

AKTYWISTKA TUSKA

„Rzecznik nie jest działaczem, który formułuje postulaty jakichś grup. Rzecznik jest funkcjonariuszem" – oświadczyła prof. Ewa Łętowska na antenie TVP w likwidacji, wyrażając wiele wątpliwości po wysłuchaniu prezentacji kandydatki na RPO. Rozmowę szybko zakończono. Po raz kolejny okazuje się, że oczekiwania polityczne rządu Donalda Tuska stoją w sprzeczności z konstytucją i zasadami polskiego prawa. Bo niby czym nadzwyczajnym zasłużyła się Gregorczyk-Abram? Jawnym poparciem dla Platformy Obywatelskiej i ochroną prawną dla ulicznych zadymiarzy, którzy za rządów PiS włączali się w proces destabilizacji państwa.

W 2023 r. przykleiła partyjne serduszko Koalicji Obywatelskiej i stawiła się na zwołanym przez Tuska marszu 4 czerwca. Stojąc ramię w ramię z aktywem partyjnym, wygłosiła płomienną mowę przeciwko rządom PiS. „Jestem

Fot. Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl ca127791e6

tutaj, bo Rubikon upokorzeń wobec kobiet został już dawno przekroczony. Bo odbiera się nam godność. Bo traktuje się nas gazem łzawiącym, kiedy wychodzimy walczyć o swoje podstawowe prawa. Ale wiecie co? Myślę sobie, że te haniebne działania władzy wobec kobiet, że te ohydne słowa polityków wymierzone w kobiety to jest już łabędzi śpiew patriarchatu, bo się miota i rzuca, że nadchodzi jego kres" – wykrzykiwała. Obok niej stała i klaskała Monika Wielichowska – ta sama, która przez lata pozostawała w zażyłych stosunkach z Kamilą L. z Kłodzka, działaczką KO skazaną na ponad sześć lat więzienia w aferze pedofilsko-zoofilskiej. Gregorczyk-Abram nigdy nie zabrała głosu w tej sprawie. Za każdym razem, gdy po stronie koalicji rządzącej wybuchała jakakolwiek afera uderzająca w obywateli, praworządność czy konstytucję RP, milczała. A przecież na wiecu Tuska tak płomiennie obiecywała sprawiedliwość i prawo, które nastaną w Polsce, gdy wreszcie upadnie „reżim PiS".

WOLNE SĄDY I ŚWIĄTECZNA NIENAWIŚĆ

Właśnie w tym celu założyła wraz z kolegami inicjatywę Wolne Sądy i Komitet Obrony Sprawiedliwości, na których czele stanęła czwórka prawników-aktywistów. Maria Ejchart-Dubois jest dziś wiceministrem sprawiedliwości, a Michał Wawrykiewicz – europosłem KO. Nic dziwnego, że swoją funkcyjną nagrodę chce teraz odebrać także Gregorczyk-Abram. Gdy rząd PiS próbował reformować sądownictwo, eliminować patologie w gronie tzw. nadzwyczajnej kasty i wybrać tamującą bezkarność Izbę Dyscyplinarną, Wolne Sądy grzmiały o „pisowskim reżimie". Nie przebierano w środkach i sięgano po najbardziej ohydną manipulację. Warto prześledzić serię ich absurdalnych spotów.

Na szczególną uwagę zasługują klipy świąteczne, w których cała wymieniona trójka udzielała się aktorsko. Bombki z ośmioma gwiazdkami ukrywające wulgarne hasło „je...ć PiS" to tylko niewielki element kosmosu nienawiści, którym Wolne Sądy zalały wtedy sieć. W wigilijnym spocie zobaczyć można np. wściekłego Mikołaja-karła nienawidzącego ludzi, który ma przedstawiać Jarosława Kaczyńskiego. W innym klipie liderzy Wolnych Sądów życzą odsunięcia PiS od władzy. „Sami się obdarujmy wspólnym oporem przeciwko złu, obłudzie i niszczeniu wartości, wspólnym działaniem, siostrzeństwem kobiet i solidarnością obywatelską" – apeluje Ejchart. „Aby miłość, przyjaźń, prawo i praworządność zamieszkały między nami. Budujmy wspólnotę ludzi wrażliwych" – mówi Gregorczyk-Abram, a Wawrykiewicz dodaje: „Bądźmy jak mędrcy świata. Połóżmy kres niszczeniu praw i wolności. Połóżmy kres brutalności policji, kolejkom do szpitali, oszukańczym wyborom w pandemii, kłamliwej propagandzie i niszczeniu wolnych sądów".

Jakże gorzko zestarzały się postulaty prawniczych elit KO. Jakoś nie widać ich oporu wobec bezgranicznego bezprawia rządu Tuska. Szybko się okazało, że Wolne Sądy to jedynie projekt polityczny skonstruowany w konkretnym celu – zmiany władzy. Jego liderzy mieli przy tym potężne wsparcie mainstreamowych mediów, które kreowały ich na gwiazdy wolności.

GWIAZDY „WOLNOŚCI"

W czerwcu 2023 r. Gregorczyk-Abram została bohaterką reportażu TVN pod tytułem „Kobiety, którym zależy". „Zawsze czułam w sobie gen aktywistki. Miałam w sobie sporo niezgody na świat, który od zawsze bacznie obserwowałam. Miałam wewnętrznego »wnerwa« na różne rzeczy i starałam się jakoś angażować w sprawy" – wyznaje Gregorczyk-Abram. W materiale laurkę wystawia jej Wawrykiewicz: „Ona ma kodeks jednoznacznie nastawiony na obronę tych najważniejszych praw, zarówno jeśli chodzi o ustrój, o trójpodział władz, niezależność sądownictwa, jak i o prawa człowieka, w tym wrażliwość społeczną".

PRAWNA OCHRONA BEZPRAWIA

Ta wrażliwość wyraża się głównie w obronie praw osób LGBT+ i walczących feministek. Gregorczyk-Abram reprezentowała Elżbietę Podleśną oskarżoną o obrazę uczuć religijnych. To ona rozklejała obrazoburcze wizerunki Matki Bożej Częstochowskiej w tęczowej aureoli. Skąd się znały? Z ulicznych protestów przed Sejmem. „Sylwia pojawiała się gotowa w każdej chwili do reprezentowania tego, w co wierzę".

Wolne Sądy i inne upolitycznione organizacje prawnicze gwarantowały agresywnie protestującym bezkarność, ogłaszając gotowość świadczenia bezpłatnej pomocy prawnej. Nic dziwnego, że na czarnych marszach posuwano się do atakowania policjantów i niszczenia kościołów.

Gregorczyk-Abram wzięła również w obronę Kurdej-Szatan, która w samym szczycie ataku hybrydowego z Białorusi lżyła żołnierzy broniących granic, nazywając ich mordercami. Sprawa, którą prowadziła kancelaria mec. Jacka Dubois, została ostatecznie umorzona. Choć przypadek był ewidentny, sąd nie dopatrzył się zniesławienia funkcjonariuszy Straży Granicznej. Tuż po wyroku celebrytka wylewnie dziękowała mecenasowi Dubois, a w sposób szczególny – właśnie Sylwii Gregorczyk-Abram za „wsparcie mentalne, uspokajanie i dawanie kopa do działania!".

Nowa RPO udzielała podobnego wsparcia szerokiemu gronu działaczy spod znaku „ośmiu gwiazdek". W 2021 r., gdy wybuchła kulminacyjna odsłona wojny hybrydowej, a Polska zmagała się z białoruską operacją Śluza, stanęła dokładnie tam, gdzie rosyjska agentura chciałyby widzieć Polaków. Krytykowała działania rządu i służb mundurowych, a napierających na granicę migrantów uważała za ludzi, którym trzeba pomóc ją przekroczyć.

Czas pokazał, że również ta postawa doczekała się nagrody. W kwietniu 2025 r. Adam Bodnar i Tomasz Siemoniak postawili ją na czele komisji ds. wyjaśnienia mechanizmów represji wobec społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015–2023. Nie była to aktywność wolontaryjna, do dziś jednak opinia publiczna nie poznała wysokości wynagrodzenia, które otrzymała przewodnicząca komisji. Powierzenie Gregorczyk-Abram tej funkcji jest mocno bulwersujące także z innego powodu. Uczestniczyła ona bowiem w długofalowym projekcie Tour de Konstytucja. Jak się okazało, ta inicjatywa rzekomej edukacji prawnej i obywatelskiej była finansowana ze środków zewnętrznych, płynących do Polski, m.in. z funduszy USAID. To jedna z wielu akcji, które mogły stanowić obcą ingerencję w nasze wybory.

eprasa.pl ca127791e6

JAWNIE PRZECIWKO POLSCE

Gregorczyk-Abram wykazywała się porażającą konsekwencją w stawaniu przeciwko interesowi Polski. Występowała przeciwko własnemu państwu przed TSUE i Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. W 2021 r. opublikowała w „Der Spiegel" artykuł, w którym apelowała do władz UE, by zablokować należne Polsce środki unijne. „Nadszedł decydujący moment. Kraje członkowskie i Komisja Europejska nie mogą nadal przyglądać się biernie, jak władze Polski demontują zasady praworządności. Unia Europejska nie może finansować rządu, który naigrywa się z unijnych wartości" – pisała.

Gregorczyk-Abram słynie też ze swoich „śmiałych" interpretacji prawa. Chciała m.in. odwoływać sędziów KRS za pomocą uchwały, podważała status części sędziów, anihilowała rolę Trybunału Konstytucyjnego, nazywając go atrapą. Twierdziła, że sędziowie wybrani do TK, którzy wzięli udział w sejmowym cyrku Włodzimierza Czarzastego, skutecznie złożyli ślubowanie „wobec prezydenta", który nie uczestniczył w wydarzeniu. Aktywnie włączała się także w kampanię wymierzoną przeciwko obecnemu prezydentowi i wpisywała się w pomysły zablokowania jego zaprzysiężenia. Bezpardonowo atakowała prezydenta Dudę za zawetowanie tzw. ustawy incydentalnej, zakładającej, że o ważności wyborów decydowałoby 15 najstarszych stażem sędziów Sądu Najwyższego.

Nie mogło jej zabraknąć na antenie TVP w likwidacji tuż przed wyborami prezydenckimi. Jako „gwiazda praworządności" miała wyznaczyć Polakom kierunek głosowania. Oświadczyła, że wygrana Karola Nawrockiego zahamuje przywracanie praworządności, że Andrzej Duda łamał konstytucję i powinien stanąć przed Trybunałem Sprawiedliwości, a Rafał Trzaskowski będzie w pełni niezależnym prezydentem.

Trudno o bardziej skrajne wyrazy politycznej stronniczości. A jednak to nie koniec dorobku pani mecenas. Brała udział w wielu kontrowersyjnych wydarzeniach, których do dziś nie wyjaśniła i o których najpewniej chciałaby zapomnieć. Ale to one utorowały jej drogę do kariery.

SKOK NA MEDIA PUBLICZNE

Gregorczyk-Abram od pierwszych chwil stanowiła zaplecze prawne dla rządu Tuska. Do dziś nie odpowiada na pytania o udział w grupie Wejście, założonej w komunikatorze WhatsApp, w której omawiano siłowe przejęcie mediów publicznych. Wiemy, że spotkała się z Bodnarem w przeddzień wielkiego skoku na Telewizję Polską. Wydaje się, że momentem rzeczowej konfrontacji z faktami jest ubieganie się o jeden z najważniejszych urzędów w państwie. Podczas prezentacji jej kandydatury podczas komisji sejmowej posłowie zadali więc wiele kluczowych pytań. „Jaka była pani rola przy nielegalnym przejęciu mediów publicznych? Czy konsultowała pani treść jakichkolwiek dokumentów dotyczących przejęcia władz tych spółek, ich likwidacji lub fizycznego zajmowania ich siedzib? Jaka była pani rola przy aferze związanej z kancelarią Clifford Chance i Ewą Wrzosek?" – pytali posłowie. Odpowiadała wymijająco i butnie, manifestując bezkarność i absolutną pewność wygranej.

Tymczasem grupa Wejście obnaża ścisłą współpracę czynników rządowych i pozarządowych przy podejmowaniu bezprawnych działań siłowych. Gdy przejmowano Polską Agencję Prasową, jeden z członków grupy pisał: „PAP to przecież obiekt krytyczny. Wiem, że pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność władzy". Reakcja Gregorczyk-Abram? „Niestety PAP nie jest infrastrukturą krytyczną". Po tym, jak media postawiono w stan likwidacji, prawniczka otrzymała własny program w Polskim Radiu.

> Nikt nie jest chyba aż tak naiwny, by sądzić, że osoba z takim życiorysem będzie reprezentować interesy wszystkich Polaków. RPO będzie odtąd jawnym aktywistą walczącym z konserwatywną wizją świata, którą wielokrotnie publicznie uznawał za szkodliwą

Po jakimś czasie okazało się, że sprawa ma jeszcze jedną szokującą warstwę. Gregorczyk-Abram przyjaźniła się z prokurator Wrzosek, która składała do sądów wnioski mające zablokować działania PiS w sprawie mediów publicznych. Okazuje się, że nie powstawały one w prokuraturze. Dziennikarskie śledztwa wykazały, że mogły zostać przygotowane w kancelarii Clifford Chance – tej samej, w której przez 18 lat pracowała Gregorczyk-Abram i która po przejęciu mediów publicznych objęła nad nimi opiekę prawną. Śledztwo umorzono ze względu na znikomą szkodliwość czynu, a Wrzosek i Gregorczyk-Abram konsekwentnie ignorują pytania w tej sprawie.

DOMYKANIE SYSTEMU

To tylko zarys szerokiej działalności Gregorczyk-Abram, która z zaangażowaniem prowadziła polityczną wojnę z PiS. Nic dziwnego, że Tusk tak promuje swój cenny aktyw. „Jest ciągle młodą osobą, a zrobiła naprawdę bardzo dużo i ja o tym mówię z pełnym przekonaniem. Zrobiła bardzo dużo dla obrony niezależności systemu wymiaru sprawiedliwości w Polsce" – oświadczył tuż po sejmowym głosowaniu. Siła tej bezczelności nie przestaje zdumiewać. Nikt nie jest chyba aż tak naiwny, by sądzić, że osoba z takim życiorysem będzie reprezentować interesy wszystkich Polaków. Rzecznik Praw Obywatelskich będzie odtąd jawnym aktywistą walczącym z konserwatywną wizją świata, którą wielokrotnie publicznie uznawał za szkodliwą. Można się spodziewać, że będzie rzecznikiem tylko jednej strony sporu politycznego. Co to wszystko oznacza? Nadchodzi kolejne uderzenie w konstytucyjne prawa obywateli. Decyzja zapadła. System ma zostać trwale domknięty.

eprasa.pl ca127791e6



STANISŁAW JANECKI

Prawo i Sprawiedliwość znajdzie wyjście z wewnętrznego kryzysu, bo najważniejsze jest niedopuszczenie do trwania Donalda Tuska u władzy



Osobno

To nie politycy Koalicji Obywatelskiej czy Konfederacji najbardziej emocjonują się ewentualnym rozpadem Prawa i Sprawiedliwości jako jego beneficjenci. Skrajnie podekscytowane są prorządowe media (Onet, TVN24, TVP Info, „Gazeta Wyborcza"), a to dlatego, że starają się sterować tym „rozpadem". To one stymulują większość pyskówek między frakcjami maślarzy a harcerzy w PiS, podsycając konflikty między nimi. To znana z czasów komunistycznych „organizatorska" funkcja mediów.

Oczywiście problem jak najbardziej istnieje, bo gdyby nie istniał, 15 lipca 2026 r. prezes Jarosław Kaczyński nie postawiłby twardego warunku: albo Stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego, albo Prawo i Sprawiedliwość. Pośredniego wyjścia nie wskazał, to znaczy że ci, którzy nie opuszczą stowarzyszenia, pożegnają się z partią. I zaraz prorządowe media zaczęły dzielenie skóry na niedźwiedziu, czyli utworzyły partię Mateusza Morawieckiego.

Stosowne badanie w pracowni Opinia24 zamówiły „Fakty" TVN i TVN24. Zapytano Polaków, na kogo oddaliby swój głos, gdyby po rozłamie w PiS powstała partia Morawieckiego. KO poparłoby 30,9 proc. badanych (spadek o 0,4 pp. w stosunku do badania nieuwzględniającego „partii Morawieckiego"), PiS – 17,7 proc. (o ponad 5 pp. mniej niż w przypadku wspólnego startu z „partią Morawieckiego"). Na Konfederację głosy oddałoby 12,9 proc. badanych, a na Konfederację Korony Polskiej – 9,6 proc. Lewica mogłaby liczyć w tym scenariuszu na 7,1 proc. głosów, a Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego – na 6,2 proc.

Jeszcze przed tym badaniem w PiS (niezależnie od frakcji) można było usłyszeć, że rozłam jest nieunikniony – nawet jeśli nie w najbliższym czasie, to najdalej za kilka miesięcy, ale jeszcze w 2026 r., mimo że Mateusz Morawiecki robi wszystko, by nie zostać wyrzuconym z partii. Dlatego proponuje formułę działania stowarzyszenia wewnątrz PiS, która oficjalnie nie została odrzucona, ale nie jest też akceptowana. Głównie z tego powodu, że Morawiecki nie zrezygnował ze słynnego „grilla" 31 lipca 2026 r., czyli spotkania swoich zwolenników w Warszawie. Tego „grilla" na 1 tys. osób frakcja maślarzy nazwała kongresem programowym i założycielskim partii Morawieckiego. Czy zatem do rozpadu Prawa i Sprawiedliwości już doszło?

PARTIA ALBO STOWARZYSZENIE

Ci zwolennicy Mateusza Morawieckiego, którzy nie wysłali deklaracji o wyjściu ze Stowarzyszenia Rozwój Plus, zostaną zawieszeni. Nie oznacza to wyrzucenia z PiS, lecz raczej sygnał ostrzegawczy, że następnym krokiem będzie jednak wykluczenie. Niektórzy buntownicy się z tym liczą, np. eurodeputowany Piotr Müller, który w Radiu ZET stwierdził, iż problem polega na tym, że „jest w partii grupa posłów, która próbuje robić wszystko, aby PiS stał się dawną Suwerenną Polską". Z kolei Marcin Horała w Polskim Radiu zanegował status Prezydium Komitetu Politycznego, skoro „to gremium jest absolutnie niereprezentatywne dla całości naszej formacji, a co dopiero dla elektoratu tej formacji".

Maślarze szacują, że twardych zwolenników Morawieckiego, gotowych na wyrzucenie z partii, jest wśród posłów może 20. Pod koniec lipca 2026 r. odbę-

eprasa.pl ca127791e6



Fot. Jacek Domiński/REPORTER

dzie się Komitet Polityczny PiS, który – jak to ujął rzecznik partii Rafał Bochenek – „podejmie decyzje statutowe zatwierdzające decyzje parlamentarzystów co do członkostwa w PiS. Złożenie oświadczenia jest warunkiem koniecznym członkostwa w naszej formacji politycznej". W TVP Info rzecznik PiS dodał, że decyzja komitetu politycznego będzie „wtórna", ponieważ nastąpi tylko zatwierdzenie decyzji poszczególnych parlamentarzystów w sprawie złożenia deklaracji o braku przynależności do stowarzyszeń prowadzących działalność „o charakterze politycznym". Dlatego członkowie stowarzyszenia byłego premiera mieli dzwonić do centrali partii, prosząc o spotkanie z kierownictwem PiS (formalnie w tym kierownictwie jest także Mateusz Morawiecki jako wiceprezes partii).

Wpłynęła już deklaracja europosła Daniela Obajtka. Ale ten we wpisie na platformie X apelował, by nie wykorzystywać jego „deklaracji o jedności do dalszych ataków i kłótni". „Jestem za jednością w PiS. [...] Natomiast ta jedność nie powinna oznaczać wyrzucenia z partii Mateusza Morawieckiego. Proszę, żeby nie wykorzystywać mojej deklaracji o jedności do dalszych ataków i kłótni. Pokój w PiS! Tego potrzebujemy. Wróg jest gdzie indziej. O tym pamiętajmy" – zaznaczył Obajtek.

W PiS jedni są przekonani, że Morawiecki i jego zwolennicy ze Stowarzyszenia Rozwój Plus zostaną wyrzuceni z partii, inni są pewni, że Jarosław Kaczyński w ostatniej chwili doprowadzi do porozumienia z Mateuszem Morawieckim. Są też tacy, którzy nie widzą szans porozumienia ze względu na „skalę nienawiści" między frakcją Morawieckiego a takimi politykami jak Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński, Patryk Jaki czy Jacek Sasin. Również w tę rozgrywkę włączyła się stacja TVN24.

Pracownia Opinia24 na zlecenie „Faktów" TVN i TVN24 przeprowadziła sondaż o sytuacji w PiS. O tym, że były premier Morawiecki powinien pozostać w Prawie i Sprawiedliwości, przekonanych jest 29 proc. respondentów, 34 proc. zaś uważa, że nie powinien on już należeć do partii. Respondentów zapytano też o przyczyny konfliktu w PiS. 19 proc. wskazało na „działania Jarosława Kaczyńskiego", 8 proc. uznało, że za konflikty w partii odpowiedzialne jest „działanie Mateusza Morawieckiego", a 48 proc. badanych wskazało, że obie strony przyczyniły się do konfliktu w podobnym stopniu.

Z badania pracowni Opinia24 wynika też, że 30 proc. respondentów oceniło, iż lepszym premierem przyszłego rządu byłby Mateusz Morawiecki. Przemysława Czarnka, obecnego kandydata partii na szefa rządu, wskazało jedynie 11 proc. badanych. Media idą jeszcze dalej, wybierając następcę Jarosława Kaczyńskiego. W sondażu przeprowadzonym przez Instytut Badań Pollster dla „Super Expressu" 46 proc. respondentów chciałoby, aby miejsce Jarosława Kaczyńskiego zajął Mateusz Morawiecki. Z kolei wśród zdeklarowanych wyborców PiS wskaźnik ten wyniósł 34 proc. „Super Express" skomentował to tak, że były premier cieszy się szerszym poparciem wśród wyborców różnych partii, ale wśród sympatyków PiS mierzy się z silną konkurencją. Drugie miejsce w tym badaniu zajął były minister edukacji Przemysław Czarnek – 18 proc. poparcia ogółem i 21 proc. wśród wyborców PiS. Na trzecim miejscu znalazła się była premier Beata Szydło – 15 proc. głosów ogółu respondentów i 11 proc. sympatyków PiS. Na czwartym miejscu uplasował się były minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro – ogólnie 9 proc. głosów, a wśród elektoratu PiS – 7 proc.

NIE DLA DWUWŁADZY

Były premier Mateusz Morawiecki publicznie deklaruje, że nie zamierza opuszczać partii: „Prawo i Sprawiedliwość nie jest własnością żadnej grupy ani żadnej frakcji. Jest wspólnym domem milionów Polaków, którzy uwierzyli, że Polska może być dumna. Polska może być silna, sprawiedliwa i ambitna. Nie możemy być partią hermetyczną i wsobną. Bądźmy wielkim obozem polskich spraw". Kandydat

eprasa.pl ca127791e6

PiS na premiera Przemysław Czarnek ucieszył się z deklaracji Morawieckiego, że chce pozostać w Prawie i Sprawiedliwości. Zaznaczył jednak, iż obowiązuje „minimum lojalności wobec partii", a osoby, które chcą odejść, powinny uczynić to szybko i nie robić bałaganu.

Prorządowe media spekulują, że Jarosław Kaczyński uznał, iż konfliktu nie da się już zamrozić ani przykryć pojednawczymi komunikatami. Ponoć chce sprawdzić, ilu ludzi Morawieckiego jest gotowych zaryzykować partyjną przyszłość i miejsca na listach. Mateusz Morawiecki w specjalnym nagraniu przekonywał, że różnica zdań nie jest zdradą, praca programowa nie jest rozłamem, a prawica nie powinna mylić rywalizacji z wojną domową.

Przeciwnicy byłego premiera uważają, że próbuje on jednocześnie pozostać w partii i budować własną formację polityczną, korzystając z tego, że jest wiceprezesem PiS. W otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego dominuje przekonanie, że ustępstwo na rzecz Morawieckiego oznaczałoby zgodę na funkcjonowanie w PiS autonomicznego ośrodka władzy. Lepsze od dwóch konkurujących z sobą ośrodków władzy miałoby być odejście części działaczy.

W PiS słychać głosy, że Mateuszowi Morawieckiemu początkowo nie chodziło o założenie nowej partii, tylko o przejęcie tej, której jest wiceprezesem. Dopiero kiedy stwierdził, że obecnie jest to niemożliwe, przeszedł do realizacji planu B, czyli założenia nowej partii, która z czasem wchłonęłaby PiS.

Andrzej Stankiewicz z Onetu przedstawił teorię spiskową, podobno popularną w Konfederacji. Według niej rozłam został wygenerowany sztucznie, by umożliwić Jarosławowi Kaczyńskiemu rywalizację z Konfederacją Mentzena i Konfederacją Korony Polskiej Brauna. Miało być tak, że prezes PiS sięgnie po wyborców o mocno prawicowych poglądach, a Mateusz Morawiecki po tych z umiarkowanego centrum. Wedle tej teorii byli premierzy dogadali się w ten sposób, że Morawiecki dostał nowe możliwości, mogące doprowadzić do efektywnych sojuszy, nawet mimo konfliktów, np. z PSL. Zdaniem Stankiewicza to nie przypadek, że Adam Bielan jest teraz po stronie Morawieckiego. Może to oznaczać, że „Jarosław Kaczyński wysłał go tam wcześniej, a Adam Bielan jest podwójnym agentem, który gra z Morawieckim".

O tym, że gra jest piętrowa, mówił dla Onetu dr Bartosz Rydliński, politolog z UKSW: „Potrafię sobie wyobrazić sytuację, w której Władysław Kosiniak-Kamysz wyciąga pomocną dłoń do Mateusza Morawieckiego i odwrotnie. Sygnał, że taki dialog jest możliwy, już się pojawił, choćby podczas wspólnego panelu dyskusyjnego obu polityków w Rzeszowie. Morawiecki nie jest skazany na Kaczyńskiego, a Kosiniak-Kamysz nie jest skazany na Tuska. Donald Tusk musiał niedawno przełknąć wspólne głosowanie PSL z Prawem i Sprawiedliwością w sprawie prezesa IPN. […] PSL jest najdłużej współrządzącą partią w historii Polski. W DNA tej formacji jest myślenie o przyszłych koalicjantach".

> Skrajnie podekscytowane konfliktem w PiS są media prorządowe (Onet, TVN24, TVP Info, „Gazeta Wyborcza") i to one starają się sterować tym „rozpadem". Stymulują większość pyskówek między frakcjami maślarzy i harcerzy, podsycając konflikty między nimi

Rydliński nie przesądza o sojuszu PSL i Stowarzyszenia Rozwój Plus, ale nie wyklucza takiej możliwości, „zwłaszcza że mógłby pojawić się efekt synergii. Władysław Kosiniak-Kamysz w dwóch ostatnich wyborach nie startował sam – raz z Szymonem Hołownią, wcześniej z Pawłem Kukizem. PSL już to przerabiało i za każdym razem na tym zyskiwało. Takie przetasowanie przed wyborami mogłoby wzmocnić zarówno Morawieckiego, jak i Kosiniaka-Kamysza".

NIE POMAGAĆ TUSKOWI!

Niektórzy politolodzy uważają, że Mateusz Morawiecki nie chce odejść z PiS, żeby nie być atakowanym jako „zdrajca, który opuścił partię". Bardziej opłaca mu się wyrzucenie z Prawa i Sprawiedliwości, gdyż on i jego zwolennicy mogą potem przedstawiać opinii publicznej narrację, że to kierownictwo PiS i sam prezes Jarosław Kaczyński doprowadzili do kryzysu. W takim wypadku „wyrzuceni" przedstawialiby się jako patrioci PiS, którzy zostali zdradzeni przez partię. Wykluczenie nie jest jednak proste w sytuacji, gdy frakcja Morawieckiego liczy nie kilku, a ponad 40 posłów. Utrata tylu mandatów stanowiłaby poważny problem. W dodatku Morawiecki, nawet gdyby pozostało przy nim tylko ok. 20 posłów, byłby w stanie stworzyć własny klub. To oznaczałoby zmiany w składach komisji sejmowych, a więc także utratę przewodnictwa w niektórych z nich. Poza tym Mateusz Morawiecki jest szefem partii Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, a usunięcie go z tej funkcji nie byłoby ani proste, ani opłacalne politycznie.

Badanie na zlecenie „Faktów" TVN i TVN24 dowiodło, że rozłam w PiS odbiłby się negatywnie na poparciu dla tej partii. Dla jej wyborców to, że Prawo i Sprawiedliwość nie jest już numerem jeden po stronie opozycji, psychologicznie byłoby trudne do zniesienia. Jarosław Kaczyński jest jednak na tyle doświadczonym politykiem, że w ostatniej chwili może znaleźć rozwiązanie zadowalające obie strony konfliktu. Dotychczas zawsze dysponował różnymi scenariuszami, które pozwoliły Prawu i Sprawiedliwości pozostać najważniejszym graczem przez dwie dekady.

Jarosław Kaczyński zrobi wszystko, by nie dopuścić do degradacji własnej formacji. Będzie dążył do stworzenia rządu z pakietem kontrolnym, tym bardziej że koalicja rządząca sama się podkłada i realnie to ona ma znacznie więcej poważnych problemów niż PiS. Umożliwienie przetrwania rządowi Tuska byłoby niewybaczalnym błędem i to też jest ważny argument przemawiający za znalezieniem wyjścia z kryzysu w Prawie i Sprawiedliwości.

eprasa.pl ca127791e6



Afery Szpitala Południowego nie zamiotą do wyborów

Premier Tusk, widząc oburzenie, jakie wywołała ta afera (porównywalne ze słynnymi „ośmiorniczkami"), zaczął budować swoją narrację. Zażądał przedstawienia w trzy dni koncepcji reformy systemu ochrony zdrowia. To śmieszne i niepoważne, a do tego niemożliwe

Z prof. dr. hab. n. med. Piotrem Czaudernąm, chirurgiem dziecięcym, doradcą prezydenta Karola Nawrockiego i przewodniczącym prezydenckiej Rady Zdrowia, rozmawia Jerzy Szmit

Jaka była pana pierwsza reakcja na aferę w Szpitalu Południowym w Warszawie?

Piotr Czauderna: Niedowierzanie, szczególnie gdy okazało się, że nieprawidłowości dotyczą nie tylko wysokich zarobków czy zatrudnienia osoby bez kwalifikacji, ale za to z rekomendacji partyjnej. Znacznie poważniejsze jest to, co powiedział dr Emil Jędrzejewski. Powstała sytuacja, która może zachwiać podstawami polskiego systemu ochrony zdrowia. Przede wszystkim zaś podważyło to zaufanie pacjentów do lekarzy.

Po kilku dniach od wybuchu afery premier Donald Tusk przyznał, że działają saloniki VIP i zeszyty. Obiecał, że z tym skończy.

Pan premier Tusk chce oddalić zagrożenie od siebie i swojej formacji politycznej. Ujawniono jednak istnienie zorganizowanego systemu świadczeń dla rządzących, działającego na znacznie lepszych warunkach niż dla pozostałych pacjentów. Czym innym jest telefon od przyjaciela czy znajomego, by pomóc czy doradzić – każdy lekarz słyszy takie prośby – a czym innym zbudowany system dla swoich. Premier, widząc oburzenie, jakie wywołała ta afera (porównywalne ze słynnymi „ośmiorniczkami"), zaczął budować swoją narrację. Zażądał przedstawienia w trzy dni koncepcji reformy systemu ochrony zdrowia. To śmieszne i niepoważne, a do tego niemożliwe. Jeżeli taka koncepcja byłaby przygotowana, dawno zostałaby przedstawiona.

Rząd i usłużne media próbują skierować złość opinii publicznej na kwestię wysokości zarobków lekarzy, które rzeczywiście mogą szokować.

To na pewno wymaga regulacji. Zarobki rzędu 100 tys. zł i więcej miesięcznie szokują. Przecież pochodzą ze środków publicznych. Spójrzmy

Fot. Przemysław Keler/KPRP

eprasa.pl ca127791e6

jednak na źródło problemu, bo gorączka jest objawem, a nie przyczyną choroby. Tą jest chora konkurencja pomiędzy szpitalami, które walczą o personel, m.in. dlatego, że stale pracują w trybie ostrodyżurowym i potrzebują pełnej obsady. Z kolei mniejsze szpitale czy oddziały, aby wypełnić wygórowane wymogi kadrowe, a czasem wynikające z zaszłości czy lobbingu określonych grup zawodowych, zaczynają oferować stawki rzędu 300–400 zł za godzinę, np. na oddziałach zabiegowych, które nie są w stanie wyrobić swojego kontraktu, albo na SOR, którym brakuje obsady. Przyjeżdżają wówczas zespoły lekarzy albo pojedynczy specjaliści z zewnątrz i za ogromne pieniądze wykonują określone procedury. Tego właśnie dotyczy głośna sprawa w szpitalu w Miastku, gdzie zewnętrzna spółka medyczna w ciągu 14 miesięcy na kontrakcie zarobiła 13 mln zł, a szpital jest na skraju bankructwa.

A inne propozycje rządu?

Większość z nich w żaden sposób nie poprawi dostępności do świadczeń i nie skróci kolejek do specjalistów. Jeżeli wymusimy pracę lekarzy w jednym miejscu, to część oddziałów zostanie zamknięta w innym, bo tam lekarzy zabraknie. Powtórzy się historia z porodówkami. Jeżeli Narodowy Fundusz Zdrowia zamierza wprowadzić zasadę, że nadwykonania będą płatne dopiero w kolejnym roku, to oznacza, że dyrekcje szpitali zakażą realizacji zabiegów ponad kontrakt. A limity ustalono dawno temu i nie odpowiadają dzisiejszym potrzebom. Kogo stać, aby bezodsetkowo przez rok kredytować NFZ? Przecież koszty trzeba pokrywać na bieżąco. Wobec tego sytuacja pacjentów może się tylko pogorszyć.

Grozi nam upadek służby zdrowia?

Wielkie systemy nie upadają z dnia na dzień. Stają się coraz bardziej niewydolne. Już teraz szpitale są rekordowo zadłużone, na 30 mld zł. Deficyt NFZ sięga 15–20 mld zł, w przyszłym roku zapewne wzrośnie, będzie nerwowe i chaotyczne poszukiwanie oszczędności. Najbardziej boli, że zmarnowano moment, gdy było przyzwolenie społeczne na głębokie zmiany. Obecny system bazuje na złożeniach sprzed 20–30 lat i zupełnie nie odpowiada rzeczywistości oraz współczesnej medycynie.

W czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości nakłady na służbę zdrowia wzrosły trzykrotnie i zbliżyły się do 7 proc. PKB. Czy to wystarczy?

Kraje Europy Zachodniej wydają 10–12 proc. Wobec tego nie jesteśmy w stanie zapewnić opieki, jakiej oczekuje społeczeństwo, bo koszty radykalnie wzrosły. Badania są coraz bardziej skomplikowane, pojawiają się coraz droższe leki, nowe terapie, leczenie nowotworów dzięki terapiom celowanym czasem rozciąga się na wiele lat, a nowotwory stają się rodzajem choroby przewlekłej. To generuje rosnące obciążenia finansowe systemu. Słyszymy o zbiórkach na leki czy terapie, czasami w Stanach Zjednoczonych, których koszty wynoszą kilkanaście milinów złotych.

O tym nikt nie chce rozmawiać.

Postawmy najważniejsze pytanie: jakie realne cele powinna realizować polska, nowoczesna służba zdrowia i za jakie nakłady? Takiej dyskusji nie ma. Obecne wzburzenie jest przekierowywane na sprawę pensji lekarzy, a to buduje konflikt i emocje, które uniemożliwiają racjonalną debatę o systemie. Trzeba zwalczać nadużycia i skandale, ale nie możemy na tym poprzestać. W br. budżet NFZ wynosi 217 mld zł, a jego koszty działania to 1,7 mld zł, czyli ok. 0,8 proc. Za takie pieniądze nie jest możliwe skuteczne nadzorowanie wydatkowania tak ogromnych środków. W administracji samorządowej czy dużych instytucjach finansowych wydatki na zarządzanie i kontrolę wynoszą 10–15 proc. Wobec tego NFZ traktuje wszystkich, jakby byli nieuczciwi, co ogromnie utrudnia pracę.

Politycy obawiają się reformować służbę zdrowia, bo grozi to porażką wyborczą?

To powszechna opinia wśród polityków i części społeczeństwa. Ale jeśli ktoś chce zaczynać reformy w czwartym roku rządów, to mu się nie uda. Jeżeli jednak mamy dobrą koncepcję i zabierzemy się do ciężkiej pracy od pierwszego roku, jest szansa na powodzenie. Zaznaczam – każda duża reforma systemu powinna być rozłożona co najmniej na 10 lat i nigdy się nie skończy, bo medycyna się zmienia i zawsze jest coś do poprawienia.

Od czego należałoby zacząć?

Od ograniczenia liczby szpitali funkcjonujących w trybie ostrego dyżuru. To generuje bardzo wysokie koszty i rozkręca rujnującą licytację stawek, które szpitale są gotowe płacić specjalistom. Po drugie – dopasowanie sieci szpitali do rzeczywistych potrzeb. To nie może być decyzja wyłącznie polityczna, według jednej opinii czy wzoru. Jej podjęcie muszą poprzedzić rzetelne analizy, jak pokazuje przykład porodówki w Lesku – każdy pomysł można zepsuć. Reforma ma poprawić dostęp do usług i racjonalizować organizację, a nie wprowadzać koncepcje wymyślone w ministerstwie. Skutecznie można zarządzać zmianami tylko z poziomu wojewódzkiego. Dlatego należy wprowadzić odpowiedzialność władz terytorialnych różnych szczebli za poszczególne segmenty systemu. Potrzebujemy zarówno przeglądu regulacji dotyczących finansowania służby zdrowia, jak i wprowadzenia referencyjności szpitali oraz rozdzielenia tego, czym się one zajmują, bo współczesna medycyna staje się coraz bardziej wyspecjalizowana. Rozważyłbym też powrót do finansowania ratownictwa medycznego i SOR z budżetu państwa. Tam często płaci się za gotowość, ponadto odciążyłoby to budżet NFZ. Rozważyłbym też, czy w ramach bezpłatnych list leków, np. dla osób 65+, nie finansować wyłącznie leków generycznych, jeśli są dostępne, bo są tańsze od leków oryginalnych. Rozumiem, że z pewnych rzeczy trudno się teraz wycofać, trzeba jednak uczciwie powiedzieć, na co nas stać. Bardzo wiele dobrego da się zrobić za pomocą tych narzędzi prawnych, które istnieją.

Dzisiaj działamy pod wpływem impulsów medialnych. Jest problem

eprasa.pl ca127791e6

z zarobkami personelu, więc szybko przygotujemy ustawę. Szybko to znaczy bez analizy celów, wariantów rozwiązań (w „trzy dni", jak zarządził premier Tusk). W takiej sytuacji po co nam analizy i namysł, skoro decyzja zapadła?

W rozmowach o służbie zdrowia pada słowo „prywatyzacja". Jak się pan do tego odnosi?

Nie jestem entuzjastą prywatyzacji w ochronie zdrowia, bo może to prowadzić do wielkich nadużyć, szczególnie jeśli państwo nie jest silnym prawodawcą i regulatorem. W Stanach Zjednoczonych, gdzie medycyna jest prywatna i na ochronę zdrowia wydaje się najwięcej na świecie, czyli 16–17 proc. PKB, sytuacja wcale nie jest idealna, a reformy mało zmieniają. Są miliony ludzi niedoubezpieczonych albo zupełnie nieubezpieczonych. Jak każde prywatne przedsiębiorstwo medycyna prywatna działa dla zysku, więc najlepiej realizować wysoko opłacalne procedury.

W Polsce funkcjonuje nieracjonalny i niespójny system rozliczeń. W podstawowej opiece zdrowotnej, czyli u lekarzy rodzinnych, mamy stawkę kapitacyjną, tj. według liczby zapisanych pacjentów. Ta grupa lekarzy powinna być „stymulowana" również finansowo, aby w możliwie dużym stopniu zajmowała się obsługą pacjentów, a nie tylko przekazywaniem ich do specjalistów, jak często się dzieje. Ich zadaniem powinno być utrzymywanie pacjentów w jak najlepszym zdrowiu, aby nie musieli niepotrzebnie korzystać ze szpitali. Trzeba też niejako „wymusić" ich współpracę z placówkami ambulatoryjnej medycyny specjalistycznej.

Lekarze, którzy prowadzą niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej, twierdzą, że muszą się zmieścić w kontraktach, szpitale nie muszą natomiast liczyć się z kosztami, bo nie mogą zbankrutować.

Sądzę, że w tej chwili nie ma zgody na kolejne oddłużanie, bo to za każdym razem prowadziło do ponownego zadłużenia. Niemniej zauważmy, że prawie cała podstawowa opieka zdrowotna oraz znaczna część ambulatoryjnej opieki specjalistycznej, czyli przychodni specjalistycznych, znalazła się w rękach prywatnych. Oczywiście działają one, bazując na kontraktach z NFZ i są kontrolowane przez Fundusz, a dla pacjentów pozostają bezpłatne. Ale paradoksalnie, aby poszerzać sektor prywatny, konieczny jest silny publiczny aparat kontrolny i regulacyjny. Samorząd słabo się tu bowiem sprawdza. Wielkim zagrożeniem wynikającym z prywatyzacji jest sytuacja, gdy ktoś na rynku wybiera najlepiej opłacone usługi, a odmawia realizacji tych mniej rentownych, ale równie potrzebnych pacjentom. Prywatyzacja nie jest więc lekiem na całe zło i musi pozostawać pod ścisłą i silną kontrolą władzy publicznej.

> Jeżeli wymusimy pracę lekarzy w jednym miejscu, to część oddziałów zostanie zamknięta w innym, bo tam lekarzy zabraknie. Powtórzy się historia z porodówkami

Czy lekarzy w Polsce jest za mało?

Tak, choć zaczęło się to zmieniać dzięki otwarciu nowych kierunków studiów i nowych wydziałów lekarskich. Działo się to w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości i spotykało się z dużą krytyką. Choć pamiętajmy, że studia lekarskie trwają sześć lat, a potem konieczne jest jeszcze dalsze kształcenie, specjalizacja oraz niezbędna praktyka, aby zostać w pełni samodzielnym medykiem – czyli minimum 11–12 lat. Kolejna sprawa to wyjazdy lekarzy za granicę. Udało się to powstrzymać, ale w przypadku nieodpowiedzialnych decyzji politycznych to może wrócić. A jest to zjawisko skrajnie niekorzystne.

Obecny rząd wstrzymał rekrutację na część nowych kierunków medycznych czy uczelni, które powstawały w czasach rządów PiS.

Jedynym kryterium przy podejmowaniu takich decyzji mogą być wyłącznie względy merytoryczne i poziom kształcenia. Jednak z tego, co wiem, z kształceniem na tych nowych wydziałach lekarskich wcale nie jest najgorzej. Chętnie stosuje się tam nowoczesne metody nauczania, ponieważ w medycynie zachodzą ogromne i błyskawiczne zmiany. Dawniej w znacznym stopniu uczono przez kontakt z pacjentami. Oczywiście nie można tego zarzucić, ale dzisiaj nie wszyscy pacjenci się na to godzą.

Jest pan wybitnym chirurgiem, pracującym na najwyższych obrotach. Ma pan trójkę dzieci, a jednocześnie bardzo aktywnie angażuje się w życie publiczne. Organizuje pan operowe koncerty charytatywne z gwiazdorską obsadą, wiele podróżuje, a znajomi mówią, że ma pan zamiłowanie do dobrej kuchni. Jak potrafi pan to pogodzić?

Bardzo dobre pytanie! Zawsze miałem wiele różnych zainteresowań. Długo nie mogłem się zdecydować, czy wybrać drogę chirurga dziecięcego, kardiochirurga czy kardiologa. Pociągają mnie obszary pozamedyczne (zwłaszcza muzyka i podróże) – to odskocznia od codziennych zajęć, choć gotuję już rzadko. Zdarza mi się operować charytatywnie dzieci w Panamie czy na Ukrainie. Przede wszystkim jednak ogromnym wsparciem i wyręką w codziennych zajęciach jest moja ukochana żona. Wielką radością jest czworo wnucząt. Myślę, że to wszystko się udaje, bo sporo się modlę i wiele osób modli się za mnie. Czasami przychodzą do mnie pacjenci i pytają, jak podziękować. Proszę o modlitwę za moją rodzinę i za mnie. To najlepsza forma podziękowania. Myślę, że Bóg mnie wspiera, bo mimo swoich lat, pracy na wielu polach i na intensywnych obrotach jestem w stanie to wytrzymać. Nie wiem, jak długo, ale na razie się udaje.

eprasa.pl ca127791e6



Zamach na mir domowy

Ustawa o najmie krótkoterminowym jest sztandarowym przykładem antywspólnotowej polityki rządu. Dla obecnej koalicji opinia i komfort życia większości Polaków nie mają żadnego znaczenia. Liczy się wyłącznie zysk niewielkiej garstki rentierów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Uważam, że trzeba zbalansować interes tych, którzy chcą spokojnie mieszkać we własnym bloku z interesami tych, którzy chcą tam prowadzić działalność gospodarczą” – powiedział w rozmowie z WP minister infrastruktury Dariusz Klimczak (PSL).

Co to znaczy zbalansować? A przede wszystkim od kiedy bloki mieszkalne służą do prowadzenia działalności gospodarczej? I dlaczego ich mieszkańcy muszą godzić się na to, aby ktoś w ich sąsiedztwie prowadził taką działalność? Być może byłoby to zrozumiałe w ubogim, pozbawionym podstawowej infrastruktury kraju afrykańskim, ale Polska – pod rządami Tuska – szykuje się podobno do budowy własnego statku kosmicznego.

Ministrowi Klimczakowi i innym członkom rządu, którzy handlują prawem ludzi do życia w spokoju i odmawiają im prawa do współdecydowania o własnym otoczeniu, należałoby życzyć, aby ktoś bez ich zgody uruchomił im za ścianą agencję towarzyską albo tanie pokoje na wynajem. A po kolejnych nieprzespanych nocach i awanturach odpowiedział, że trzeba zbalansować przeciwstawne interesy.

Oczywiście nic takiego się nie wydarzy, bo autorzy nieszczęsnej ustawy o najmie krótkoterminowym, która wyjmuje tę działalność spod jakiejkolwiek kontroli społecznej, żyją w kompletnej izolacji. Jak trafnie zauważył jeden z użytkowników platformy X, „oni chyba serio mieszkają wyłącznie na strzeżonych osiedlach i w podwarszawskich willach szczelnie otoczonych tujami”.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ca127791e6

BIZNES NA WIELKĄ SKALĘ

Airbnb jest amerykańską platformą internetową umożliwiającą wynajem lokali od osób prywatnych. To kolejny – obok takich serwisów jak Bolt czy Uber – biznes nowego typu, który sam niczego nie wywarza, lecz generuje zyski dzięki kojarzeniu ze sobą sprzedawców i kupców.

Według ostatnich danych przychody Airbnb w 2024 r. osiągnęły rekordowy wynik na poziomie 11,1 mld dol. Polacy wynajmujący mieszkania w ramach Airbnb zarobili 729 mln zł, podczas gdy cały sektor najmu krótkoterminowego w naszym kraju zanotował 2,5 mld zł zysku.

Z szacunków platformy analitycznej AirDNA wynika, że na polskim rynku jest w tej chwili ok. 70 tys. aktywnych ofert najmu krótkoterminowego. Wśród lokalizacji udostępnionych przez portal Deweloperuch na pierwszym miejscu znajduje się Warszawa z ponad 8 tys. ofert, dalej są Trójmiasto (ponad 7 tys.), Kraków (ponad 6 tys.), powiat tatrzański (powyżej 5 tys.) i Wrocław (ok. 3 tys.).

Pewna część tych ofert dotyczy mieszkań wynajmowanych okazjonalnie (np. wynajmujący wyjeżdżają na krótki okres i zgłaszają swoje mieszkanie jako lokal na wynajem), inne są rodzajem drobnej działalności gospodarczej – właściciel mieszkania żyje z regularnego wynajmowania swojego lokalu turystom. W ostatnich latach doszło jednak do profesjonalizacji i konsolidacji rynku, na którym coraz większą rolę zaczęli odgrywać bogaci rentierzy, dysponujący niekiedy kilkoma setkami mieszkań pod wynajem. W tegorocznym raporcie Inside Airbnb podane są przykłady operatorów dysponujących nawet 607 ofertami w Gdańsku i 522 w Warszawie. Coraz częściej mamy więc do czynienia z regularną działalnością biznesową na dużą skalę, tyle że prowadzoną w prywatnych mieszkaniach.

ZARAZA POŻERA MIASTO

Od kilku lat da się zauważyć zmiany na rynku hotelarskim w Polsce. W atrakcyjnych miejscach rośnie udział drogich hoteli przy jednoczesnym zastoju w tańszym segmencie. Wiele wskazuje na to, że jest to konsekwencja gwałtownego rozwoju najmu krótkoterminowego. Po prostu nie opłaca się proponować tańszych miejsc w hotelach, skoro mniej zamożni turyści mają do wyboru bogatą ofertę noclegów w prywatnych mieszkaniach.

Najem krótkoterminowy zabija tanie hotele, bo zawsze pokona je ceną. Jak wyliczył jeden z internautów, taki przybytek nie generuje kosztów ochrony, bo za darmo zapewnią ją sąsiedzi. Właściciel nie musi sprzątać klatki schodowej ani innych przestrzeni wspólnych, bo na pokrycie kosztów zrzucają się wszyscy mieszkańcy domu. Nie musi też prowadzić recepcji. Obowiązków rejestracyjnych tutaj nie ma, a kłódkę z kodem można wywiesić na bramie. Nie musi wreszcie spełniać norm przeciwpożarowych ani sanitarnych, bo to przecież tylko „mieszkanie". Jest to więc klasyczny przykład prywatyzacji zysków przy uspołecznieniu kosztów.

Łatwy zysk sprawił, że najem krótkoterminowy zaczął się gwałtownie rozpowszechniać, stając się zarazą niszczącą polskie miasta. W ścisłym śródmieściu Krakowa – zwłaszcza w obrębie tzw. II obwodnicy miasta – coraz trudniej jest dziś znaleźć dawnych mieszkańców. Niektórzy z nich padli ofiarą mafii reprywatyzacyjnej, innych wykurzyły „usługi hotelarskie". Pozostały tylko kancelarie prawne, usługi i mieszkania dla turystów oraz bogaci krezusi, dla których zrewitalizowano atrakcyjnie położone stare kamienice, zamieniając je w luksusowe apartamentowce.

Podobne „porządki" panują w Warszawie, zwłaszcza w centrum, które już dawno zatraciło swoje funkcje mieszkalne. Są ulice, np. Chmielna, gdzie praktycznie całe domy zostały przejęte pod najem krótkoterminowy.

Obrońcy tego biznesu twierdzą, że dzięki mieszkaniom na wynajem udaje się ściągnąć do polskich miast licznych turystów. Rzeczywiście tak jest, tyle że są to turyści budżetowi, niespecjalnie skorzy do tego, by wydawać pieniądze. Dużo wśród nich ludzi młodych, których nie interesują muzea lub zabytki, lecz kluby i imprezy. Przylecą tanimi liniami, upiją się, czasem coś zdemolują i po dwóch dniach wrócą do siebie. Czy rzeczywiście stanowią aż taką wartość dla polskiej gospodarki i turystyki, aby trzeba było poświęcać dla nich spokój mieszkańców? Nie sądzę. Chodzi raczej o dochody tych, którzy wynajmują im mieszkania.

PETARDY W MIESZKANIU

Na 205 mieszkań w bloku przy ul. Chmielnej 35, jednym z trzech wieżowców warszawskiej Ściany Wschodniej, aż 90 jest przeznaczonych na wynajem. „Imprezy trwają do 4–6 rano. Dzwonimy na policję. Przyjeżdżają, ale co oni mogą? Wylegitymują, pouczą. Jedni się uspokoją, inni mają to gdzieś" – opowiadała jedna z lokatorek w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Są też relacje o zanieczyszczonej klatce, porozrzucanych śmieciach oraz kurierach z jedzeniem, non stop dobijających się do budynku.

Kłopoty mają również mieszkańcy sąsiedniego budynku pod nr. 34. Opowiadają o pijanych turystach dobijających się pomyłkowo nocą do ich drzwi i o regularnym dewastowaniu nieruchomości. Jedno z trzypokojowych mieszkań zostało zaś przebudowane tak, aby mieściło pięć zamykanych klitek ze wspólną kuchnią w przedpokoju. Dzięki temu zaradny „przedsiębiorca" może przyjmować jednocześnie co najmniej pięć różnych osób. Takie przeróbki są zresztą normą.

W internecie można znaleźć mnóstwo podobnych relacji. Jeden z internautów tak opisuje swoje doświadczenia z uciążliwym sąsiedztwem. „Główne historie? Wieczne balangi, próba pobicia interweniującej ochrony budynku, ukraińskie wieczory kawalerskie, odpalanie petard w mieszkaniu, wieczne zarzygane klatki schodowe z poniszczonymi ścianami, śmieci na korytarzu, palarnia papierosów na dachu sąsiadującego z budynkiem garażu (w sypialni było niebiesko od dymu papierosowego), kręcenie się prostytutek i innego niechcianego elementu po budynku, turyści wiecznie blokujący wjazd do garażu w oczekiwaniu, aż ktoś z zarządzających mieszkaniem ich w końcu wpuści. Hitem było wynajęcie jednego z mieszkań przez złodziei, którzy zrobili sobie z niego bazę wypadową i wykradli wszystkie liczniki na wodę z kilku pionów w budynku" – opisuje, podkreślając na koniec, że „prawo mieszkańca do spokojnego korzystania ze swojego mieszkania musi mieć pierwszeństwo przed prawem turysty do tańszej imprezy".

Większość relacji jest zgodna – krótkoterminowy najem to zmora pozostałych mieszkańców budynku, którzy muszą zmagać się z brudem, hałasem, awanturami, a niekiedy nawet z elementem kryminalnym. Właściciele takich

eprasa.pl ca127791e6

przybytków są jednak bezkarni i ignorują skargi oraz pretensje.

W starciu z nimi mieszkańcy zwykle przegrywają i – jeden po drugim – odpuszczają. Często sprzedają swoje mieszkania, szukając spokoju w innym miejscu. Bywa, że kupującymi są ich prześladowcy, którzy powiększają w ten sposób „portfel" swoich ofert. W końcu niemal cały blok zostaje przejęty przez zaradnych „przedsiębiorców" pod ich działalność hotelarską. Wkrótce zaraza rozprzestrzenia się na kolejne domy i po pewnym czasie całe kwartały ulic zostają pozbawione mieszkańców. Miasto powoli umiera.

Jest jeszcze jeden negatywny skutek najmu krótkoterminowego. Skupowanie mieszkań w okolicy przez turystycznych „inwestorów" prowadzi do wzrostu cen nieruchomości. W efekcie coraz mniej osób stać na zakup własnego mieszkania, choć lokali wcale nie brakuje. Tyle że zamiast tubylców pomieszkują w nich turyści.

REJTANEM W OBRONIE NAJMU

Dziki darwinizm i wolna amerykanka na rynku najmu krótkoterminowego trwałyby pewnie w najlepsze, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze, prawo unijne, które nakazuje państwom członkowskim regulację tej kwestii (choć jej zakres pozostawia zasadniczo w gestii lokalnego ustawodawstwa). A po drugie – kłopoty budżetowe obecnego rządu, który postanowił ukrócić szarą strefę na tym rynku.

Za projekt regulacji odpowiadało Ministerstwo Sportu i Turystyki, a bezpośrednio nadzorował go wiceminister Ireneusz Raś (PSL). Pierwotnie – oprócz wprowadzenia rejestru mieszkań pod najem krótkoterminowy oraz obowiązku posiadania przez ich właścicieli regulaminów porządkowych – zakładano szerokie kompetencje dla gmin, które mogły ustalać strefy wolne od najmu krótkoterminowego, a także prawo spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych do żądania kontroli lokali w przypadku naruszania miru domowego. Podobne rozwiązania, często znacznie bardziej surowe, obowiązują w większości państw Unii, gdzie najem krótkoterminowy jest zwykle uzależniony od zgody większości mieszkańców budynku.

Okazało się jednak, że w Polsce Tuska takie rozwiązania nie przejdą. Do projektu zgłosiła swoje uwagi Airbnb Germany, po czym ministerstwo zgłosiło autopoprawkę, usuwając z ustawy przepisy o strefach wolnych od najmu krótkoterminowego. W projekcie pominięto też uprawnienia wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych. W rezultacie regulację ograniczono *de facto* do wprowadzenia rejestru, pozbawiając mieszkańców i samorządy prawa głosu.

Zarówno Raś, jak i inni członkowie rządu położyli się Rejtanem w obronie wykastrowanej ustawy. Można było wręcz pomyśleć, że najem krótkoterminowy jest dla nich ważniejszy niż interes publiczny. Aktywista Jan Śpiewak nazwał to „zwycięstwem lobby i partykularnych interesów", a Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ciągle pełniąca funkcję ministra funduszy i polityki regionalnej, zapytała, „dlaczego wpływowe lobby robi wszystko, aby zapewnić garstce posiadaczy wielu mieszkań (mniej niż 1 proc.) jak najwyższe dochody".

> Najem krótkoterminowy jest zmorą mieszkańców, którzy muszą zmagać się z brudem, hałasem, awanturami, a nawet z elementem kryminalnym. Właściciele takich przybytków są jednak bezkarni

Jednak dla większości pozostałych członków rządu interesy zwykłych ludzi są na odległym miejscu. Minister finansów Andrzej Domański stwierdził bowiem, że trzeba bronić „tysięcy Polaków, którzy zainwestowali swoje oszczędności w lokale m.in. po to, aby przeznaczyć je na najem krótkoterminowy".

Raś uderzył z drugiej strony, pochylając się fałszywie nad kiepską kondycją finansową Polaków i przekonując, że w 2025 r. z najmu krótkoterminowego skorzystało rzekomo „6 mln polskich rodzin". To oczywiście nieprawda, bo z dostępnych danych wynika, że rok wcześniej Airbnb zanotowało w Polsce 1,8 mln gości. Nie tylko Polaków. Niemożliwy jest więc przyrost o kilka milionów w ciągu kolejnego roku.

WBREW INTERESOWI PUBLICZNEMU

Arogancja członków rządu i brutalne forsowanie interesów wąskiej grupy rentierów wywołały powszechne oburzenie. Widać już, że prawdopodobnie nie uda się utrzymać projektu ustawy w tak okrojonym kształcie. Rządzący są więc gotowi na jedno ustępstwo i niechętnie przyznają, że można przywrócić prawo samorządów do tworzenia stref wolnych od najmu krótkoterminowego. Robią to w nadziei, że zdominowane przez KO władze samorządowe i tak nigdy nie wyznaczą takich stref. Kategorycznie natomiast sprzeciwiają się jakimkolwiek prawom mieszkańców do decydowania o tym, czy w ich blokach może być prowadzona działalność hotelarska.

„Jestem sceptyczna, żeby wspólnota mieszkaniowa miała prawo do decydowania w sprawie najmu krótkoterminowego" – stwierdziła rzecznika klubu KO Dorota Łoboda. A Paulina Hennig-Kloska domagała się, aby nie przesadzać i „nie robić burdelu z każdego wynajmowanego w krótkich okresach mieszkania". „Prawo dla samorządów jest przez nas oceniane względnie jako akceptowalne. Prawo dla wspólnot już nie bardzo" – zapowiedziała. Trudno interpretować to inaczej niż jako działanie w obronie zysków wąskiej grupy bogatych przedsiębiorców i sprzeniewierzenie się interesowi zwykłych mieszkańców.

„To jest, k...wa, niesamowite. Przedsiębiorczość może naruszać mir domowy milionów Polaków i nagle musimy szukać kompromisu. Nie, nie musimy. Możemy to zaorać. Jak chcą robić mieszkania na wynajem, to niech sobie wykupią cały blok" – dosadnie skomentował te głosy jeden z internautów.

Demokratyczne państwo powinno opierać się na zasadzie, że nie można uchwalać prawa ponad głowami obywateli. Nic o nas bez nas. Pozostaje mieć nadzieję, że zgodzą się z tym posłowie opozycji i prezydent. Bo opinia publiczna już się wypowiedziała.

eprasa.pl ca127791e6



Węgierska lekcja dla polskiej prawicy



PIOTR GURSZTYN

Na Węgrzech dzieją się teraz rzeczy, które polska prawica powinna uważnie śledzić. To poligon brutalnej ofensywy politycznej, której celem jest całkowita eliminacja sił stawiających na suwerenność wobec Brukseli. Wcześniej miejscem liberalnej rekonkwisty miała być Polska, ale zostało to zablokowane dzięki zwycięstwu Karola Nawrockiego. Teraz jednak niebezpieczeństwo wraca

Polska prawica powinna pilnie przyglądać się temu, co dzieje się dziś na Węgrzech. Nie tylko ta prawica, która składa się na rozdzierane wewnętrznym konfliktem PiS, lecz także Konfederacja, a przynajmniej ta jej część, która wyklucza możliwość koalicji z partią Donalda Tuska i nadal chce być ugrupowaniem antyestablishmentowym. Bo dzieją się tam rzeczy, które mogą być powtórzone w innych krajach europejskich, również w Polsce.

BRUTALNA SUPERWIĘKSZOŚĆ

Informacje, które do nas docierają, nie budzą zbyt dużego zainteresowania, chociaż każda z nich świadczy o łamaniu zasad, przepisów i w ogóle norm życia demokratycznego. Niezależnie od win i grzechów, które poprzednia władza – Fidesz Victora Orbána – miała na swoim sumieniu. Nowa ekipa, TISZA Pétera Magyara (skądinąd wieloletniego ważnego funkcjonariusza Fideszu), szła bowiem do wyborów pod hasłami usunięcia dawnych patologii, a nie korzystania z nich.

Według ostatnich informacji prokuratorzy bez zapowiedzi weszli do siedzib Fideszu i przejęli serwery z danymi ugrupowania. Witryny internetowe partii przestały działać, a wszystkie dane osobowe jej członków znalazły się w rękach władz. Prezydent został pozbawiony urzędu specjalną ustawą, mimo że jego kadencja jeszcze trwała. Jedynym publicznym uzasadnieniem okazało się to, iż był nominatem poprzedniej władzy. Identycznie skrócono kadencję przewodniczącego Sądu Konstytucyjnego i trzech sędziów. W imię – jak sam powiedział obecny premier – „siły wynikającej z superwiększości". Czyli tego, że w wyniku wyborów TISZA ma większość konstytucyjną.

Fot. KPRM

eprasa.pl ca127791e6

Skądinąd swojej kampanii rozliczeń poprzedników (przypomnijmy – partii, której sam był ważnym dygnitarzem przez wiele lat) Magyar nadał nazwę mało pasującą do reguł demokracji: „Oczyszczający ogień". W ramach wypalania konkurencji politycznej została powołana specjalna instytucja – Narodowy Urząd ds. Odzyskiwania i Ochrony Majątku. Ma on rozliczyć korupcję z czasów rządów Fideszu, łącznie z odebraniem dóbr należących do ludzi powiązanych z poprzednią władzą. Problem jest jednak z konstrukcją prawną urzędu – są podnoszone zarzuty, że będzie mógł on podejmować całkowicie arbitralne decyzje – w tym dotyczące konfiskaty majątku w trybie administracyjnym, a nie sądowym.

Odwołanie prezydenta i przewodniczącego Sądu Konstytucyjnego całkowicie zniszczyło na Węgrzech system check and balances, czyli wzajemnej kontroli instytucji państwowych. Odbyło się to w trybie indywidualnych decyzji premiera Magyara, a nie kolejnych aktów wyborczych. Szef rządu idzie dalej i forsuje pomysł skrajnie kuriozalny – ograniczenie liczby kadencji w parlamencie. Nikt nie będzie mógł być posłem więcej niż trzy razy. Kuriozalność jest podwójna. Sprawa dotyczy władzy ustawodawczej, a nie wykonawczej, ponadto tradycją światowego parlamentaryzmu jest to, że członkowie parlamentu zasiadają w nim przez wiele kadencji. Bo taka jest wola ich wyborców. Jedynie w kilku państwach na świecie obowiązują takie ograniczenia. Są to Filipiny, Meksyk, Algieria, Peru i Boliwia, czyli państwa, których nie sposób uznać za wzorcowe dla demokracji parlamentarnej. W Europie Węgry Magyara będą pierwszym krajem, w którym wprowadzono tę wątpliwą innowację.

Ale to nie koniec. Prawo wprowadzające ograniczenie do trzech kadencji działa wstecz! Posłowie, którzy byli wcześniej wybierani, już nigdy nie będą mogli wystartować w wyborach. Uderza to oczywiście w Fidesz, bo tam jest najwięcej takich polityków, a partia Magyara to byt całkowicie nowy. Do tego dodajmy nieobecne w systemach gabinetowych ograniczenie sprawowania funkcji premiera do trzech kadencji, również wbrew zasadzie, że prawo nie działa wstecz. Skądinąd zasada „lex retro non agit" była głośno podnoszona w Polsce przez partie oraz media liberalno-lewicowe, gdy wprowadzano regułę dwukadencyjności w samorządach. A dotyczyło to – pamiętajmy – władzy wykonawczej.

MILCZENIE BRUKSELI

Efekt zmian ustrojowych na Węgrzech prawdopodobnie zostanie zabetonowany, tak by po którychś następnych wyborach nikomu nie udało się tego odwrócić. W tę stronę idą projekty zmiany konstytucji, a także zmiany ordynacji wyborczej, aby ciężko było zdobyć większość konstytucyjną.

Prawicowego czytelnika nie trzeba przekonywać, że gdyby takie zmiany próbowała przeprowadzać partia prawicowa, to instytucje Unii Europejskiej, politycy i media liberalne, NGO i inne podniosłyby wrzawę na cały świat. Użyłyby wszelkich narzędzi, aby je zatrzymać. W przypadku Węgier słychać tylko ciszę. Nie jest to oczywiście przypadek – to całkowita akceptacja działań jak najdalszych od reguł i standardów głoszonych przez świat liberalny. Węgry stały się laboratorium, w którym establishment sprawdza, jak daleko może się posunąć w anihilacji sił antysystemowych. Eksperyment jest o tyle łatwy, że Fidesz ulega gwałtownej erozji, odwraca się od niego część wyborców, reszta jest apatyczna, a TISZA – ciągle bardzo popularna. To oczywisty efekt dawnych grzechów partii Orbána i jednocześnie przykład tego, jak działa potępiana przez liberałów tyrania większości.

> Niestety wizja rozpadu największej partii prawicowej, czyli PiS, reaktywowała temat tzw. rozliczeń, czyli *de facto* anihilacji sił antyestablishmentowych. Do tej sytuacji znakomicie odnosi się przysłowie o pochyłym drzewie, na które skaczą wszystkie kozy

Kazus Węgier nie jest czymś wyjątkowym, co da się wyjaśnić nadużyciami epoki Orbána. To tylko część procesu politycznego, który cały czas odbywa się w Europie i który dotyczy także Polski. Jego dobrym opisem jest niedawny komentarz internetowy amerykańskiego politologa polskiego pochodzenia, prof. Andrew Michty: „W Europie elity są zaangażowane w lewicowo-liberalną ideologię, która nie dopuszcza alternatyw. Obywatele, którzy się temu sprzeciwiają, są marginalizowani, określani jako »populiści« lub »skrajna prawica« i skutecznie pozbawiani praw wyborczych. Ta niechęć do wysłuchania ich i kompromisu rozbija społeczeństwa UE".

Tak więc z Orbánem, czy bez Orbána, śruba i tak byłaby dokręcana.

NA POCHYŁE DRZEWO…

No dobrze – ktoś może zadać pytanie – ale co nas to w Polsce obchodzi? Odpowiedź jest prosta: skoro na Węgrzech prawo może działać wstecz i będzie można konfiskować majątki na drodze administracyjnej, będzie to mogło zadziałać w naszym kraju.

Oczywiście sytuacja nie jest identyczna. Nasz system konstytucyjny działa inaczej. Rząd jest skrajnie niepopularny, a opozycja cieszy się trwałym poparciem swoich wyborców. Od czasu przegranych przez obóz władzy wyborów prezydenckich idea tzw. rozliczeń PiS więdła i coraz więcej ludzi uważało ją za obumarłą. Wiedzieliśmy to 13 lipca, gdy Sąd Okręgowy w Warszawie odmówił wystawienia Europej-

Autopromocja

eprasa.pl ca127791e6

skiego Nakazu Aresztowania za Zbigniewem Ziobrą. Opinia publiczna, w tym wyborcy KO, zobaczyli Donalda Tuska, który wyglądając jak zbity pies, tłumaczył się z tej wizerunkowej katastrofy: „Przepraszam, powinienem może mieć więcej wyobraźni wtedy, kiedy zapowiadałem szybkie rozliczenia. Nie przewidziałem, że to będzie tak trudne w związku z sytuacją m.in. w prokuraturze".

„Sytuacją w prokuraturze" tłumaczył porażkę także minister Waldemar Żurek: „Jest pewien opór mentalny w części prokuratury. Nie wszyscy prokuratorzy z entuzjazmem podchodzą do rozliczania poprzedniej władzy".

Następnego dnia życzliwy rządowi publicysta Jakub Majmurek pisał w tygodniku „Newsweek": „Opinia publiczna – zarówno ta popierająca rząd, jak i ta mu przeciwna – zinterpretuje decyzję sądu jako klęskę koalicji rządzącej. Ziobro, pomyśli sobie teraz wielu wyborców, po prostu przechytrzył cały polski wymiar sprawiedliwości. [...] Zarówno afera szpitalna, jak i niemożliwość rozliczenia Ziobry prowokują do podobnych pytań: czy rząd panuje nad tym, co dzieje się w kraju?".

Takich głosów w mediach liberalnych było więcej. Mariusz Janicki, czołowy autor „Polityki", kilka dni przed decyzją w sprawie ENA dla Ziobry wręcz proponował, aby rząd już sobie odpuścił rozliczenia, bo ta idea straciła już jakikolwiek sens: „Ja skłaniam się coraz bardziej do takiego przekonania, że z tego kręgu rozliczeń jednak trzeba się wyrwać. Polska polityka musi się z tego wyrwać, ponieważ to, co jest, to jest coraz bardziej ośmieszane przez obie strony".

Intuicję Janickiego potwierdziła reakcja władz, rozwścieczonych porażką w sądzie. W odwecie funkcjonariusze CBA pojechali do Puszczy Augustowskiej, by zatrzymać Macieja Świrskiego. W śledztwie dotyczącym zdarzeń sprzed dziewięciu lat. Dla Świrskiego i jego rodziny był to oczywiście wielki stres i dolegliwość, ale politycznie akcja była autokompromitacją władzy.

Niestety wizja rozpadu największej partii prawicowej, czyli PiS, reaktywowała temat tzw. rozliczeń, czyli *de facto* anihilacji sił antyestablishmentowych. Do tej sytuacji znakomicie odnosi się powiedzenie o pochyłym drzewie, na które skaczą wszystkie kozy. Słabnąca, a zwłaszcza podzielona prawica zachęca do agresji. Wizja następnych czterech lat rządów Donalda Tuska sprawia, że odwaga niszczenia prawicy będzie bardzo tania. Oportuniści i konformiści wolą się nie wychylać, nie wiedząc, kto będzie rządził w kolejnej kadencji. Dlatego ministrowi Żurkowi brakuje prokuratorów i sędziów chętnych do naginania, czy wręcz łamania prawa. To o tym mówił Tusk, tłumacząc brak rozliczeń „sytuacją w prokuraturze". I o tym całkowicie otwarcie mówi minister Żurek: „Część prokuratorów po prostu czeka. Czeka na rozwój sytuacji, na to, co będzie dalej".

Czyli rzecz nie w paragrafach, nie w łatwych do postawienia i uzasadnienia zarzutach, lecz poczuciu bezkarności w wykorzystywaniu prawa do porachunków politycznych. Lekceważony ostatnio temat rozliczeń znów zaczyna być przedstawiany jako poważny. Nagle ukazuje się sondaż zamówiony przez „Rzeczpospolitą" z pytaniem, „czy rząd Tuska spełnił oczekiwania dotyczące rozliczenia okresu rządów PiS". Odpowiedź „nie" dało 53,3 proc. respondentów, co brzmi jak sugestia „Tusku, musisz!". Tymczasem tę odpowiedź należy potraktować jako bezsensowną, bo nie pokrywa się z poparciem dla partii politycznych. Jednocześnie taka odpowiedź padła, gdy publikuje się sondaże wskazujące na to, iż rząd i premier są negatywnie oceniani przez prawie 60 proc. Polaków. Nie da się logicznie połączyć tych wzajemnie wykluczających się wyników, może zatem chodzi o wytworzenie odpowiedniej atmosfery.

Dużo śmiechu po prawicowej stronie wywołały pytania pracownicy TVP w likwidacji o to, czy jest możliwy impeachment (instytucja nieobecna w polskim systemie konstytucyjnym) Karola Nawrockiego za to, że korzystał on ze swojego uprawnienia, jakim jest weto. Ta sama redaktorka – Aleksandra Pawlicka – pytała również o to, czy nie da się postawić Nawrockiego przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka, czyli *de facto* instytucją arbitrażową, a nie sądową. Prawicowy śmiech mógł jednak być zbyt wczesny. To prawda, że redaktor Pawlicka nie jest najostrzejszą kredką w liberalnym piórniku, lecz jej słowa są najpewniej echem toczonym w jej środowisku dyskusji i szukania pomysłów na wyeliminowanie przeszkód w drodze po pełnię władzy. Donald Tusk zawsze z uwagą słuchał swoich radykałów.

W ciągu najbliższych miesięcy wygasną kadencje kilku sędziów Trybunału Konstytucyjnego, nominowanych w czasach rządów prawicy. Pod hasłem „odpolitycznienia TK" kontrolę przejmie nad nim obecna koalicja. Przewaga jej sędziów pozwoli na uznawanie za „niekonstytucyjne" wiele działań właśnie prezydenta, a także zalegalizowania najgorszych nawet postępków obecnej władzy, gdy w ramach „demokracji walczącej" łamała i naginała obowiązujące prawo. W tej kwestii „sky is the limit". Podważany jest jednocześnie status Sądu Najwyższego i zasiadających w nim sędziów, a zwłaszcza najważniejszego z nich, czyli Zbigniewa Kapińskiego. To także próba przejęcia kolejnego organu, który będzie mógł służyć do zalegalizowania działań podejmowanych po 13 grudnia 2023 r. Kolejnymi trikami w postaci wątpliwych skarg wyborczych odraczane są wybory na prezydenta Krakowa po przegranym przez KO referendum. To także znak, że władza będzie mogła wpływać na wynik wyborów powszechnych za pomocą kruczków prawnych.

Przykład węgierski, a także działania rządu Tuska, zwłaszcza z początku kadencji, pokazują, że możliwe będzie wszystko, co będzie służyło wzmocnieniu i utrzymaniu władzy przez obóz liberalny. Jedynym zabezpieczeniem przed nadużyciami i zamachami na demokrację jest niezgoda obywateli. A nie będą mogli jej wyrazić, gdy nie będą mieli skutecznej reprezentacji politycznej.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl ca127791e6



Prosty plan Zełenskiego na wygranie nadchodzących wyborów prezydenckich zakończył się fiaskiem. Nie przekonał do rezygnacji ze startu faworyzowanego Wałerija Załużnego, a na horyzoncie pojawił się nowy rywal. Czy były minister obrony stanie do walki z obecnym prezydentem?

Rewolucja Fedorowa



MAREK BUDZISZ

72 proc. Ukraińców nie popiera decyzji Zełenskiego o odwołaniu z funkcji ministra obrony Mychajła Fedorowa, młodego (35 lat) reformatora, ojca „wojny dronowej" i cyfryzacji pola walki. Komentatorzy polityczni mówią nawet o „nowym Majdanie" – tym razem kartonowym, bo ludzie protestujący od kilkunastu dni w ukraińskich miastach trzymają w rękach samodzielnie zrobione tablice ze swoimi żądaniami. Organizator demonstracji Dmytro Koziatynski, który wezwał ludzi, aby wyszli na ulice w obronie odwołanego ministra, w ub.r. organizował protesty po tym, jak Zełenski podjął próbę ograniczenia samodzielności specjalnej prokuratury walczącej z korupcją i odpowiedzialnych za to służb. Prezydent chciał w ten sposób chronić swoich najbliższych współpracowników uwikłanych w aferę Mindicza, czyli wielki skandal korupcyjny, który nie został jeszcze w pełni wyjaśniony i może obejmować – jak się powszechnie sądzi na Ukrainie – samą głowę państwa. Demonstrujący w 16 miastach wysunęli dwa żądania – odwołania z funkcji dowódcy sił zbrojnych gen. Ołeksandra Syrskiego (zostało spełnione) i przywrócenie na stanowisko ministra obrony Fedorowa oraz zapowiedzieli, że będą protestować do skutku.

Wiele wskazuje na to, że Zełenski wykreował problem, który może kosztować go reelekcję, a z pewnością odbije się na jego popularności. Już teraz prezydentowi ufa o 11 proc. mniej wyborców niż odwołanemu ministrowi.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ca127791e6



PLAN ZEŁENSKIEGO

Obecny kryzys na Ukrainie zaczął się pod koniec maja, kiedy administracja prezydenta otrzymała wyniki tajnego badania opinii publicznej, z którego miało wynikać, że poparcie społeczne dla Zełenskiego zaczęło rosnąć po wielu miesiącach spadku. Kilkanaście dni później, w połowie czerwca, w jednej z podkijowskich rezydencji odbyło się spotkanie, na którym rozmawiano o planach zorganizowania na Ukrainie wyborów prezydenckich, najprawdopodobniej w listopadzie br. Pomysł otoczenia Zełenskiego i samego prezydenta był prosty. Wykorzystując poprawiającą się sytuację na froncie i coraz wyraźniejszą perspektywę zakończenia wojny – bo o negocjacjach mówi się i pisze coraz więcej – a także ustabilizowaną perspektywę pomocy finansowej z Zachodu, zorganizować wybory przed zimą, bo kampania wyborcza będzie co najmniej tak trudna jak poprzednia. Zełenski powinien wygrać – oczywiście jeśli nie będzie miał poważnych rywali i to głównie o nich rozmawiano podczas czerwcowego spotkania. Oprócz Zełenskiego wzięli w nim udział Wałerij Załużny i Kyryło Budanow, czyli dwaj główni do tej pory rywale prezydenta, którzy w świetle sondaży mieli szansę wygrać z nim w drugiej turze elekcji. Chodziło o to, aby przekonać ich – oferując stanowiska publiczne z funkcją premiera włącznie – do tego, aby zrezygnowali z ambicji wyborczych i otworzyli Zełenskiemu drogę do reelekcji.

Nawiasem mówiąc, konflikt z Polską na tle nazwania jednej z jednostek sił specjalnych imieniem „Bohaterów UPA" był częścią planu administracji Zeleńskiego. Chodziło w nim jednak przede wszystkim o zwiększenie poparcia w wojsku. Choć reakcja Warszawy zaskoczyła Kijów, nie przeszkodziło to urzędującej głowie państwa w rozbudzeniu antypolskiej histerii, bo do tej pory to pomagało w sondażach. Częścią tego politycznego planu była też dymisja rządu Julii Swyrydenko, ogłoszona przez Zełenskiego przede wszystkim po to – jak argumentowali dziennikarze śledczy „Ukraińskiej Prawdy" – aby móc pozbawić urzędu Fedorowa, który stawał się zbyt popularny i zbyt potężny.

WIELKIE PIENIĄDZE, WIELKIE WPŁYWY

Trzeba pamiętać, że obecnie wszystko, co Ukraina jest w stanie zebrać z podatków i danin publicznych, przeznacza się na finansowanie wojny i sił zbrojnych, a to oznacza, że minister obrony kontroluje obecnie budżet większy niż środki, którymi dysponował ukraiński rząd i prezydent w czasie pokoju. Chodzi tu nie tylko o dziesiątki miliardów dolarów i fortuny, które urosły – w wielu przypadkach niemal od zera – w czasie wojny, lecz o coś znaczenie poważniejszego. Z pieniędzmi wiążą się układy, powiązania personalne i nowe lojalności, czyli władza. A Fedorow, planując zreformować armię, chciał mieć również wpływ na strategię, czyli nie tylko na to, za pomocą jakich systemów się walczy, lecz także na to, w jaki sposób w siłach zbrojnych traktuje się rekrutów i jak osiąga się postawione cele. Gdyby jego plany się powiodły, to kto w oczach opinii publicznej byłby ojcem zwycięstwa Ukrainy?

Co gorsze dla Zełenskiego, w ostatnich tygodniach państwem wstrząsnęły trzy skandale związane z sytuacją w siłach zbrojnych. We Lwowie ludzie spontanicznie stanęli w obronie poborowego, po którego przyjechali policjanci, co doprowadziło do zamieszek. Dowódca jednej z brygad szturmowych rozkazał swoim podwładnym porwać i zamordować dwóch sąsiadów, którzy obrazili jego żonę. Z kolei w pułku Skała tak „szkolono" wcielonych do wojska, że kilku z nich zmarło, zanim jeszcze zostali wysłani na front.

Przygotowując się do wyborów, Zełenski chciał też przekonać opinię publiczną, że „nieprawidłowości" w armii były wynikiem osobistych animozji między Fedorowem a gen. Syrskim, którzy – jak oświadczył prezydent – tak się poróżnili między sobą, że nie byli w stanie normalnie rozmawiać, a co dopiero współpracować.

STARY RYWAL NIE REZYGNUJE, A POJAWIA SIĘ NOWY

Polityczny Wunderplan Zełenskiego nie powiódł się jednak z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, gen. Załużny nie zrezygnował z zamiaru uczestnictwa w wyborach, choć Dawyd Arachamija, szef frakcji Sługa Narodu w Radzie Najwyższej, miał mu proponować nawet stanowisko premiera. Po drugie, Fedorow nie okazał się lojalnym współpracownikiem. Nie przyjął oferowanej mu funkcji wicepremiera, a nawet pospiesznie wymyślonego dla niego nowego stanowiska „technologicznego cara", czyli osoby kierującej resortami i firmami odpowiadającymi za uzbrojenie wojska. Oskarżył Ołeksandra Syrskiego o intrygi i blokowanie zmian w wojsku, co wzmocniło i tak rozpowszechnione w ukraińskim społeczeństwie przekonanie, że ogromne straty – dziesiątki tysięcy zabitych i okaleczonych – które ponosi ukraińska armia, są związane z „modelem walki" preferowanym przez dowódcę sił zbrojnych, oficera wyszkolonego jeszcze w czasach sowieckich i walczącego „tak jak Rosjanie".

Co więcej, Fedorow w rozmowie z Zełenskim miał zażądać powrotu na stanowisko ministra obrony i odwołał się do opinii publicznej, zarówno wojskowej, jak i cywilnej. W czasie kilkunastu dni przeistoczył się z lojalnego współpracownika Zełenskiego, ministra we wszystkich rządach od 2019 r., w samodzielnego polityka, a nawet rywala urzędującego prezydenta. Rozgrywka jeszcze się nie zakończyła i na razie nie wiadomo, czy Fedorow i jego ekipa pójdą własną drogą, ale jest ona otwarta. Z ostatnich badań nastrojów elektoratu, przeprowadzonych przez grupę Rating, wynika, że pierwszą turę ewentualnych wyborów wygrałby Zełenski, zdobywając 22 proc. głosów, ale zaraz za nim plasują się Załużny i były minister obrony. Ankieterzy nie pytali o preferencje w drugiej, rozstrzygającej turze, ale z wcześniejszych badań wynikało, że urzędujący prezydent przegra w niej z Załużnym, a teraz zapewne również z Fedorowem.

Do byłego ministra obrony miał zadzwonić – o czym pisze ukraińska prasa – Alex Karp, twórca potęgi amerykańskiego Palantiru, i powiedzieć mu: „Zróbmy coś razem". Jednak w świetle tych doniesień miał on nie przyjąć propozycji wartego dziesiątki milionów

eprasa.pl ca127791e6

dolarów kontraktu, co zapewne zwiększyłoby jego popularność.

Zdaniem komentatorów Fedorow ma obecnie dwie możliwości, oczywiście o ile nie zdecyduje się robić kariery w amerykańskim biznesie zbrojeniowym. Obydwie są polityczne. Może – czego nadal chce – wrócić do resortu obrony, ale to wymaga decyzji Zełenskiego, lub – o czym też się dyskutuje – razem ze swymi ludźmi założyć think tank, czyli budować program i szkolić kadry na potrzeby przyszłych wyborów.

Wzburzenie ukraińskiej opinii publicznej wywołało również to, że po dymisji Fedorowa na spotkanie z Syrskim w tajnym głównym punkcie dowodzenia udał się Andrij Jermak, były wszechmocny szef administracji prezydenta, co odebrano w kategoriach jego powrotu do władzy, oraz to, że organizatorami protestów w obronie zdymisjonowanego ministra nagle zaczęli interesować się wojskowi.

KULAWA KACZUSZKA

Przedłużające się demonstracje zmusiły Zełenskiego do działania. Najpierw zorganizował on cykl konsultacji z dowódcami ukraińskich korpusów, po to aby przekonać się jakie są nastroje w armii, a następnie podjął decyzję o odwołaniu Syrskiego. Na jego miejsce mianowano gen. Drapatego, młodego 43-letniego oficera, który ostatnio dowodził ukraińskimi siłami lądowymi, a wcześniej odpowiadał za „wojnę drogową". Drapaty uznawany jest za oficera, który w przeciwieństwie do Syrskiego słucha podwładnych i troszczy się o życie każdego żołnierza, a w pamięci opinii publicznej zapisał się jako dowódca „latającego BWP", bo w 2014 r. dowodzony przezeń bojowy wóz piechoty dosłownie „przeleciał" nad wzniesioną przez prorosyjskich demonstrantów barykadę w Mariupolu, co umożliwiło Ukraińcom utrzymanie miasta. Później ten młody, szybko awansujący oficer, wyprowadził z okrążenia swój oddział, a po 2022 r. bronił Zaporoża, wyzwalał Chersoń i walczył z najeźdźcami pod Charkowem. Ma reputację dowódcy rzucanego na najtrudniejsze odcinki, który radził sobie z każdym trudnym zadaniem. Z politycznego punktu widzenia jego nominacja jest realizacją nie tylko pierwszego postulatu demonstrujących (drugim jest powrót Fedorowa), ale również wydaje się spełnieniem woli rozmówców Zełenskiego, czyli dowódców korpusów.

Rozgrywka jeszcze się nie skończyła i teraz ukraiński prezydent musi podjąć najtrudniejszą decyzję związaną z przyszłością odwołanego ministra obrony. Kilkanaście dni temu na spotkaniu z deputowanymi Sługi Narodu mówił, że „powinien, ale teraz nie może" odwołać z funkcji Syrskiego". Potem okazało się, że jest to jednak możliwe, czyli aby zmienić nastawienie prezydenta, potrzebna jest odpowiednio silna presja.

> Przygotowując się do wyborów, Zełenski chciał przekonać opinię publiczną, że „nieprawidłowości" w armii były wynikiem osobistych animozji między Fedorowem a gen. Syrskim, którzy – jak oświadczył – tak się poróżnili między sobą, że nie byli w stanie normalnie rozmawiać, a co dopiero współpracować

Jeśli teraz Zełenski ustąpi po raz drugi i przywróci na stanowisko Fedorowa, to jak mówią Amerykanie, stanie się „kulawą kaczuszką", politykiem który nadal sprawuje swój urząd, ale już nie rządzi, bo decyzje są na nim wymuszane. Jeśli jednak nie rozwiąże „problemu Fedorowa", to może się okazać, że swoimi posunięciami wykreował swego głównego rywala i scenariusz, w którym druga tura wyborów rozstrzyga się w między Fedorowem a Załużnym lub Budanowem, nie jest już political fiction. Każda decyzja może też pociągnąć za sobą spadek jego notowań. Jeśli Zełenski, podobnie jak to miało miejsce w przypadku nowelizacji ustawy w sprawie prokuratury antykorupcyjnej, wycofa się z podjętych decyzji, to okaże się politykiem słabym, a ponadto grozi mu potencjalny konflikt z wojskiem. Dlaczego? Bo następcą Fedorowa, pełniącym dziś tylko jego obowiązki, bo formalnie, aby objąć funkcję cywilnego ministra, musi zostać zwolniony z wojska, jest bowiem Jewhenij Chmara, który kierował Centrum Operacji Specjalnych „Alfa" Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. To najskuteczniejsza jednostka planująca, organizująca i przeprowadzająca ataki na cele położone na rosyjskich tyłach. Ośmieszenie popularnego oficera, który najpierw jest powoływany na ministerialną funkcję, a potem odwoływany po to, aby oczyścić drogę powrotu dla byłego ministra z pewnością nie przysporzyłoby popularności Zełenskiemu.

Jarosław Hrycak, znany ukraiński historyk, komentując trwające demonstracje, powiedział, że Ukraina nie stanie się już dyktaturą, bo wyborcy nie zgodzą się na dryf w stronę systemu rosyjskiego i nie poprą wzmocnienia władzy prezydenckiej, nawet jeśliby głowa państwa cieszyła się poparciem armii. Ta czytelna aluzja do dyktatorskich skłonności Zełenskiego ujawnia, o co w istocie toczy się dziś na Ukrainie gra. Wyborcy zaczynają rozumieć, że droga do Unii i niezbędnych reform, choćby w zakresie walki z korupcją, będzie dłuższa i trudniejsza, a realną groźbą jest model władzy, który można nazwać „nowym cezaryzmem", czyli quasidemokratyczny system, w którym o tym, kto rządzi, decydują wojskowi powiązani układami z nowymi oligarchami, którzy wzbogacili się na wojnie.

Rozpoczęta przez Fedorowa rewolucja nie dotyczy zatem cyfryzacji ukraińskiego państwa czy wojny dronowej, ale jej stawka jest znaczenie poważniejsza, bo związana z modelem rządów w powojennej Ukrainie.

eprasa.pl ca127791e6



Nawrócenie J.D. Vance'a

Amerykański wiceprezydent opublikował książkę autobiograficzną, w której opowiada o swoim wstąpieniu do Kościoła katolickiego, a także przedstawia swój program jako ewentualnego kandydata na prezydenta w wyborach w 2028 r.



GORAN ANDRIJANIĆ

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance przeżywa obecnie bardzo ekscytujący okres – zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym sensie.

IRAN I PREZYDENTURA

Patrząc ściśle politycznie, nie jest mu łatwo. Jego szef w Białym Domu, Donald Trump, podjął w lutym decyzję o ataku na Iran, od której – jak wszystko na to wskazuje – Vance próbował go odwieść. Dziś, pięć miesięcy później, decyzja amerykańskiego prezydenta o dołączeniu do Izraela w ataku na irański reżim okazuje się coraz bardziej błędna i nieprzemyślana.

Przede wszystkim stoi ona w sprzeczności do tego, co obóz Trumpa obiecywał w kampanii wyborczej – mianowicie, że będzie unikał rozpoczynania nowych wojen i interwencji amerykańskiej armii, jeśli nie będą naprawdę konieczne. Izolacjonizm jako strategia polityki zagranicznej był szczególnie bliski sercu J.D. Vance'a i jego wrażliwości politycznej. Jednak mimo że najwyraźniej odwodził Trumpa od ataku, gdy decyzja o nim zapadła, w pełni ją poparł.

Oczywiście nie miał wielkiego wyboru. Wiceprezydent otwarcie sprzeciwiający się prezydentowi to coś, czego w historii Białego Domu nigdy nie widziano. Nawet Mike Pence, wiceprezydent Trumpa w latach 2017–2021, czekał z krytyką swojego byłego szefa w mediach do momentu opuszczenia Białego Domu. Vance znalazł się więc w raczej niewdzięcznej sytuacji – musi formalnie bronić decyzji, której się przeciwstawiał i która – jeśli Stany Zjednoczone nie rozwiążą wkrótce problemu z Teheranem – może mu wyrządzić poważne długoterminowe szkody polityczne.

Jak dobrze wiadomo, właśnie nazwisko Vance'a jest najczęściej wymieniane w spekulacjach o potencjalnym

Fot. Shutterstock
Autopromocja



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

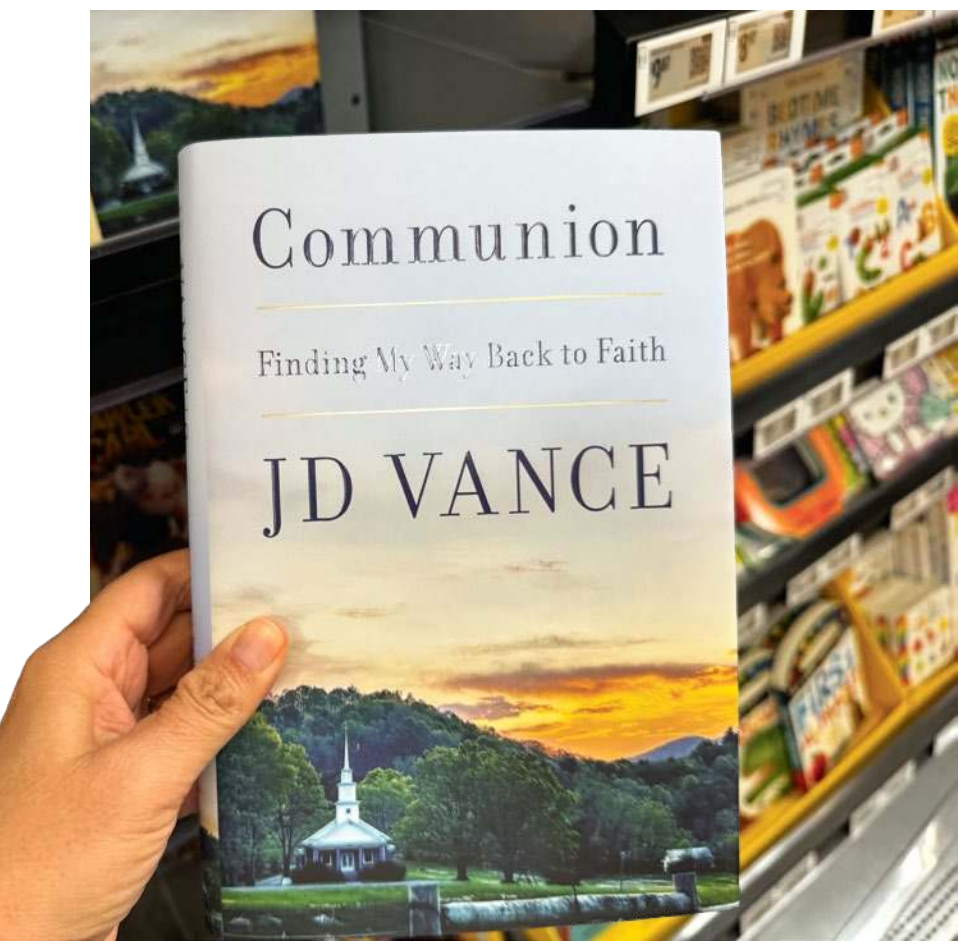
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl ca127791e6

kandydacie Partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich w 2028 r. (drugie nazwisko to inny katolik z administracji Donalda Trumpa – sekretarz stanu Marco Rubio). Spadek poparcia dla administracji Trumpa oznacza automatyczny spadek poparcia dla jego kandydatury i dlatego ta sytuacja jest dla Vance'a trudna.

To, że Vance jest pierwszym od dawna wysokim rangą urzędnikiem Białego Domu, któremu urodziło się dziecko podczas jego kadencji w Waszyngtonie, nie jest przypadkiem. Oczywiście wiąże się to z tym, że były senator jest jednym z najmłodszych wiceprezydentów Stanów Zjednoczonych w historii, a także z tym, że jego międzyreligijna rodzina



SIŁA RODZINY

Mimo tych problemów w życiu politycznym i osobistym J.D. Vance'a dzieje się także wiele dobrego. Po pierwsze, niedawno został pierwszym od 150 lat wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, który doczekał się dziecka, sprawując urząd w Białym Domu. Jego żona Usha Vance urodziła czwarte dziecko – chłopczyka, który otrzymał imiona Alec Neel. Ma już dwóch starszych braci: 9-letniego Ewana i 6-letniego Viveka oraz siostrę, 4-letnią Mirabel.

(Usha Vance jest hinduistką) pozostaje jednym z najważniejszych czynników determinujących jego życie i profil polityczny. Vance twierdzi, że to właśnie rodzina była głównym powodem, dla którego zaczął pisać swoją nową książkę.

POWRÓT DO WIARY KATOLICKIEJ

Przypomnijmy – jego debiutancka „Elegia dla bidoków" z 2016 r., w której opisał swoje wychowanie w robotniczej rodzinie z Ohio, obciążonej licznymi problemami, odniosła ogromny sukces i w pewnym sensie wprowadziła go na arenę polityczną.

Nowa książka „Komunia: Jak znalazłem drogę powrotu do wiary" opisuje, jak młody intelektualista z protestanckiej rodziny robotniczej po materialistyczno-ateistycznej fazie w życiu i studiach na prestiżowym Yale powrócił do chrześcijaństwa i wiary katolickiej. Jak wyjaśnił, głównym powodem napisania książki było to, że jako ojciec chce pomóc w stworzeniu takiej atmosfery społecznej i duchowej, w której jego dzieci nie powtórzą tych samych błędów, które popełnił on.

„Kiedy zmarła moja babcia, nie miałem już żadnego związku z chrześcijaństwem. Napisałem tę książkę między innymi dlatego, że jako ojcu bardzo mi na niej zależy" – powiedział Vance w rozmowie z znanym amerykańskim publicystą Rossem Douthatem.

„Wierzę, że Jezus Chrystus jest synem Bożym. Zabieram moje dzieci do kościoła co tydzień i mam obawę, jak wielu rodziców, że to się po prostu nie uda. Z jakiegoś powodu to się nie uda".

A może się nie udać – pisze Vance w swojej książce – bo życie społeczne i amerykańskie elity straciły kontakt z wartościami chrześcijańskimi, które kiedyś je definiowały. Jak wyjaśnił w innym wywiadzie, prowadzonym przez bp. Roberta Barrona, podążając za myślą św. Augustyna, można powiedzieć, że nie ma społeczeństwa, które nie czciłoby swoich „bogów". Kiedy cywilizacja zachodnia utraciła przywiązanie do wartości chrześcijańskich, zastąpiła je bezdusznością statystyk ekonomicznych, hiperindywidualizmem i poświęceniem dla „sukcesu".

W rozmowie z Barronem Vance powiedział, że jego własne życie jest tego przykładem. Podczas studiów na Yale, kiedy całkowicie odciął się od Boga, zależało mu tylko na sukcesie i karierze. Zamiast Boga czcił „sukces". Społeczeństwo z taką elitą, argumentuje Vance, nie będzie w stanie osiągnąć sprawiedliwości i prawdziwego dobrobytu. Problemem nie jest ambicja sama w sobie, kontynuuje wiceprezydent, ale raczej to, że potrzeba sukcesu staje się jedyną miarą wartości człowieka.

eprasa.pl ca127791e6

W książce Vance opisuje jedno z doświadczeń, które skłoniło go do ponownego rozważenia swojego stosunku do chrześcijaństwa. Było to spotkanie Petera Thiela, bogatego inwestora, który zafascynował go swoją inteligencją i nie ukrywał swojej wiary chrześcijańskiej. „Doświadczenie poznania go sprzeciwiło się prostemu schematowi społecznemu, który stworzyłem – że głupi ludzie są religijni, a inteligentni to ateiści".

To był początek jego duchowej podróży, która zakończyła się w Kościele katolickim.

W książce i wywiadach promocyjnych Vance broni tezy, że wartości chrześcijańskie w polityce nie muszą być reprezentowane jedynie w typowych tematach wojny kulturowej, takich jak aborcja i walka z ideologią LGBT+, lecz można się do nich odnieść także w klasycznych kwestiach ekonomicznych.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych wspomina o ważnej encyklice Leona XIII „Rerum novarum" z 1891 r., którą opisuje jako mającą ogromny wpływ na niego i jego poglądy polityczne. Katolicka odpowiedź na marksizm, równie odległa od socjalizmu, co od niekontrolowanego kapitalizmu, jest dla Vance'a wielką inspiracją. Jest to zgodne z jego postliberalnymi wypowiedziami, w których mówił o potrzebie interwencji państwa w gospodarkę i rynek.

W wywiadzie Barron zapytał go, jaka jego zdaniem jest główna różnica między administracją Donalda Trumpa a administracją ostatniego wielkiego prezydenta republikanów – Ronalda Reagana. Vance odpowiedział, że jest to świadomość zagrożeń związanych z globalizacją, którą posiada aktualna administracja, oraz że istnieje coś w rodzaju interesu narodowego w procesach gospodarczych, którego należy bronić.

A co z polityką migracyjną, która doprowadziła administrację polityczną – której jest częścią – do konfliktu z Kościołem – którego jest wyznawcą?

Vance wyjaśnia, że jako katolik i człowiek pozostaje wierny zasadom poszanowania godności każdego człowieka, ale dodaje, że zasady te muszą uwzględniać uwarunkowania polityczne i prawo każdego kraju do obrony swoich granic. Kluczowy jest dialog i współpraca między hierarchią kościelną a urzędnikami politycznymi.

W książce – co zaskoczy wielu – Vance podkreśla wagę wypowiedzi papieża Franciszka, które określa jako „prowokacyjne" i ważne dla Kościoła. Dodaje, że nigdy nie lubił, gdy papież był ostro krytykowany przez konserwatywnych komentatorów.

W książce Vance opisuje jedno z doświadczeń, które skłoniło go do ponownego rozważenia swojego stosunku do chrześcijaństwa. Było to spotkanie Petera Thiela, bogatego inwestora, który zafascynował go swoją inteligencją i nie ukrywał swojej wiary

PIĘKNA DUSZA

Książka nie jest pozbawiona aspektów osobistych, co okazuje się nieuniknione, gdy pisze się o duchowym nawróceniu. Vance wspomina o swojej żonie Ushy. W książce opisuje fascynację jej duchem i zaradnością. Podkreśla, że jej hinduizm pomógł mu utwierdzić się w wierze katolickiej, a ona go wspierała, zwłaszcza po tym, kiedy uświadomiła sobie, jak Kościół pomaga mężowi przezwyciężyć traumę dorastania w rodzinie dysfunkcyjnej. „Terapia ci nie pomogła, ale Kościół tak" – powiedziała mu żona.

Polityk ujawnia również, jak niedawne narodziny syna wiążą się ze śmiercią jego dobrego przyjaciela Charliego Kirka, działacza politycznego, który został zamordowany we wrześniu 2025 r.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych od lat próbował przekonać żonę do czwartego dziecka, ale ona nie była na to gotowa. Zmieniła zdanie, gdy rozmawiali z wdową po Charliem – Eriką Kirk. Wkrótce po śmierci męża powiedziała im, iż żałuje, że ma z nim tylko dwójkę dzieci. Kiedy Usha to usłyszała, zmieniła zdanie w sprawie czwartego dziecka. „Jedno życie zostało nam skradzione, ale dano nam drugie" – pisze Vance.

Krytyka tej książki była dość przewidywalna. Liberalne media oczywiście przyjęły ją chłodno, a „The Atlantic" określił ją jako całkowicie nieciekawą i bezcelową.

Recenzenci bardziej przychylni Vance'owi wskazują, że książka przedstawia ważną i interesującą wizję polityki chrześcijańskiej, a także mocną, osobistą historię nawrócenia – i pod tym względem warto na nią zwrócić uwagę. Jednak nawet oni zadają pytanie, na ile administracja polityczna, której Vance jest częścią, działa zgodnie z zasadami, których broni w książce.

Biorąc pod uwagę, że wpływy Vance'a są ograniczone charakterem jego stanowiska w Białym Domu, to pytanie nie jest do końca sprawiedliwe. Jeśli spojrzymy na jego książkę jako na szkic programu politycznego, zobaczymy, jak na naszych oczach kształtuje się interesujący nowy program konserwatywny. W pewnym sensie można nawet powiedzieć, że jest to agenda, którą rozpoczął Donald Trump, ale z różnych powodów nie był on osobą, która miała ją wdrożyć.

Jeśli Vance rzeczywiście zostanie prezydentem USA – jak przewiduje wielu – jego sytuacja będzie inna.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu
eprasa.pl ca127791e6



Polowanie na



DARIUSZ MATUSZAK

To nie może być przypadek. 10 lipca na polecenie prezydenta Donalda Trumpa Pentagon i Departament Wojny po raz kolejny odtajniły i udostępniły dokumenty – nagrania, relacje pilotów, zdjęcia, dokumenty operacyjne dotyczące UFO, a już trzy dni później Donald Tusk obwieścił, że polska wybuduje statek kosmiczny. Premier użył dokładnie takiego określenia – rodem z książek science fiction, jakby chodziło o statek kosmiczny, krążący co najmniej po Układzie Słonecznym niczym USS „Enterprise" z filmów „Star Trek".

Wedle niektórych komentatorów polityki amerykańskiej Trump ujawnia kolejne akta dotyczące UFO – robił to także w czerwcu, maju i lutym – po to, by odciągnąć uwagę opinii publicznej i przykryć niewygodne dla siebie sprawy, np. przedłużającą się wojnę z Iranem i kryzys na rynku paliw.

Po co premier Tusk obiecuje nam statek kosmiczny? Na ten temat amerykańscy komentatorzy jeszcze się nie wypowiedzieli, ale ta zbieżność dat nie jest przypadkowa i pewnie chodzi o część tajnego polsko-amerykańskiego planu. Statek Tuska będzie szukał UFO. Chyba nie wierzą państwo w to, że Donald Tusk nie wie, co mówi, że opowiada brednie, że ten statek będzie po to, by satelity mogły tankować. „[Polski statek kosmiczny] będzie mógł zapewniać dużo większe możliwości transportowe między Ziemią a satelitami, serwisowanie satelitów, tankowanie" – mówił nasz premier, sprytnie ukrywając przed wrogami prawdziwe, tajne cele misji. Nieprzyjaciele będą myśleć, że statek ma wozić ropę czy gaz dla tych satelitów, a tymczasem my pomalutku, po cichutku – cap! – złapiemy UFO.

eprasa.pl ca127791e6



UFO

W sezonie letnim, tzw. ogórkowym, wszyscy piszą na tematy lekkie, niepoważne. My zaś odwrotnie. Opiszemy sprawę na wagę życia, a nawet śmierci

ŻYCIE NARODZIŁO SIĘ W LODÓWCE

Najpierw trzeba jednak ustalić kilka rzeczy. Przylot do nas pozaziemskiego statku, abyśmy go schwytali, musi oznaczać, że gdzieś w kosmosie – podobnie jak na Ziemi – istnieje życie. Tymczasem nikt nie ma najmniejszego pojęcia, skąd się ono wzięło. Najbardziej rozpowszechnionym mniemaniem na ten temat jest teoria abiogenezy. Otóż według niej życie powstało w wyniku przypadkowych zderzeń nieożywionej materii – bum, bum – miliardów, tryliardów, biliardów takich zderzeń w jakiejś zupie, w jakichś kominach hydrotermalnych i raz tak się zderzyło, że się ożywiło. Ja mam własną teorię i jest ona równie mocna.

Otóż życie narodziło się w lodówce, którą na dłuższy czas zostawiłem zamkniętą i odłączoną od prądu. W 1953 r. na Uniwersytecie w Chicago Stanley Miller i Harold Urey odtworzyli w laboratorium warunki, jakie panowały na Ziemi niedługo po tym, jak powstała. Przez ową zupę z amoniaku, wody, metanu i wodoru cząsteczkowego puścili prąd elektryczny, co miało symulować wyładowania atmosferyczne – czyli pioruny – i w ten sposób uzyskali cząsteczki organiczne oraz 20 prostych aminokwasów, mających być budulcem białka. Iskra miała być czynnikiem wywołującym pożądane reakcje. Ciekawe, że owa iskra Boża pojawia się w chrześcijańskiej sztuce i ikonografii, choćby na słynnym fresku Michała Anioła „Stworzenie Adama" w Kaplicy Sykstyńskiej. Palce Boga i Adama niemal się stykają, a ludzie interpretują tę minimalną szczelinę jako miejsce, przez które przeskakuje „iskra życia". Z iskrą, światłem mamy też do czynienia, gdy plemnik zapładnia komórkę jajową. To efekt wyrzucenia przez nią atomów cynku, co ma chronić ją przed wniknięciem kolejnych porcji nasienia.

W każdym razie z aminokwasów stworzonych przez naukowców później ma się zrobić coś tam, np. samoreplikujące się łańcuchy RNA, i na koniec to wszystko ma się ożywić. Amerykański astrofizyk Frank Drake podał nawet równanie pozwalające obliczyć, ile razy w takiej zupie we wszechświecie narodziło się życie. Otóż jakieś 200 mld razy, jeśli wziąć pod uwagę liczbę planet z odpowiednimi warunkami, czas powstawania gwiazd, liczbę lat i zderzeń. Z tych zupełnie prawdziwych obliczeń wynika, że każdy może sobie zrobić własne życie i uznać, że powstało np. 17 razy. Tymczasem od eksperymentu Millera i Ureya minęło 70 lat i nikomu nigdy nie udało się wyjść poza stworzenie owych prostych aminokwasów, nie mówiąc już o jakichś samoreplikujących się łańcuchach RNA.

Wszystko, co państwo czytają, oglądają w programach, filmach popularnonaukowych i co jest państwu przedstawiane jako prawda objawiona na temat powstania życia to zwykłe mniemania, zmyślone modele i nic więcej. Nikt nie zaobserwował, by w wyniku przypadkowych zderzeń uformował się chociaż durszlak lub wiadro z gwoździami, a co dopiero twory nieskończenie bardziej skomplikowane, jak najprostsze funkcjonalne białko. Co innego jakiś związek chemiczny, który powstaje w wyniku reakcji, a co innego – funkcjonalny twór.

A więc nikt nie ma bladego pojęcia, jak z czegoś nieżywego coś staje się żywe i być może odkryjemy to dopiero dzięki rakiecie Tuska. Drake przedstawił swoje równanie, ale jest też paradoks innego astrofizyka – Brytyjczyka Freda Hoyle'a. Policzył on, jakie jest prawdopodobieństwo spontanicznego uformowania się funkcjonalnego białka, składającego się z 200 aminokwasów.

eprasa.pl ca127791e6

Otóż wynosi ono 1 do 10 do 400-tysięcznej potęgi. Czyli 1 do dziesiątki z 40 tys. zer. Atomów w całym wszechświecie jest ledwie 10 do 85–90 potęgi. Hoyle opisał, że szansa na takie spontaniczne powstanie życia jest taka jak to, że przechodzące przez złomowisko tornado przypadkowo ułoży z zalegającego żelastwa i gratów latającego Boeinga.

SAMI WE WSZECHŚWIECIE?

Tak czy owak Hoyle twierdził, że taki cud mógł zdarzyć się tylko raz i prawdopodobieństwo, że powtórzył się jeszcze gdzieś we wszechświecie po raz drugi, nie mówiąc o 17 czy 200 mld razy, jak u Drake'a, jest właściwie zerowe. Inaczej mówiąc – jesteśmy we wszechświecie sami i statek Tuska nie znajdzie żadnego UFO. Rozumowanie Hoyle'a ma słabe strony, nie będziemy się tym jednak zajmować. Istotne jest to, że przyjmujemy, iż chodzi o takie życie, jakie sobie wyobrażamy, wynikające z praw fizyki i chemii, czyli bazujące na atomach węgla, które mogą tworzyć długie i stabilne łańcuchy, będące podstawą do budowy białek, kwasów nukleinowych itp.

Być może to założenie jest błędne i życie gdzieś tam, w kosmosie, ma inną postać. Np. Kilgore Trout, bohater wielu powieści Kurta Vonneguta, opisuje w „Śniadaniu mistrzów" planetę zamieszkałą przez stare opony i złom. To ostatnie zgadzałoby się nawet z teoriami Hoyle'a. Nie wykluczam, że statek kosmiczny Tuska nawiąże jakiś kontakt ze starymi oponami i złomem, ale skupmy się raczej na infrastrukturze białkowej.

EFEKT BIEDRONKI

Drake wyliczał, iż życie powstało 200 mld razy, ale stworzyło ledwie 5 mln inteligentnych cywilizacji, z czego jakieś 250 tys., które mogłyby nas odwiedzić. Niby mało, ale wystarczająco dużo, by na naszym niebie zrobił się tłok większy niż na stacji metra Świętokrzyska. I tu trzeba powtórzyć fundamentalne pytanie włoskiego noblisty Enrica Fermiego. Skoro jest ich tak dużo, to „gdzie oni są?" – zapytał fizyk i tak powstał kolejny paradoks, noszący dziś jego miano. Uczeni rzucili się, by go wyjaśnić i dać odpowiedź na pytanie, podać powody, dla których nie spotykamy się z obcą cywilizacją, nie komunikujemy się z nią.

Po pierwsze, inteligentne cywilizacje mogą mieć tendencje do samozagłady – to taki koncept, jakbyśmy sami wysadzili Ziemię przy okazji III wojny światowej. Mogło być też tak, że wykończyły się nawzajem, konkurując o podbój kosmosu.

Kolejny argument jest taki, że może jest ich dużo, ale istnieją za krótko, by przemierzyć takie otchłanie kosmosu. Ponadto musiałyby się wstrzelić dokładnie w okienko naszego istnienia. A w tym wypadku 50 tys. lat w tę czy we w tę i mijamy się jak przy zniknięciu za rogiem.

> Dlaczego nie spotykamy się z obcą cywilizacją, nie komunikujemy się z nią? Powodów może być wiele, np. taki, że Ziemia jest jak zoo lub terrarium, w którym żyjemy, a obcy nas obserwują. Ziemia może być też rezerwatem, w który się nie ingeruje

Ziemia może być też tylko zoo lub terrarium, w którym żyjemy, a obcy nas obserwują. Może być też rezerwatem, w który się nie ingeruje.

Może być również efekt mrówki (który na własne potrzeby nazywam efektem biedronki) – obcy stoją na dużo wyższym poziomie rozwoju i po prostu nie wiemy, że się z nami komunikują. Mówię: „Biedroneczko, biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba", a ona nie ma pojęcia, że się z nią komunikuję, czego dowodem jest to, że jeszcze nigdy nie przyniosła mi nawet bułki.

Możemy ich w ogóle nie rozumieć. Np. u wspomnianego Vonneguta na Ziemi pojawił się kosmita Zog. Wylądował swym latającym talerzem na farmie w Connecticut i poszedł do gospodarza, by przekazać mu formułę lekarstwa na każdy rodzaj postaci raka i przepis na zapobieganie wojnom. Niestety mieszkańcy planety Margo, skąd pochodził Zog, porozumiewali się tupaniem/stepowaniem i popierdywaniem. Jak tylko Zog przemówił, farmer rozwalił mu kijem golfowym łeb, czy co tam kosmita miał, i tak się skończyło spotkanie trzeciego stopnia.

Niektórzy psychologowie od kosmosu twierdzą, że obcym może nie chcieć się z nami nawet gadać. Sam koncept jakiegoś komunikowania jest obcym obcy. Być może przeczesują już kosmos, ale nie zdążyli jeszcze do nas dotrzeć. Amerykański matematyk i fizyk John von Neumann opracował nawet koncept samoreplikujących się sond do przeczesywania kosmosu. Otóż taka sonda ląduje gdzieś i z dostępnych surowców buduje swoje kolejne wersje, które następnie gdzieś lecą i lądują. Znów budują kolejne i cyk – już po 500 tys. lat mają spenetrowaną naszą galaktykę, czyli Drogę Mleczną. Podobno takiej sondy powinniśmy szukać na krańcach Układu Słonecznego, czyli gdzieś w okolicy Pasa Kuipera. Wystrzelony w 1977 r. Voyager 1 osiągnął Pas po 12 latach, więc możemy się spodziewać, że jak Donald Tusk wybuduje ten statek w 2080 r., to już w 2092 r. upoluje jakieś UFO.

Z tymi sondami obcych trzeba uważać, bo mogą to być tzw. statki Berserkery, które zamiast badać są tak zaprogramowane, by niszczyć każdą napotkaną formę życia. Gdyby więc statek Tuska przejął taki statek, to mógłby nawet ocalić ludzkość.

Gdzie się nie obejrzeć, wszędzie same paradoksy, więc wspomnimy o paradoksie Andromedy, który sformułował brytyjski noblista w dziedzinie fizyki Roger Penrose. Wyobraźmy sobie dwie osoby oddalone od siebie o kilka metrów. Jedna stoi, a druga idzie i obie patrzą na galaktykę Andromedy. Jedna widzi ją już po tym, jak gdzieś tam w tej galaktyce podjęto decyzję o zniszczeniu Ziemi, bo na jej miejscu trzeba postawić jakiś szalet kosmiczny. Druga patrzy na to samo, ale decyzji jeszcze nie podjęto. I to się całkowicie zgadza z teorią względności Einsteina.

eprasa.pl ca127791e6

Broń powstańców warszawskich

– czym naprawdę walczyła Armia Krajowa



Pistolet maszynowy Błyskawica

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

O powstaniu warszawskim najczęściej mówi się, postrzegając je przez pryzmat heroicznej odwagi jego uczestników. Rzadziej przypomina się, jak skromnym, choć różnorodnym uzbrojeniem dysponowali żołnierze Armii Krajowej. W ich rękach znalazła się broń zdobyczna, aliancka, konspiracyjna i improwizowana – od pistoletów maszynowych Błyskawica po własnoręcznie wykonane granaty. Jak naprawdę wyglądał arsenał powstańców? Z czym stanęli do walki 1 sierpnia 1944 r.?

W chwili wybuchu powstania warszawskiego broni było znacznie mniej niż żołnierzy gotowych do walki. Niekiedy jeden pistolet lub karabin przypadał na całą, liczącą 10–14 osób drużynę. Najlepszym uzbrojeniem dysponowały oddziały szturmowe, natomiast wielu ochotników liczyło, że zdobędzie broń dopiero podczas pierwszych starć z Niemcami. Po drugiej stronie barykad stały regularne oddziały Wehrmachtu i SS wyposażone w czołgi, artylerię, działa, broń maszynową, miotacze ognia oraz lotnictwo. Przewaga techniczna przeciwnika była przytłaczająca. Mimo to żołnierze AK przez 63 dni prowadzili zaciekłe walki, wykorzystując znajomość miasta, improwizację i zdobyczne uzbrojenie. Każdy przejęty karabin, pistolet maszynowy czy skrzynka amunicji były na wagę złota, mogły bowiem zadecydować o utrzymaniu barykady lub budynku.

BROŃ GROMADZONA LATAMI

Przez cały okres okupacji niemieckiej polskie podziemie niepodległościowe systematycznie gromadziło broń. Pochodziła ona z wielu źródeł. Odkopywano uzbrojenie ukryte po kampanii wrześniowej 1939 r. przez żołnierzy Wojska Polskiego. Znaczne ilości broni zakopano m.in. na obrzeżach Warszawy podczas przebijania się oddziałów zmierzających, by wesprzeć obronę stolicy. We wspomnieniach żołnierzy Armii Krajowej często pojawiają się opisy wydobywania uzbrojenia z różnego rodzaju skrytek. Była to przede wszystkim broń prywatna, myśliwska oraz pamiątkowa, ukryta przed okupantem jesienią 1939 r. w obawie przed potencjalnymi represjami.

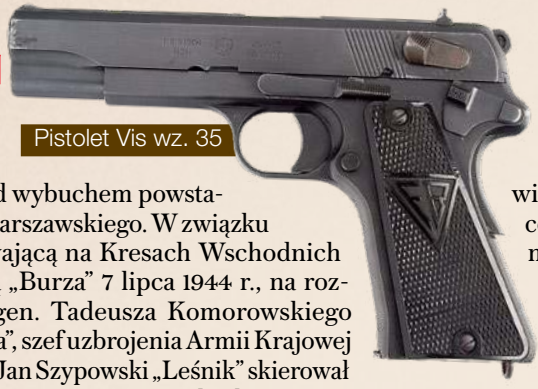
Istotnym źródłem uzbrojenia był również czarny rynek. Broń kupowano od niemieckich żołnierzy. Frontowcy z Wehrmachtu niejednokrotnie zgłaszali rzekomą kradzież, ukrywając w ten sposób nielegalną sprzedaż. Fundusze na zakupy pochodziły z budżetu Polskiego Państwa Podziemnego i były przekazywane z Wielkiej Brytanii za pomocą alianckich zrzutów lotniczych. Między lutym 1941 a grudniem 1944 r. wykonano 483 loty zaopatrzeniowe do okupowanej Polski. Broń zdobywano również podczas akcji dywersyjnych oraz rozbrajania niemieckich patroli.

BŁYSKAWICA – JEDYNY TAKI PISTOLET MASZYNOWY

Jednym z najbardziej niezwykłych osiągnięć polskiego podziemia był pistolet maszynowy Błyskawica. To jedyna na świecie broń tego typu, skonstruowana i produkowana seryjnie w warunkach głębokiej konspiracji,

Fot. MPW

eprasa.pl ca127791e6


Pistolet Vis wz. 35

w fabryczkach i niewielkich warsztatach działających na terenie okupowanej Warszawy. Projekt powstał w drugiej połowie 1942 r. z myślą o maksymalnym uproszczeniu procesu produkcji, bez konieczności wykorzystania nowoczesnych zakładów zbrojeniowych.

Błyskawica wykorzystywała amunicję 9 × 19 mm Parabellum, a jej konstruktorzy czerpali z rozwiązań zastosowanych w brytyjskim Stenie oraz niemieckim MP 40. Dzięki temu była stosunkowo prosta, niezawodna i łatwa w obsłudze. O wyjątkowości konstrukcji decydowała również technologia wykonania. Żadna z 58 części nie wymagała spawania, co pozwalało ograniczyć zużycie energii elektrycznej i zmniejszało ryzyko wykrycia warsztatów przez Niemców. Poszczególne elementy powstawały w różnych zakładach, m.in. w fabrykach dawnego Centralnego Okręgu Przemysłowego i w Warszawie, a końcowy montaż odbywał się w punktach konspiracyjnych. Produkcja ruszyła pod koniec 1943 r. Do wybuchu powstania wyprodukowano ok. 700 egzemplarzy Błyskawicy.

Na podobnej zasadzie powstawał także pistolet maszynowy Sten, krajowa wersja brytyjskiego Stena Mk II. Historycy szacują, że w latach 1940–1944 w konspiracyjnych warsztatach wyprodukowano ponad 2 tys. pistoletów maszynowych obu typów oraz kilkaset miotaczy ognia. W czasie powstania montownię Błyskawicy zainstalowano w lokalu mieszczącym się w piwnicy kamienicy przy ul. Boduena.

USZCZUPLENIE ZASOBÓW

Wysiłek włożony w gromadzenie uzbrojenia został częściowo ograniczony przez wydarzenia, które miały miejsce jeszcze przed wybuchem powstania warszawskiego. W związku z trwającą na Kresach Wschodnich akcją „Burza" 7 lipca 1944 r., na rozkaz gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora", szef uzbrojenia Armii Krajowej ppłk Jan Szypowski „Leśnik" skierował znaczną część zapasów do okręgów AK na wschodzie kraju. Z Warszawy wywieziono setki pistoletów maszynowych wraz z amunicją, których później zabrakło walczącym w stolicy. Dodatkowo wiosną 1944 r. niemieckie służby bezpieczeństwa odkryły kilka konspiracyjnych magazynów Armii Krajowej z granatami, miotaczami ognia i innym uzbrojeniem. Kolejna fala aresztowań sprawiła, że utracono dostęp do części skrytek z bronią i amunicją.

W rezultacie 1 sierpnia 1944 r. uzbrojeniem dysponowała jedynie część żołnierzy przewidzianych do walki. Szacuje się, że dobrze wyposażony był zaledwie co dziesiąty powstaniec. W pozostałych oddziałach broń mieli tylko niektórzy żołnierze.

PISTOLETY I REWOLWERY

Każdy zdobyty karabin czy pistolet miał ogromną wartość, a w oddziałach Armii Krajowej wykorzystywano broń pochodzącą z wielu państw, często używaną równocześnie w ramach jednej jednostki. Najbardziej rozpowszechnionym uzbrojeniem były pistolety i rewolwery. Powstańcy używali zarówno polskich pistoletów Vis wz. 35, uznawanych za jedne z najlepszych konstrukcji swojej epoki, jak i niemieckich Parabellum P08 oraz Walther P38, zdobywanych na okupancie. W rękach żołnierzy AK można było zobaczyć także broń radziecką, belgijską, a nawet amerykańską. Broń krótka doskonale sprawdzała się podczas walk ulicznych, w budynkach i podczas akcji dywersyjnych, choć jej skuteczność ograniczały niewielki zasięg i stosunkowo mała siła ognia.

Symbolem walk w ruinach Warszawy stały się pistolety maszynowe. Najczęściej używano niemieckich MP 38 i MP 40 oraz brytyjskich Stenów i ich polskiej wersji. Szczególne miejsce zajmowała jednak rodzima Błyskawica. W arsenale powstańców znajdowały się również m.in. Beretty 38, Bergmanny (MP 18, MP 28 i MP 35), Ermy EMP, francuskie MAS 38, amerykańskie Thompsony wz. 28, fińskie Suomi wz. 31 oraz słynne radzieckie pepesze, czyli pistolety maszynowe PPSz wz. 41.

Dużym problemem był niedostatek karabinów oraz ciężkiego uzbrojenia. Powstańcy dysponowali przede wszystkim niemieckimi Mauserami, radzieckimi Mosinami i polskimi karabinkami wz. 29. W ich rękach znajdowały się również francuskie Berthiery i Lebele, austriackie Mannlichery, niemieckie Gewehry 41 i 43, radzieckie SWT-40 oraz pojedyncze brytyjskie Lee-Enfieldy, dostarczone w alianckich zrzutach. Każda udana akcja zdobycia broni miała ogromne znaczenie.

Stanisław Świderek „Żuk" ze Zgrupowania „Gurt" wspominał zdobycie uzbrojenia z niemieckiego pociągu stojącego w tunelu średnicowym: „Wynosiliśmy to, co było w wagonie, a było parę karabinów, plecaki, w których były pistolety, i karabin maszynowy". Wśród zdobycznego uzbrojenia znalazł się także ręczny karabin maszynowy Maxim wz. 08/15.

KOKTAJLE MOŁOTOWA POSTRACHEM NIEMCÓW

Niewielka liczba karabinów maszynowych, moździerzy i granatników poważnie ograniczała możliwości walki z dobrze uzbrojonymi oddziałami niemieckimi. Jeszcze rzadsze były działa przeciwpancerne i broń przeciwlotnicza. Do zwalczania pojazdów pancernych powstańcy wykorzystywali przede wszystkim brytyjskie granatniki przeciwpancerne PIAT oraz polskie i radzieckie karabiny przeciwpancerne.


Pistolet Walther P38


Pistolet Parabellum P08

eprasa.pl ca127791e6



Pistolet maszynowy MP 40

W walczącej Warszawie pojawiła się także niewielka liczba radzieckich ręcznych karabinów maszynowych DP, a w konspiracyjnych warsztatach rozpoczęto produkcję improwizowanych granatników, wykonywanych m.in. z rur kanalizacyjnych.

Niezwykle ważną rolę odgrywały granaty ręczne. Powstańcy używali zarówno zdobycznych granatów niemieckich, jak i własnych konstrukcji wytwarzanych w tajnych warsztatach. Najbardziej znane były Filipinki i Sidolówki, wykonywane m.in. z puszek po środkach czyszczących. Do walki z niemieckimi pojazdami na masową skalę wykorzystywano również butelki zapalające, czyli koktajle Mołotowa. Choć była to bardzo prosta broń, w warunkach walk miejskich często okazywała się zaskakująco skuteczna przeciwko lżej opancerzonym pojazdom.



Pistolet maszynowy Sten

Prawdziwą sensacją okazało się zdobycie przez powstańców kilku niemieckich pojazdów pancernych. Już 2 sierpnia w ich ręce wpadły dwa czołgi PzKpfw V „Panther", które udało się uruchomić i wprowadzić do walki. Pierwszy z nich, oficjalnie nazwany Pudel – choć jego załoga używała nazwy Magda – podczas pierwszego wyjazdu ostrzelał stanowisko niemieckiego karabinu maszynowego na wieży kościoła św. Augustyna. Kilka dni później odegrał ważną rolę w ataku na obóz koncentracyjny Gęsiówka, przyczyniając się do jego wyzwolenia. Wobec przewagi sił niemieckich czołg został jednak zniszczony przez samych powstańców 11 sierpnia, aby nie dostał się ponownie w ręce przeciwnika. Druga Pantera, oznaczona nazwą WP, była uszkodzona już w chwili zdobycia. Po krótkim okresie użytkowania została unieruchomiona ogniem niemieckiego działa szturmowego StuG III i 10 sierpnia również została spalona przez powstańców. Oprócz Panter powstańcy zdobyli także samobieżny niszczyciel czołgów Jagdpanzer 38(t) „Hetzer", dwa transportery opancerzone Sd.Kfz. 251 oraz kilka samochodów pancernych.

Najbardziej znanym pojazdem PW pozostaje jednak Kubuś, improwizowany samochód pancerny zbudowany przez powstańców na bazie ciężarówki. Był to jedyny pojazd pancerny skonstruowany przez ruch oporu w okupowanej Europie.

TOWAR NAJCENNIEJSZY

Równie cennym co sama broń zasobem była amunicja, której przez całe powstanie warszawskie bardzo brakowało. Powstańcy oszczędzali każdy nabój, otwierając ogień dopiero z bliskiej odległości lub w sytuacjach bezwzględnej konieczności. Po zakończonych walkach zbierano amunicję zarówno od poległych towarzyszy, jak i zabitych żołnierzy niemieckich. Sytuację komplikowała ogromna różnorodność używanego uzbrojenia. Każdy typ broni wymagał innego rodzaju nabojów. Stosunkowo najłatwiej było zdobyć amunicję do niemieckich pistoletów maszynowych MP 40 i brytyjskich Stenów, ponieważ korzystały z tego samego naboju 9 × 19 mm Parabellum, powszechnie używanego przez wojska niemieckie.

Znacznie trudniej było zaopatrzyć francuskie czy austriackie karabiny pamiętające jeszcze czasy I wojny światowej. Gdy kończyła się do nich amunicja, broń stawała się bezużyteczna.

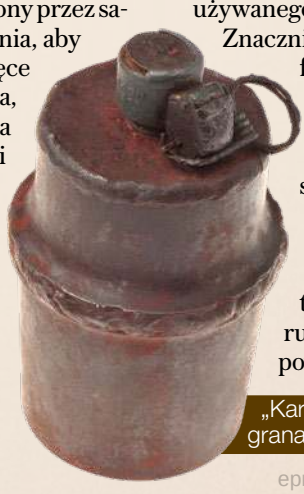
„Byłem strzelcem na barykadzie. Nie atakowaliśmy tylko się broniliśmy, jeżeli ruszał atak, to staraliśmy się powstrzymać go ogniem. Mieliśmy naprawdę minimalne ilości amunicji. Mój karabinek Berthier miał dwie zalety. Po pierwsze, był lekki, bo karabinek, a nie karabin. Po drugie, bardzo celnie strzelał. Natomiast miał zasadniczą wadę, że do niego oprócz amunicji francuskiej nie pasowała żadna inna" – wspominał po latach Leszek Żukowski „Antek".

SYMBOL ODWAGI

Uzbrojenie wykorzystywane w powstaniu warszawskim najlepiej pokazuje skalę wyzwania, przed jakim stanęli żołnierze Armii Krajowej. W walce o stolicę używano łącznie kilkudziesięciu typów broni. Według raportu sporządzonego 30 września 1944 r. przez ppłk. Stanisława Webera „Chirurga", szefa sztabu Okręgu Warszawa AK, powstańcy rozpoczynający walkę dysponowali zaledwie 40 ciężkimi karabinami maszynowymi, 141 ręcznymi karabinami maszynowymi, 636 pistoletami maszynowymi, 2349 karabinami oraz 2769 pistoletami. Ponadto mieli tylko 2 armatki przeciwpancerne, 4 moździerze, 29 karabinów przeciwpancernych i 10 granatników PIAT. W konspiracyjnych magazynach oraz prywatnych mieszkaniach zgromadzono także 30 miotaczy ognia, ok. 37 tys. granatów ręcznych i kilkanaście tysięcy butelek zapalających.

Najcenniejszą podczas walk ulicznych bronią długą posiadał zaledwie co dziesiąty powstaniec. Pozostali musieli liczyć na zdobycie uzbrojenia na przeciwniku lub przejęcie go po poległych kolegach. Mimo ogromnych braków, różnorodności sprzętu i chronicznego niedoboru amunicji żołnierze Armii Krajowej przez 63 dni skutecznie stawiali opór znacznie lepiej wyposażonym wojskom niemieckim.

Powstańczy arsenał jest więc kolejnym symbolem determinacji i odwagi ludzi, którzy zdecydowali się podjąć nierówną walkę o wolność stolicy i Polski.



„Karbidówka" – jeden z polskich granatów konspiracyjnych

Fot. MPW, Bruce C. Cooper/CC BY-SA 4.0 Shutterstock

eprasa.pl ca127791e6

Ameryka ma pozostać silna

Ameryka Trumana to mocarstwo zrodzone na gruzach imperium brytyjskiego. Piotr Zaremba zagląda w jego zakamarki, odmienione wojną i Nowym Ładem. Jak walczyć z komunistyczną infiltracją? Czy budować publiczną służbę zdrowia? Jak daleko sięgają granice amerykańskich interesów?



MACIEJ WALASZCZYK

„Truman, Truman, spuść ta bania, bo to nie do wytrzymania" – głosił wierszyk z lat 50. w nadziei, że kolejna, trzecia już wojna światowa – nawet atomowa – skoryguje jałtański blamaż administracji Franklina D. Roosevelta, a Polska znów znajdzie się w swych przedwojennych granicach. Gołąbek pokoju zagościł na dobre, choć odleciał na Zachód, bo – jak mówił inny dowcip – w sowieckiej strefie wpływów nie miał co jeść. Choć również tam nie było lepiej i konieczny był plan Marshalla. Prosperity i siła politycznej potęgi ulokowały się bowiem za oceanem, a Waszyngton, by nie znaleźć się w defensywie, zdecydował się na prowadzenie politycznej gry w Niemczech, Grecji i Turcji, Francji, Włoszech, a do tego w stojących na progu rewolucji Chinach i Japonii oraz na Bliskim Wschodzie, gdzie właśnie powstawało państwo Izrael. Uczono się globalnej polityki, często – jak pisze Piotr Zaremba – „upierając się przy własnej ignorancji" i braku znajomości realiów.

To już szósty tom jego „Dziejów politycznych Stanów Zjednoczonych od roku 1900". Autor przybliża osobisty portret Trumana, pochodzącego – w przeciwieństwie do swego politycznego protektora – z farmerskiej amerykańskiej prowincji. Jednak w przeciwieństwie do Roosevelta posiada on ambicje intelektualne, a nawet potrafi grać na fortepianie. Ponoć w dzieciństwie miał wysłuchać jednego z koncertów Ignacego Paderewskiego, poznać go osobiście i dostąpić zaszczytu wspólnej gry. Do tego zdobywał polityczne szlify, kierując podczas wojny specjalną senacką komisją badającą korupcję na styku gospodarki i struktur państwa. Jak pisze autor, była to jedna z najbardziej efektywnych komisji śledczych w dziejach USA.



Harry Truman, prezydent USA w latach 1945–1953

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl ca127791e6

UŚMIERCENIE DZIEDZICTWA ROOSEVELTA

Mimo obaw okazał się znacznie bardziej przenikliwym następcą Roosevelta, traktującego politykę z nonszalancją i niemającego spójnego programu na czasy powojenne. To ważne, bo Truman, obejmując urząd po jego śmierci, dostał też w spadku jego prosowieckich doradców razem z ich dotychczasową strategią. Jednak z pomocą Winstona Churchilla i jego słynnego przemówienia wywrócił ją do góry nogami. Oficjalnym celem Sowietów była bowiem nowa wojna, za pomocą której chciano oczywiście osiągnąć „wieczny pokój". Truman zdołał przekonać kraj do konieczności zbudowania radykalnie militarnej odpowiedzi na groźby Stalina, sprawnie wykorzystując plastyczne tezy Churchilla o żelaznej kurtynie na użytek krajowej polityki. Przemówienie zostało – jak pisze autor – zaaranżowane tak, jakby ktoś je spreparował na potrzeby przyszłego filmu. Sytuacja była bowiem jasna.

Specjaliści, tacy jak prof. Edward Willer, nie uważali likwidacji Kominternu i wymordowania bolszewickich kadr za zmierzch ideologii, lecz rozpoznawali w tym jego naturę dążącą do rewolucji jako „permanentnego celu sowieckiej biurokracji". Już przed wystąpieniem Churchilla dyplomata George F. Kennan wystosował z Moskwy swój słynny „długi telegram", formułujący fundamentalne tezy twardej polityki USA, precyzując cechy rosyjskiej państwowości, nietolerującej przyjaznego sąsiedztwa, równowagi sił i szukającej pola konfrontacji w różnicach kulturowych.

ATOMOWA DEMOKRACJA

„Stany Zjednoczone muszą pozostać silne" – zdecydował Truman. Nową epokę otwierało więc zrzucenie bomb atomowych na japońskie miasta, Nagasaki i Hiroszimę. Jak przekonuje autor, decyzja ta – odziedziczona po jego poprzedniku – skróciła wysiłek wojenny, rozwiewając obawy wyborców, że amerykańscy chłopcy walczący w Europie po pokonaniu Hitlera zostaną wysłani, by dokończyć kolejną wojnę w Azji. Jednocześnie wejście w posiadanie broni atomowej pozwalało zredukować armię, nie tracąc przewagi technologicznej. Triumf wojenny zmuszał również do szybkiej odpowiedzi na pytania, ilu żołnierzy ma stacjonować w okupowanych krajach, jak daleko mają sięgać amerykańskie wpływy i interesy, a także jaką tożsamość mają przyjąć wysunięte na wschodnią flankę Niemcy. Szybko okazało się, że nielewicową i antykomunistyczną, faktycznie wyrastającą z instytucjonalnego podglebia III Rzeszy, a do tego stojącą na stanowisku tymczasowości granicy na Odrze i Nysie.

„Z perspektywy Waszyngtonu polskie interesy były drugorzędne" – pisze autor. Odsłonięta została też polityczna deklasacja zniszczonej i podzielonej Europy. Kontynentu, dla którego amerykańskie elity wybrały – z pozoru – rolę dobroczyńcy w postaci planu Marshalla, faktycznie budując korzystne dla siebie nowe zależności ekonomiczne. Ostatecznie – mówiąc słowami twórcy WTO Williama Claytona – przechwytując w ten sposób światowe przywództwo za pomocą wolnego handlu.

GRANICE AMERYKAŃSKIEJ POTĘGI

Także doktryna Trumana, a więc powstrzymywania komunizmu pod sztandarem demokracji i wolności, to po prostu narzędzie rozgrywania globalnych interesów. Tak jak wcześniej była nim wojna z państwami osi i sojusz z Sowietami. Równocześnie amerykańska polityka globalna ujawnia swój protestancki mesjanizm, ducha posłannictwa i opieki połączonej z modernizacją oraz protekcjonalnością. Wzięcie na swe barki geopolitycznego dziedzictwa upadającego imperium brytyjskiego oznacza coraz większe budżety wojskowe, reformy armii i dowództwa, powołanie CIA wraz z jej coraz szerszymi kompetencjami.

Autor kreśli panoramę tego przewrotu, czasem niezwykle szczegółowo, choćby opisując skomplikowane koleje zwycięstwa sekty maoistowskiej nad skorumpowanym, ale przez lata wspieranym Czang Kaj-szekiem. Zaremba próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, kto zawinił, w typowym dla siebie splocie czynników. Zdecydowały racje geopolityczne, gdyż – jak twierdzi – „powstrzymanie ekspansji komunizmu w krajach europejskich było w zasięgu możliwości USA, ale uratowanie Czanga prawdopodobnie nie". Chińscy antykomuniści zostali pozostawieni na lodzie także z powodu „dobrych rad", przekazywanych administracji Trumana przez komunistycznych zdrajców z Departamentu Stanu, przedstawiających Mao i Zhou Enlaia jako mniej groźnych „reformatorów agrarnych". Ówczesna Ameryka – uważa Zaremba – nie miała szans na zwycięstwo w konflikcie o Chiny, jednak koszty zwycięstwa Mao bardzo szybko ujawniła wojna koreańska. Gen. Douglas MacArthur, prący do pokonania komunistycznych Chin przy użyciu broni nuklearnej, ostrzegał, że przegrana w Azji będzie oznaczać nieunikniony upadek Europy. Historia, jak wiemy, potoczyła się inaczej, bo polityka – w przeciwieństwie do logiki najszlachetniejszej krucjaty – daje zaskakujące możliwości. Okazuje się, że już w końcu lat 40. rozpatrywano możliwość wzięcia pod opiekę chińskich komunistów, jak uczynił to 20 lat później Richard Nixon.

WZROST GOSPODARCZY I JEGO KONSEKWENCJE

Autor tak jak w poprzednich tomach nie skupia się wyłącznie na zaglądaniu za kulisy politycznych rozgrywek i kreśleniu personalnych charakterystyk, lecz także opisuje gwałtowne przemiany kulturowe. Ameryka wyszła bowiem z wojny z przeoraną świadomością społeczną, oddalając się od swego pierwotnego ideału. Już w 1950 r. obywatele USA, stanowiąc 5 proc. ludności globu, kontrolowali ok. 40 proc. światowego dochodu. Przyspiesza konsumpcja, masowa produkcja dóbr, rozwój medycyny – w tym szczepionek – motoryzacji, show-biznesu, mass mediów, rozrywkowego kina i telewizji. To wtedy na świat przychodzą boomerzy – plon koniunktury gospodarczej.

Autor podkreśla jednak, że konserwatywny zwrot maskował zachodzące równolegle wielkie zmiany obyczajowe, takie jak rozwody, załążki rewolucji seksualnej czy rozluźnienie dyscypliny w wychowaniu dzieci. Także stojący w centrum ówczesnej walki politycznej system partyjny jest „chronicznie rozczłonkowany", przecinając

eprasa.pl ca127791e6

ideologicznie zarówno demokratów, jak i republikanów. Następuje jednak zepchnięcie do defensywy tradycyjnego izolacjonizmu, a triumfuje demokratyczny idealizm. Jednocześnie sformułowana zostaje republikańska krytyka rozrostu rządu federalnego i polityki socjalnej, ale nigdy nie osiąga ona swych politycznych celów. Ta prezydentura to również początek demontażu systemu segregacji rasowej, odsuwającego ludność kolorową, a także środowiska lewicowo-postępowe czy żydowskie od wpływów na życie publiczne.

WALKA Z KOMUNISTYCZNYMI EKSPOZYTURAMI

Epoka Trumana to oczywiście walka z sowiecką i komunistyczną infiltracją, której ponurym symbolem był Henry Wallace, obsadzony w czasie wojny na stanowisku wiceprezydenta. Krucjata Nowego Ładu, by ocalić świat przed zagrożeniem ze strony osi, sprawiła, że demokraci i liberałowie niedostatecznie rozumieli zagrożenie, które w porę pojął Harry Truman, a już na pewno republikański senator Joseph McCarthy. Wtedy też zajaśniała polityczna gwiazda Richarda Nixona, autora projektu ustawy antykomunistycznej z 1948 r. Ogólnie to za sprawą Trumana zbudowano system kontroli lojalności ludzi zatrudnionych w aparacie władzy, który stał się narzędziem ograniczania wpływów lewicy. Jak wskazuje autor, działania te – w realiach demokracji i gwarancji konstytucyjnych – nie były rozumiane, bo czasem krzywdziły ludzi. Na to nakładała się też polityczna rywalizacja, którą podkręcał szef FBI J. Edgar Hoover, twierdząc, że „100 tys. ludzi oddziałuje na cały naród" za pośrednictwem mediów, kościołów, szkół i college'ów oraz użytecznych idiotów rekrutowanych ze środowisk liberalnych i postępowych. Miał jednak rację, gdyż o ile państwo nieposiadające wcześniej wyspecjalizowanej policji politycznej zdołało przedsięwziąć środki wobec szpiegostwa Niemiec czy Japonii, o tyle w czasach Roosevelta było niemal bezbronne wobec działań sowieckiego wywiadu, czego dowiodła sprawa małżeństwa Rosenbergów.

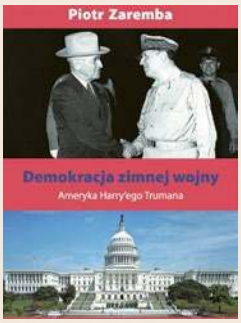
Co ciekawe, jeszcze w 1939 r. ignorowano informacje o szpiegach w administracji i bezpośrednim otoczeniu Roosevelta, takich jak choćby asystent sekretarza skarbu Harry Dexter White czy Alger Hiss. Zaremba nie ulega poprawności politycznej, naświetlając kontekst poczynań zorganizowanej w kongresie Komisji ds. Działalności Antyamerykańskiej, która na tamtejszym gruncie zbudowała obraz komunistycznej infiltracji w polityce, mediach i show-biznesie. Choć przyznaje, że

> „Stany Zjednoczone muszą pozostać silne" – zdecydował Truman. Nową epokę otwierało więc zrzucenie bomb atomowych na japońskie miasta, Nagasaki i Hiroszimę. Były to również czasy zdecydowanej walki z sowiecką i komunistyczną infiltracją. Choć podkreślano konserwatywny zwrot, równocześnie zachodziły wielkie zmiany obyczajowe, takie jak wzrost liczby rozwodów, zalążki rewolucji seksualnej czy rozluźnienie dyscypliny w wychowaniu dzieci

pracowała w logice spektaklu, nie tylko ujawniając komunistyczne jaczejki, lecz także będąc narzędziem wewnątrzpartyjnych porachunków w łonie demokratów. Uświadomiła jednak, że Związek Sowiecki, korzystając z przywileju wolności słowa i pluralizmu, uruchomił agresywne ekspozytury, działające pod płaszczykiem licznych lewicowych organizacji niekomunistycznych czy antyfaszystowskich. Np. lider CPUSA Earl Browder, autor taktyki infiltracji przez krytyczne wspieranie polityki Nowego Ładu, przedstawiał komunizm jako część amerykańskich tradycji politycznych, uczestnicząc zarazem w działalności szpiegowskiej i pomagając w przygotowaniach do egzekucji Trockiego.

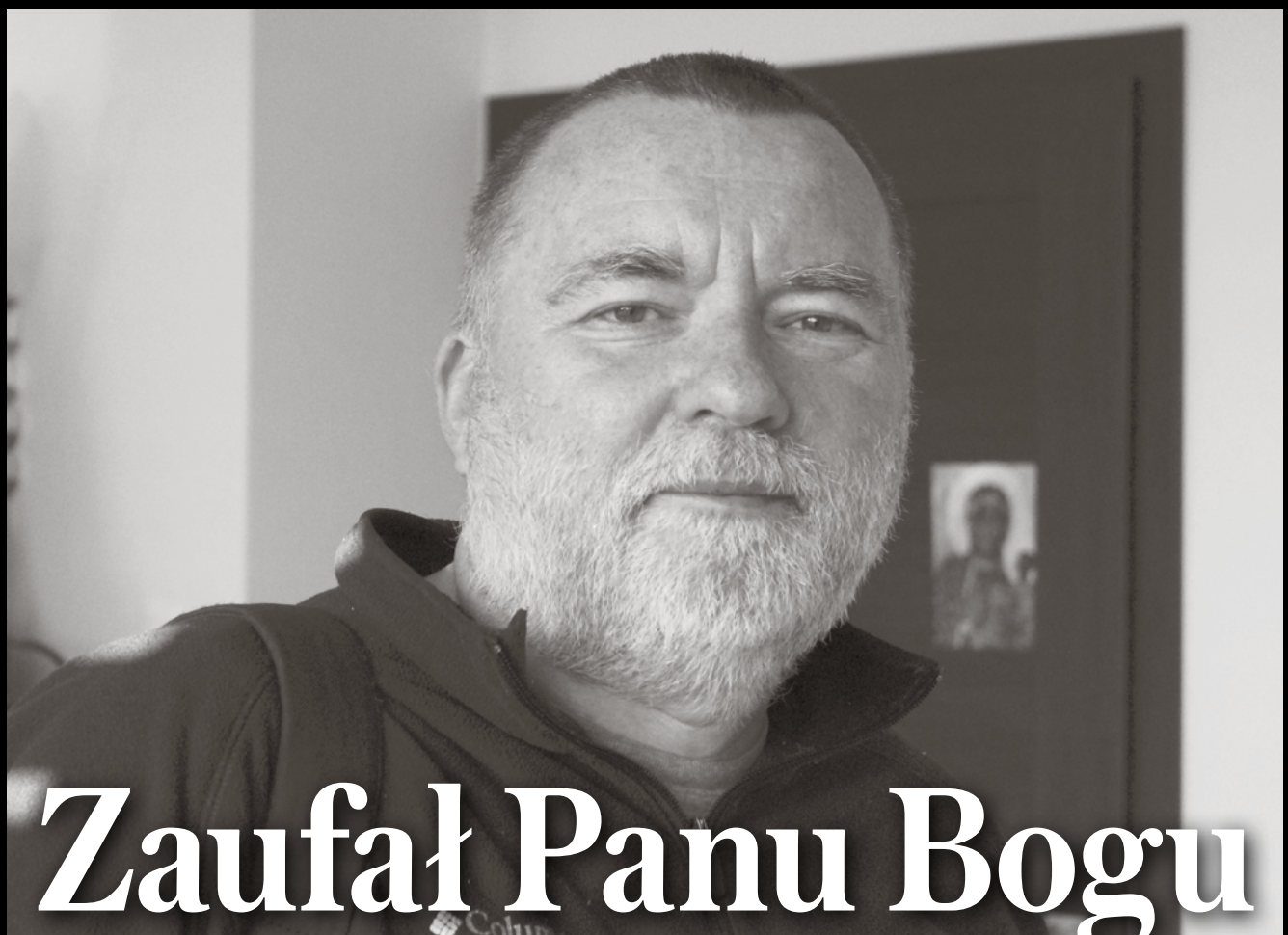
CZERWONE HOLLYWOOD

W tym kontekście niezwykle ciekawy jest też wątek porachunków z Hollywood. Jak pisze Zaremba, komisja zajęła się tym tematem za sprawą związków zawodowych, wskazujących na swych rywali infiltrowanych przez komunistów i choć czasem strzelała na oślep oraz narażała się na śmieszność, zdołała ujawnić komunistyczne sympatie ludzi z „fabryki snów". Kino to narzędzie gigantycznego oddziaływania, a większość studiów filmowych trzymali w swym ręku Żydzi. Do tego napływ z Europy autentycznych wrogów narodowego socjalizmu, ideowych lewicowców, zasilił szeregi scenarzystów, których duża część była ideologicznie przesiąknięta ideami komunistycznymi. Producenci i reżyserzy korzystali z list scenarzystów podsuwanych im przez zdominowaną przez partyjnych i bezpartyjnych komunistów Gildię Autorów Scenariuszy, a ci promowali swoich. I choć trudno było wskazać filmy „komunistyczne", to wiele z tych, które powstały, prezentowało krytyczny obraz amerykańskiej rzeczywistości. Filmów antysowieckich i antykomunistycznych nie kręcił zaś nikt.



Piotr Zaremba, „Dzieje polityczne Stanów Zjednoczonych do roku 1900", t. 6: „Demokracja zimnej wojny. Ameryka Harry'ego Trumana", 2026

eprasa.pl ca127791e6



Zaufał Panu Bogu



PIOTR SŁABEK

Gdy na stole operacyjnym neurochirurg wycinał mu złośliwy nowotwór mózgu, Jaromir Kwiatkowski opowiadał o bohaterach swoich książek, by lekarz miał pewność, że nie uszkadza mu ośrodka mowy. Po ciężkiej chorobie odszedł wybitny dziennikarz, zostawiając nam poruszający testament, w którym pisał o wdzięczności i zaufaniu Bogu

Dla większości diagnoza glejaka jest wyrokiem i końcem świata (jeden z najgorzej rokujących nowotworów). Dla znanego rzeszowskiego redaktora stała się darem wolniejszego czasu i rekolekcjami. Jak zamiast buntu i strachu odnaleźć w śmiertelnej chorobie nadludzki pokój, pogodę ducha i miłość drugiego człowieka – o tym jest ostatnia książka Jaromira.

16 lipca 2026 r. podkarpackie środowisko dziennikarskie pogrążyło się w głębokim smutku. W wieku zaledwie 63 lat, po niezwykle bohaterskiej, dwuipółletniej, wycieńczającej walce z glejakiem mózgu odszedł redaktor Jaromir Kwiatkowski.

Był postacią nietuzinkową – wieloletnim zastępcą redaktora naczelnego Gazety Codziennej „Nowiny". Na jej łamach opisywał najważniejsze wydarzenia z życia regionu, komentował sprawy społeczne i polityczne, a także sportowe. Należał do grona najbardziej rozpoznawalnych rzeszowskich dziennikarzy. Był również wieloletnim zastępcą redaktora naczelnego „Posłańca Matki Bożej Saletyńskiej". Jego teksty ukazywały się też m.in. w takich pismach jak „Solidarność", tygodnik „Sieci" i „San" oraz w tygodnikach katolickich, m.in. „Niedzieli".

Zaczynał od prozy, pisał też wiersze, był w sumie autorem 38 książek reportażowych i biograficznych, a przede wszystkim człowiekiem o niezłomnej wierze, głęboko zakorzenionym w wartościach chrześcijańskich i ruchu Domowy Kościół.

Fot. Fratria

SKROMNA KSIĄŻECZKA

Choć odszedł, zostawił po sobie coś niezwykle cennego – książkę „Glejak. Zaufać Panu Bogu", która ukazała się w 2025 r. nakładem Wydawnictwa Sumus.

Skromna książeczka jest bardzo szczera. Nie jest realizacją wzniosłych aspiracji, nie rości sobie prawa do czegoś niezwykłego, niczego nie udaje. Mimo że pisana w cieniu diagnozy – wyroku, choć autor każdego dnia zmagał się z wieloma dolegliwościami i ograniczeniami, publikacja nie jest rzewnym pamiętnikiem odchodzącego człowieka.

Z każdej strony przebija pogoda ducha i optymizm – ale nie ten płytki, powierzchowny, lecz głęboki, bazujący na zaufaniu Bogu. To słowa człowieka stojącego na pograniczu życia i śmierci, to poruszający duchowy testament, rzucający światło na sens ludzkiego cierpienia.

„Nie znam, Panie, Twoich planów. Nie wiem, co jest mi przeznaczone. Ale ufam Ci z całego serca, które bije dzięki Tobie i dla Ciebie. Bądź wola Twoja!".

Z każdej strony przebija pogoda ducha i optymizm – ale nie ten płytki, powierzchowny, lecz głęboki, bazujący na zaufaniu Bogu. To słowa człowieka stojącego na pograniczu życia i śmierci, poruszający duchowy testament, rzucający światło na sens ludzkiego cierpienia

NA ŻYWYM ORGANIZMIE

Aby zrozumieć, kim był Jaromir Kwiatkowski, trzeba przenieść się do sali operacyjnej Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM przy ul. Banacha w Warszawie. Jest piątek, 10 listopada 2023 r. Na stole operacyjnym leży człowiek z otwartą czaszką. Trwa kraniotomia wybudzeniowa – skomplikowana procedura neurochirurgiczna, podczas której pacjent musi pozostać świadomy, by lekarze mogli kontrolować kluczowe funkcje jego mózgu.

Większość ludzi w takiej sytuacji paraliżuje strach. Wielu mdleje z przerażenia, inni wpadają w panikę. A co robi rzeszowski dziennikarz? To, co kochał przez całe swoje zawodowe życie. Zaczyna opowiadać. Sam wspominał ten moment z właściwym sobie, reporterskim dystansem:

„Sytuacja rozgrywa się na dwóch planach. Pierwszy: przede mną, jestem człowiekiem, który lubi duże wyzwania. Tym razem muszę przemawiać w czasie operacji, żeby lekarz miał pewność, że nie uszkadza ośrodka mowy w mózgu. Odpalam się i zaczynam opowieść towarzyszącym mi neuropsychologom o bohaterach moich książek: błogosławionym ks. Józefie Kowalskim z Siedlisk, męczenniku salezjaninie w Auschwitz, Genowefie Nowak, znakomitej rzeźbiarce pochodzącej z Terliczki nieopodal Rzeszowa, a zarazem nauczycielce w liceum plastycznym w Nowym Wiśniczu (zmarłej w 1981 r.), jak również o 63-letniej dziś Izie Zatorskiej-Pleskacz, legendzie polskiego biegania górskiego".

Pod skalpelem chirurga rodzi się opowieść o ludziach Podkarpacia – o niezłomnym księdzu, o lokalnej rzeźbiarce, o legendarnej górskiej biegaczce. Kwiatkowski nie mówi o sobie, nie użala się nad własnym losem.

Pasja, z jaką Jaromir opowiadał na stole operacyjnym, była tak magnetyczna, że zburzyła sztywne medyczne procedury. Zamiast mechanicznego odpytywania pacjenta z tabliczki mnożenia czy powtarzania prostych słów, lekarze po prostu dali się porwać tej historii. Wybitny publicysta wciągnął personel medyczny do własnego reporterskiego świata.

„Neuropsycholożki są zachwycone tym, że tak bardzo się zaangażowałem. Cieszą się, że nie muszą zadawać pytań na język ani zadawać dodatkowych pytań z przygotowanego katalogu. Poddają się do tak skomplikowanej historii zainteresowani opowieścią. Żywo opowiadałem, nie zwracam uwagi i dobrze, na drugi plan, gdzie za kurtyną pracuje nad moją głową dr hab. med. Tomasz Dziedzic, neurochirurg. Po zabiegu, zmęczony, zasypiam. Kiedy myślę o tej scenie po upływie czasu, czasami robi mi się zimno, ale taka jest współczesna medycyna".

SPOKÓJ W GODZINIE PRÓBY

Ten głęboki, wewnętrzny pokój nie narodził się jednak nagle na warszawskiej sali operacyjnej. Towarzyszył Jaromirowi od pierwszego uderzenia choroby. Gdy w swojej książce autor wraca pamięcią do momentu, w którym nowotwór po raz pierwszy zamanifestował swoją niszczycielską obecność, uderza całkowity brak paniki. Dla dziennikarza, którego całym życiem i narzędziem pracy było słowo, nagła utrata kontroli nad mową i pismem powinna być momentem absolutnego przerażenia. U Kwiatkowskiego było zupełnie inaczej. Opisuje te dramatyczne chwile z dystansem obserwatora, a jednocześnie głęboko zawierzając Bogu, pośród najbliższych mu ludzi z Domowego Kościoła.

„Po Mszy pogaduchy z przyjaciółmi z Domowego Kościoła. Czuję, że jakoś trudniej niż zwykle zebrać mi myśli. Po krótkiej przerwie idziemy na konferencję ks. Tomka, a później szej pary diecezjalnej Halinki i Zbyszka Grochalów. Próbuję coś z tego zanotować, ale litery nie »wchodzą« mi na koniec długopisu. Renia, myśląc, że jestem odwodniony, podaje mi butelkę wody do wypicia. Nie ma rady, wychodzimy. Przy drzwiach wejściowych do Instytutu czuję, że zaczyna mi wstrzymywać mowę. Później lekarze pytają mnie, czy »zatrzymywało mi« słowa, które rzeczywiście chciałem powiedzieć, czy raczej mówiłem coś bez sensu... Nie, nie mówiłem nic bez sensu, a jedynie czułem, że słowa zatrzymują mi się w połowie. Nie miałem też utraty świadomości".

W tym opisie nie ma ani jednego słowa buntu. Gdy litery „nie wchodzą na koniec długopisu", gdy słowa „zatrzymują się w połowie", Jaromir nie pyta dramatycznie: „Dlaczego ja, Panie?".

Wie, że jego życie bez względu na okoliczności znajduje się w najlepszych możliwych rękach. Ten brak lęku w obli-

eprasa.pl ca127791e6

czu pierwszych symptomów śmiertelnej choroby to klucz do zrozumienia całej jego późniejszej postawy. To nie była rezygnacja czy apatia, lecz dojrzały, wypracowany latami formacji duchowy pokój.

LEKARZ Z LUDZKĄ TWARZĄ

Ta specyficzna dla niego pogoda ducha sprawiała, że wokół jego szpitalnego łóżka znikał chłód instytucji, a pojawiała się autentyczna bliskość. Jaromir Kwiatkowski, posiadający unikalny dar zjednywania sobie ludzi i patrzenia na nich przez pryzmat ukrytego w nich dobra, potrafił dostrzec w wybitnym neurochirurgu nie tylko precyzyjnego rzemieślnika, lecz przede wszystkim przyjaciela. Z kart książki bije wręcz uderzająca fala ciepła, gdy autor opisuje swoje relacje z personelem medycznym.

„Doktora Dziedzica nazywamy Tomkiem lub docentem Tomkiem. Ma kapitalne podejście do pacjenta. Kiedy widzimy się pierwszy raz i staje się jasne, że to on będzie mnie operował, od razu proponuje, żebyśmy przeszli na »ty«. Taka zażyłość lekarza z pacjentem powoduje, że obaj stają się sobie bliscy, a ten drugi nie boi się aż tak bardzo. Renia pyta, czy doktor może przejść na »ty« także z żoną pacjenta. Tomek ze uśmiechem mówi, że tak. I tak się dzieje".

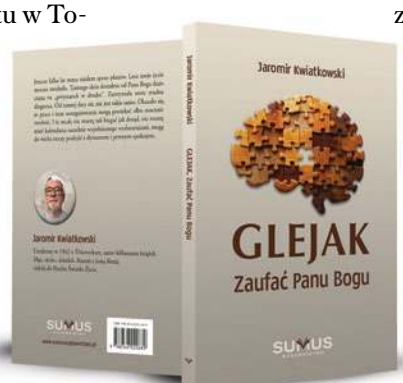
Ta więź pozostała po opuszczeniu sali operacyjnej. Trwała miesiącami, stając się dla rodziny Kwiatkowskich bezcennym punktem oparcia w momentach niepewności i nawrotów choroby.

„Do dziś jeździmy do Tomka na kontrole. Czasami, kiedy potrzebna jest fachowa porada, Renia pisze do niego. Obojętnie o której. Jeśli akurat w danej chwili nie może odebrać informacji, odpisuje albo oddzwania później. Krótka konsultacja, »cześć«".

Zamiast roszczeniowości czy pretensji do świata o niesprawiedliwy los, autor na każdym kroku celebruje obecność dobrych ludzi. Podkreśla ich dyspozycyjność, zaangażowanie i bezinteresowność. Pisząc o swojej chorobie, *de facto* pisze wielki hymn pochwalny na cześć ludzkiej solidarności.

W reporterskim oku Kwiatkowskiego nigdy nie było miejsca na powierzchowność. W książce zamieszcza precyzyjną notę biograficzną lekarza.

„Doktor Tomek śmieje się, że stara się nie szkodzić pacjentowi. Darzymy go ogromnym podziwem i szacunkiem. Wiedzę i doświadczenie zdobywał w Klinice Neurochirurgii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, w której ukończył specjalizację i uzyskał tytuł specjalisty neurochirurga. A także na University of Pittsburgh School of Medicine oraz Weill Cornell University / New York Presbyterian Hospital w Stanach Zjednoczonych. Odbył dwa staże w Klinice Neurochirurgii Uniwersytetu w Toronto Western Hospital oraz w St. Michael's Hospital. Jeden z tych staży dotyczył operacji w wybudzeniu w przypadku guzów mózgu położonych w okolicach elokwentnych, a więc takich jak mój w czasie pierwszej operacji. Doktor habilitowany nauk medycznych. Adiunkt i wykładowca w Klinice Neurochirurgii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego".



ŚWIĘTY „PRZYSTANEK W DRODZE"

Dla człowieka tak aktywnego jak Jaromir Kwiatkowski diagnoza glejaka mogła być końcem wszystkiego. On jednak potrafił spojrzeć na raka z zupełnie innej perspektywy.

„Od tamtej pory nic nie jest takie samo. Okazało się, że praca i inne zaangażowania mogą poczekać albo znacznie zwolnić. I że wcale nie muszę tak biegać jak dotąd, nie muszę mieć kalendarza, szczelnie wypełnionego wydarzeniami (także religijnymi), mogę do wielu rzeczy podejść z dystansem i pewnym pokojem. Zaczął się dla mnie okres »spowolnienia«. To dobry czas, bo Pan Bóg pokazuje mi w nim to, co jest najważniejsze. Daje czas na refleksję".

W tych słowach kryje się wielka mądrość dojrzałego człowieka. W tym trudnym doświadczeniu nie był sam – otaczała go tarcza utkana z miłości najbliższych i modlitwy setek ludzi, których poruszyło jego świadectwo.

„Panie Boże, dziękuję Ci za okres od jesieni 2023 r. do dziś, za wszystkie doświadczenia, które przybliżają mnie – mam nadzieję – do Ciebie. Za Pana Jezusa. A także za Maryję i świętych, którzy wstawiają się za mną. Za moją kochaną Renię, za wspaniałą Rodzinę. Za cudownych Przyjaciół i wszystkich innych, którzy modlili się i modlą się w mojej intencji".

POMNIK ZE SŁÓW

Jaromir Kwiatkowski dzielnie walczył z nowotworem 2,5 roku, pracując i dając świadectwo niemal do samego końca. Diagnoza postawiona jesienią 2023 r., okupiona dwiema skomplikowanymi operacjami, chemioterapią i bolesnymi nawrotami, nie złamała jego wewnętrznego kręgosłupa.

Pani Renata wspomina swego męża: „Jaromir to dla mnie wspaniały człowiek, mąż, tatuś, dziadziuś. Pogodny, życzliwy, radosny. Jeśli do czegoś był przekonany, nie było ludzkiej siły, by ktoś zmienił mu poglądy. Zawsze był prostolinijny, szedł pod prąd. Jego dewizą było hasło: Bóg, Honor, Ojczyzna".

Książka „Glejak. Zaufać Panu Bogu" stała się jego najgłośniejszym, bo popartym własnym cierpieniem, artykułem publicystycznym. Odszedł człowiek spełniony, który swój życiowy „przystanek w drodze" zamienił w piękną lekcję dla nas wszystkich – lekcję o tym, że kalendarze mogą zwolnić, praca może poczekać, a najważniejsze jest to, co niewidoczne dla oczu: miłość rodziny, solidarność przyjaciół i bezgraniczne zawierzenie Bogu.

Odszedł reportażysta, który napisał swój najważniejszy tekst o tym, jak z podniesioną głową i spokojem w sercu przejść przez najtrudniejszą z ludzkich prób.

„Wdzięczność, pogoda ducha, zaufanie" – te trzy słowa, rzucone gdzieś na marginesie szpitalnych zapisków, stały się orężem w walce z najgorszym nowotworem. Choć ziemskie pióro wybitnego rzeszowskiego biografa zamilkło, jego opowieść o bezwarunkowym zawierzeniu Opatrzności zostaje z nami na zawsze.

eprasa.pl ca127791e6



Świat wpadł w czerwoną furię

Niektóre mecze przypominały hollywoodzkie blockbustery, zapewniając emocje jak na rollercoasterze. Innym bliżej było do wrestlingu w stylu lucha libre – piłkarzy ponosiła wtedy dzika fantazja, którą tak kochają barwni niczym maski luchadorów kibice. Na końcu sukces odnieśli ci, którzy byli cierpliwi niczym Kanadyjczyk pozyskujący syrop z drzewa klonowego i przestrzegali taktycznego reżimu



MICHAŁ MUZYCZUK

Mistrzostwa świata 2026 w pełni oddały ducha ziemi, na której były organizowane – i nie chodzi o tysiące amerykańskich hot-dogów, meksykańskich tacos i kanadyjskich frytek poutine skonsumowanych przez kibiców, którzy aby pójść na mecz, często musieli wydać równowartość kilkumiesięcznych pensji. Znając jankeskie podejście do sportu i chciwość możnych futbolowego świata, można było w ciemno zakładać, że mundial będzie imprezą skrajnie skomercjalizowaną.

AMERYKAŃSKA ROZRYWKA

Choć w USA soccer zyskuje popularność, a Kanadyjczycy wreszcie zaczynają uprawiać sporty, w których nie jest potrzebny kij, to mundialową gorączkę czuło się przede wszystkim wokół aren w Meksyku. Tam miłość do piłki nożnej jest odwieczna, niezmienna i żarliwa. Podobnie jak miłość do dolara w Stanach Zjednoczonych, której symbolem zostały hydration breaks, dzielące mecz

Fot. PAP/PA

eprasa.pl ca127791e6

de facto na cztery kwarty i tym samym pozwalające telewizyjnym nadawcom na emisję kilku reklam więcej.

Apogeum amerykańskiego zamiłowania do rozrywki balansującej na granicy kiczu była natomiast 27-minutowa, najdłuższa w historii przerwa w finale rozgrywek, podczas której na murawie odbyło się widowisko na modłę występów znanych z Super Bowl. Ronaldinho i Ronaldo kierowali autem Madonny, Justin Bieber grał na gitarze, Shakira wywijała biodrami, a Donald Trump przyjmował wyrazy podziwu od Gianniego Infantino. Prezes FIFA przez cały czas trwania mistrzostw musiał lawirować pomiędzy prezydentem USA a pozostającymi z nim w sporze przywódcami Meksyku i Kanady. Stosunki panujące wśród współgospodarzy są najgorsze od lat, bo przywódca wolnego świata lubi na sąsiadów patrzeć z góry, a niekiedy zagrozić drobną interwencją zbrojną lub niewinną inkorporacją do Stanów Zjednoczonych. Ale szef światowej piłki wie, jak robić dobrą minę do złej gry, bo granice dobrego smaku przekroczył już wcześniej, kiedy uhonorował prezydenta USA wymyśloną naprędce Pokojową Nagrodą FIFA.

Podczas mistrzostw kontynuował swoje dzieło i na prośbę Trumpa anulował czerwoną kartkę dla Folarina Baloguna, kluczowego zawodnika amerykańskiej kadry, i ten mógł zagrać w jednej szesnastej finału z Belgią. Trump potrafi pokazać, kto tu rządzi – wcześniej nie wpuścił do kraju arbitra wyznaczonego przez FIFA, bo ten jest Somalijczykiem, i rzekomo utrudniał przyznanie wiz członkom sztabu trenerskiego reprezentacji Iranu. Po finale nie uległ dobrym obyczajom i stał się nieproszonym bohaterem pierwszego planu podczas wznoszenia przez Hiszpanów Pucharu Świata. Na szczęście to jedynie didaskalia wobec tego, co tak naprawdę się liczy: futbolu.

EUROPEJSKA ROZGRYWKA

Mundial nie wywrócił piłkarskiej mapy do góry nogami, bo wszyscy czterej półfinaliści znajdowali się w piątce reprezentacji, które według bukmacherów miały przed rozpoczęciem turnieju największe szanse na ostateczny triumf. Plotki o słabości Europejczyków i wielkiej formie zespołów z Afryki i Azji, rozsiewane po fazie grupowej i jednej trzydziestej drugiej finału, były mocno przesadzone. Kolejne rundy przyniosły powrót ancient régime'u, bo wśród ośmiu ćwierćfinalistów aż szóstka pochodziła ze Starego Kontynentu.

Jeśli szukać ogólnej futbolowej refleksji z rozgrywek, będzie nią pochwała zespołowej gry bazującej na dyscyplinie taktycznej. Drużyna z krwi i kości, która konsekwentnie realizuje plan na mecz, daje dziś więcej szans na sukces niż nawet najbardziej błyskotliwe gwiazdy, które nie grają dla siebie nawzajem. Mit indywidualnych błysków został zweryfikowany – zwyciężył taktyczny pragmatyzm, który nie zawodzi nawet w przypadku słabszego dnia największych postaci zespołu. Najlepszym dowodem jest nowy mistrz świata.

CZERWONA FURIA OKIEŁZNANA

Przed turniejem wyobrażano sobie szalone dryblingi Lamine'a Yamala i efektowne podania Pedriego, ale tych było jak na lekarstwo. Ich słabsza postawa nie była dla Hiszpanii przeszkodą, bo system pokazał wyższość nad magią jednostek. Selekcjoner Luis de la Fuente stworzył maszynę, która nie potrzebuje genialnego dnia młodych wirtuozów piłki, żeby rozjechać każdego rywala. Nieokiełznaną czerwoną furię zastąpiła zimna kalkulacja. Kiedy Pedriemu i Yamalowi brakowało prądu, do gry w iście profesorskim stylu wkraczał Rodri. Brał piłkę, dyktował tempo i w bezwzględny sposób był wstanie okiełznać zaczątki chaosu pojawiające się w zespole. Kreatywny Olmo, bramkostrzelny Oyarzabal, decydujący Merino, pożyteczny Baena czy słusznie krytykowany wcześniej Ferran Torres, który w 106 minucie finałowej dogrywki dał Hiszpanii tytuł – każdy z nich ma w zespole swoją rolę. Ale tak naprawdę to defensywa zadecydowała o mistrzostwie – La Furia Roja straciła zaledwie jedną bramkę w ośmiu meczach. Pau Cubarsí, dzielnie wspierany przez Aymerica Laporte'a, czytał grę rywali jak elementarz, a najdrożsi napastnicy świata po starciach z 19-latkiem mieli ochotę zmienić zawód. Trudno nie wspomnieć o królach bocznych sektorów – lewa strona była domeną Marca Cucurelli, na prawej rządził niedoceniany wcześniej Pedro Porro. Podkreślmy jeszcze raz: wszystkie te klocki spajał niemożliwy Rodri, być może najlepszy defensywny pomocnik w historii, uhonorowany nagrodą dla najlepszego piłkarza turnieju.

Zespół De la Fuente nie wygrał radosną grą, lecz żelazną konsekwencją, chłodną głową i taktycznym wyrafinowaniem. To prztyczek w nos dla twierdzących, że bez fajerwerków w ataku nie da się zgarnąć Pucharu Świata. Najstarszy selekcjoner w historii, który go wzniósł, od 2013 r. trenował kolejno reprezentacje U-19, U-21 i U-23, aż wreszcie przed czterema laty objął stery seniorskiej kadry. Pod jego wodzą Hiszpania zwyciężyła w mistrzostwach Europy, zresztą skład z 2024 r. był bardzo podobny do drużyny sięgającej chwilę temu po Puchar Świata. Dobór zbalansowanej jak nigdy kadry i trafione za każdym razem zmiany w składzie nie są dziełem przypadku, bo De la Fuente zna każdego z piłkarzy jak własne dziecko. To najlepsza reklama pracy u podstaw i opłacalności długoletnich inwestycji w człowieka z wizją. Ale gdy Hiszpania ze spokojem realizowała swój plan, wokół nie wszystko poddawało się logice.

SPEŁNIONE NADZIEJE

Broniący tytułu Argentyńczycy, grający niemal identycznym jak w Katarze (więc starszym) składem, momentami byli fatalni, a jednak zameldowali się w finale. W każdym meczu fazy pucharowej pokazywali siłę mentalną, potrafiącą przenosić góry i wygrywać przegrane spotkania. Jak gdyby nad Messim i spółką czuwała wyższa siła, która ujawniała się w najważniejszych momentach. Na Hiszpanów to już nie wystarczyło, ale zaprezentowany przez Albiceleste w finale antyfutbol był zwyczajnie niegodny Pucharu Świata.

Na drugim biegunie mieliśmy Republikę Zielonego Przylądka. Połowa kibiców przed turniejem szukała tego kraju na mapie, druga połowa w tym

eprasa.pl ca127791e6

samym czasie kręciła globusem i lokalizowała Curaçao. Kabowerdańczycy wjechali na imprezę bez żadnych kompleksów, zagrali z niesamowitym luzem i prawie zmietli z planszy wystraszonych Argentyńczyków. I mimo że niemal każdy z outsiderów, których nie brakowało wśród 48 reprezentacji, miał swój moment, to wierzymy, że plotka o 64 uczestnikach kolejnego mundialu jest zwykłą matematyczną omyłką.

Szukając klasycznego czarnego konia, trafiamy na Norwegię. Elring Haaland biegał po boisku jak wściekły i targał siatki rywali, przypominając nowoczesnego wikinga. Norwegowie wjeżdżali w rywali z kopyta, serwując twardy, fizyczny futbol, a ton grze nadawał Martin Ødegaard. Wielkie brawa należą się też Meksykowi. Choć w składzie nie mieli gości z pierwszych stron gazet, zagrali najbardziej bezczelną, odważną i kreatywną piłkę na całym turnieju. Nie kalkulując, udowodnili, że bez gwiazd również można dać kibicom czystą frajdę z oglądania meczu. Co nie zmienia faktu, że odpadli w jednej szesnastej finału, podobnie jak współgospodarze turnieju z USA i Kanady.

Zarówno Norwegowie, jak i Meksykanie odpadli po starciach z Anglikami – ich trzecie miejsce również należy uważać za bardzo dobry wynik. W półfinale przegrali ze wspomnianymi nadprzyrodzonymi siłami posłusznymi Argentynie, ale w meczu o trzecie miejsce wspólnie z Francuzami zafundowali kibicom widowisko na 10 bramek, najlepszy do oglądania mecz tych mistrzostw. Harry Kane i Jude Bellingham to dwie twarze angielskiego medalu.

PATCHWORKOWE POTWORKI

Oczywiście nie wszystkim poszło dobrze, a lista rozczarowań jest długa jak mur na granicy USA i Meksyku. Niemcy przyjechali napakowani młodymi talentami, a grali futbol nudny i pozbawiony pomysłu, przez co powiedzenie Gary'ego Linekera brzmiało jak nieśmieszny żart. Brazylia? Od ich złotych czasów na przełomie wieków minęła cała epoka, a Canarinhos wciąż wypatrują cudu. Tymczasem zagrali przeciętnie i zachowawczo, a jedna ósma finału to najgorszy wynik Brazylii od 1990 r. Gigantyczną klapą okazał się też Urugwaj. Zamiast walki do ostatniej kropli krwi zobaczyliśmy drużynę rozbitą od środka, otoczoną gęstą atmosferą ciągłych pyskówek. Francja, mająca w składzie chyba największe bogactwo gwiazd w historii, utknęła w półfinale. Hiszpanie obnażyli bezzębność Mbappe, Olise i spółki w momencie, gdy rywal potrafi się ustawić i ma przewagę fizyczną w środku pola. Przy takim składzie brak finału to po prostu porażka. Pocieszeniem jest wyczyn Michaela Olise'a, który z liczbą siedmiu asyst w turnieju pobił rekord samego Pelégo.

Prawdziwym rozczarowaniem okazała się Portugalia. Zespół z takimi tuzami środka pola jak Vitinha, João Neves czy Bruno Fernandes nie potrafił nic wykreować, a jedyny plan brzmiał: „laga na Ronaldo". Okazało się, że najlepsi pomocnicy na świecie nie mieli innych pomysłów i przeszkadzali sobie nawzajem.

OSTATNI TANIEC

Amerykański turniej był emocjonalnym pożegnaniem z całą plejadą piłkarzy, na których wychowało się pokolenie kibiców. Kevin De Bruyne, Neymar, Casemiro czy 40-letni (i wciąż świetny) Luka Modrić – oglądanie ich po raz ostatni na wielkiej imprezie wywoływało ukłucie w sercu, ale biologia jest bezwzględna. Musimy zdać sobie sprawę, że nadszedł czas bezlitosnej zmiany warty i drastycznego przewietrzenia szatni w światowym futbolu. Przede wszystkim był to ostatni taniec dwóch największych kosmitów naszych czasów: 41-letniego Cristiano Ronaldo i 39-letniego Lionela Messiego. Przez niemal dwie dekady mieliśmy poczucie obcowania z istotami niemal boskimi. Obserwowanie ich gry było przywilejem, za którym z pewnością nie raz zatęsknimy. Messi, Ronaldo i Modrić zgarnęli w tym czasie 14 Złotych Piłek na 17 możliwych. Żaden z nich nie narobił obciachu, a Leo zagrał wręcz brawurowo, niemal w pojedynkę wprowadzając Argentynę do finału i rozgrywając turniej życia. Strzelił 8 bramek i pobił rekord Miroslava Klosego, zatrzymując się na 21 trafieniach w 6 turniejach. Argentyńczyka szybko przegonił 27-letni Mbappe, który na razie zaliczył 22 mundialowe trafienia w karierze. Francuz z dorobkiem 10 goli po raz drugi z rzędu sięgnął po koronę króla strzelców mundialu.

DAWKA ABSURDU

Mundial to także porządna porcja absurdów i zdarzeń cyrkowych. Największym hitem stał się gol strzelony po tym, jak piłka walnęła w kabel od kamery wiszącej nad murawą i całkowicie zmieniła tor lotu. Supernowoczesne czujniki w piłce – te same, które w meczu Chorwacji potrafiły wykryć muśnięcie piłki włosami obrońcy i tym samym przesądzić o odpadnięciu z Portugalią – przy uderzeniu w gruby kabel uznały, że nic się nie stało.

Sędziowie też mieli swoje ciężkie chwile. Paragwaj w meczu z Francją zaprezentował futbol toporny i zwyczajnie chamski, ale arbiter kompletnie stracił panowanie nad tym, co dzieje się na boisku, więc postanowił nie reagować na nic. Na skandal zakrawa fakt, że podobną postawę zaprezentował sędziujący finał Slavko Vincić, który pozwalał Argentynie na całą gamę fauli i prowokacji niemieszczących się w definicji fair play. Z kolei we wcześniejszym meczu z Egiptem, najbardziej dramatycznym spotkaniu całego mundialu, wiele osób dopatrzyło się ordynarnego przekręcenia Salaha i jego kolegów.

* * *

Futbol to więcej niż narzędzie w rękach polityków, biznesmenów i influencerów. Bo najważniejsze są emocje kibiców – wiosłujących w jednym rytmie Norwegów, gorącokrwistych Meksykanów, pięknie rozpaczających Brazylijczyków. Mundial to niezapomniane chwile – cudowne trafienia reprezentantów Haiti i Uzbekistanu, hat trick Messiego i golkiperska robinsonada Vozinhi, odwracanie losów spotkań przez Argentyńczyków i Anglików, origami – minimalistyczne stroje Japończyków i nieoczywiste trykoty Belgów. Futbol to triumfująca Hiszpania, zaskoczona własną niemocą Francja i łzy dwóch najwspanialszych piłkarzy naszych czasów.

eprasa.pl ca127791e6



Od Parkera do Astaire'a

Dekadę temu Tom Holland wpadł w pajęczą sieć i do dziś świetnie sobie w niej radzi. Dla kinomanów jest głównie Spider-Manem. U Nolana – Telemachem. Za chwilę – ekranowym Fredem Astaire'em. A poza tym od niedawna mężem Zendai

Fot. Jay Maidment/UIP

eprasa.pl ca127791e6



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Odyseja”

Jest Brytyjczykiem, co pewnie ma znaczenie przy okazji jego najnowszych relacji z Christopherem Nolanem i, co ciekawe, także Erlingiem Haalandem. W megaprodukcji, za którą stoi urodzony w Anglii reżyser, zagrał syna Odysa. W postać bogini Ateny wcieliła się Zendaya, megagwiazda hollywoodzkiego show-biznesu i od niedawna żona Hollanda, a wcześniej jego filmowa dziewczyna (w kolejnych częściach „Spider-Mana”).

LEKCJA HUMORU

Aktor od dawna wydaje się mieć zdrowy dystans – zarówno do medialnego statusu Zendai, ich wspólnego wizerunku oraz własnej pozycji zawodowej. Mimo wszystko chyba zaskoczyła go reakcja (czy raczej jej brak) znanego norweskiego piłkarza. Ekranowy Spider-Man zapewne liczył na to, że zostanie potraktowany w specjalny sposób. Tymczasem elektroniczna wiadomość, jaką wysłał do Erlinga Haalanda po czerwcowym weekendzie Formuły 1 w Monako (gdzie zauważył go na trybunach) pozostała bez echa. Hollywoodzki gwiazdor obrócił sytuację w żart: „To dokładnie taki rodzaj lekcji pokory, jakiej aktorzy bardzo potrzebują. Myślisz sobie: »Napiszę do niego, zabiorę go na kolację«. I żadnej odpowiedzi” – mówił w wywiadzie telewizyjnym. Dodawał, że po wyeliminowaniu Norwegii przez Anglię w ćwierćfinale piłkarskich mistrzostw świata uznał, że szanse na wspólny posiłek definitywnie przepadły.

Gdy ten komentarz trafił do mediów społecznościowych, Haaland zareagował. W sieci napisał: „Zaproszenie na kolację przyjęte. Trochę późno... Ty wybierasz miejsce!”. A w telewizyjnym wywiadzie wyjaśnił: „Byliśmy w Monako na Formule 1 i dostałem wiadomość. Szczerze mówiąc, prawie nie oglądam filmów, więc nie mam pojęcia, kim są różni ludzie. Ktoś zapytał, czy wyjdziemy na kolację, ale nigdy wcześniej go nie widziałem, więc nie odpowiedziałem. Nie chciałem odpisywać nieznajomej osobie”.

„Nieznajoma osoba” – to musi być ciekawe określenie dla gwiazdora. Mimo wszystko – sądząc po medialnych opiniach – aktorowi i jego obecnej żonie, odkąd się znają, udaje się zachowywać dystans do hollywoodzkiego świata. I do siebie. Ich tarczą jest poczucie humoru. Żartują też z różnicy wzrostu (Zendaya mierzy pięć centymetrów więcej).

NOGI ROBIĄ RÓŻNICĘ

Ponoć kiedy Tom Cruise był mężem Nicole Kidman, zakładał na gale buty na podwyższonych obcasach, żeby nie było widać, iż jest od niej dziewięć centymetrów niższy. Tom Holland zapewniał w jednym z wywiadów, że tylko raz odczuł dysonans wysokości – w czasie kręcenia sceny skoku Człowieka Pająka z mostu. „To ja byłem w tym filmie superbohaterem i to ja miałem wyglądać na ekranie cool, tymczasem Zendaya wylądowała pierwsza. Ma dłuższe nogi niż ja, więc kiedy jej stopy stały już na ziemi, moje nadal wisiały w powietrzu” – opowiadał.

Bycie niższym nie przeszkodziło mu w stworzeniu udanego związku. Poznali się na planie filmu „Spider-Man: Homecoming” i od czasu premiery w 2017 r. ich fani marzyli, by Peter Parker stworzył parę z ekranową Michelle Jones-Watson także w realu. Zaręczyny odbyły się na przełomie 2024 i 2025 r., a w 2026 r. Tom i Zendaya potwierdzili, że są małżeństwem.

KROCIOWY SUPERDUET

Oboje urodzili się w 1996 r. – on 1 czerwca w Londynie, ona 1 września w Oakland. Już po pierwszym wspólnym filmie młody aktor deklarował: „Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jest wspaniała. Cieszę się, że ją poznałem. Zendaya zdobyła sławę jako dziecko, ja dopiero wkraczam do show-biznesu. Gdy czuję się niepewnie, dzwonię do niej z pytaniem, jak poradzić sobie z popularnością”.

Superprodukcja Marvela zarobiła prawie 900 mln dol. Holland stał się gwiazdą, ale nierozerwalnie związaną z rolą Petera Parkera. Mimo że angażuje się również w inne, często ambitne i niezależne produkcje.

Poza rozwijaniem własnych karier Tom i Zendaya od dekady tworzą przynoszący krociowe zyski medialny duet. Potrafią znakomicie wykorzystać globalną popularność, również do pomnażania imponujących majątków, o których rozpisują się media.

W 2026 r. możemy ich oglądać w „Odysei” Christophera Nolana i „Spider-Manie: Całkiem nowy dzień”.

BYĆ JAK ASTAIRE

Równocześnie z intensywną promocją obu filmów już indywidualnie Tom Holland zaczął przygotowania do spektakularnej roli. Zagra legendarnego tancerza Freda Astaire'a. I ma do tego znakomite – nie tylko fizyczne – podstawy. Od małego szkolił się w sztuce tańca. Debiutował na deskach londyńskiego West Endu w drugoplanowej roli w przedstawieniu „Billy Elliot: The Musical” w czerwcu 2008 r. Niecałe trzy miesiące później to jemu powierzono rolę tytułową.

W jednym z niedawnych wywiadów mówił: „Pierwsze treningi napełniły mnie zarówno ekscytacją, jak i absolutnym strachem, bo wiem, ile pracy przede mną, żeby oddać Fredowi należny szacunek”.

Podkreślał, że zależy mu na jak największej autentyczności. Chciałby sam wykonać wszystkie układy taneczne, bez pomocy dublerów, a sceny realizować w długich ujęciach. Podobnie jak robił to Astaire.

Fot. Melinda Sue Gordon/Universal Pictures

eprasa.pl ca127791e6



Maciej ***Walaszczyk***

Purpura głęboko zakonserwowana

Studio Tracking Room w Nashville nie tylko zostało uratowane przed likwidacją, lecz także za sprawą jego właściciela Keitha Urbana wciąż powstają w nim świetne nagrania. Dowodzi tego nowa płyta ojców hard rocka, którzy próbują na niej przewrotnie opowiedzieć o technologicznej metamorfozie ludzkości i jej niepewnej przyszłości, m.in. w „Scriblin' Gib'rish", jednym z najcięższych utworów albumu, cierpko ironizującym na temat cyfrowej rzeczywistości.

„Splat!" to 13 utworów utrzymanych w stylu najlepszych osiągnięć Deep Purple, przywołujących klimat lat 70. Nie ma tu oczywiście takich bomb jak „Space Truckin'", ale jest wielu jego późnych potomków, wciąż porywających melodiami okraszonymi bogactwem, czasem wirtuozerskich pomysłów. Ciekawe, jak będzie na zapowiadanych koncertach, bo na płycie dobiegający osiemdziesiątki Ian Paice, Ian Gillan, Roger Glover i Don Airey, wspierani od kilku lat przez Simona McBride'a (rocznik 1979), dowodzą, że potrafią grać zarówno staroświecko, jak i odświeżająco nowocześnie. Podobno starano się uzyskać potężniejsze brzmienie sekcji rytmicznej, lecz wciąż z prostą, choć pulsującą groove'em perkusją Paice'a, by umożliwić Gillanowi niższy śpiew. Przez to nie załamuje się, przeciwnie – ten rockowy tenor znów nadaje utworom dramatycznego charakteru, by, kiedy trzeba, osiągać wysokie rejestry. Tak uzyskana konserwacja klasycznego brzmienia grupy jest możliwa również dzięki Aireyowi – pianiście, którego gra na organach Hammonda nie tylko znakomicie wspiera siłę gitarowych riffów, ożywiając spuściznę zmarłego Johna Lorda, lecz także twórczo ją rozwija. Gdy tylko może, swobodnie wypuszcza się w liczne, ale krótkie improwizacje, choćby w jazzowym przerywniku w „Guilt Trippin'", wprowadzając celtyckiego ducha w „Sacred Land" albo wplatając bachowskie cytaty w „My New Movie". To w końcu uczeń Ryszarda Baksta. Również wirtuozerska gitara McBride'a świetnie wpasowała się w styl zespołu, czego dowodzi np. pełen vanhalenowskich podtekstów „The Only Horse in Town", choć już np. w „The Beating of Wings" bez kłopotu powraca do bluesowych korzeni. Ogólnie Deep Purple nie odcina kuponów od dawnej chwały – gra z nową energią, muzykalnością, wysokim tempem, lecz w bardzo zdyscyplinowanej formie.



Deep Purple, „SPLAT!", Edel Rec. 2026

Antykatolicki apartheid

W XIX-wiecznej Europie zorganizowane kampanie laicyzacyjne, dotykające m.in. edukacji czy symbolicznej i politycznej obecności katolicyzmu, miały miejsce w kilku krajach: w Piemoncie, Hiszpanii, trawionej konfliktami już od najazdu Napoleona, oraz we Francji. Celem – głównie liberałów, a w Niemczech również ewangelików – było osiągnięcie dominującej pozycji względem katolików, ich wartości, przekonań i praktyk. Podobnie od wieków kształtowała się brytyjska polityka wobec irlandzkich, a także rodzimych katolików. Na początku XIX w. obiektem dyskryminacji byli również katolicy w USA. W państwie Hohenzollernów od 1871 r. w imieniu rządu pruskiego sprawami Kościoła zajmowali się urzędnicy wyznania ewangelickiego. Kampanię tę ożywiała wizja państwa jako narzędzia do zaprowadzania postępu, laickiej republiki, a więc rozdziału Kościoła od państwa, wprost odwołująca się do spuścizny ideowej oświecenia.

Geneza niemieckiego Kulturkampfu jako metodycznej walki z katolicyzmem i polskością miała jednocześnie cele podobne do tych, które przyświecały liberalnym władzom III Republiki Francuskiej. Identyfikował on katolicyzm jako ciało obce Niemcom, a jego źródła tkwiły zarówno w oświeceniowej ideologii fryderycjańskich Prus, jak i w wymierzonej we wpływy papiestwa niemieckiej reformacji. Jednak w Niemczech katolicy zostali uznani za element potencjalnie niepewny także na podłożu politycznym, w ogniu zjednoczenia i rywalizacji zarówno z Francją, jak i Austro-Węgrami.



Grzegorz Kucharczyk, „Kulturkampf. Walka Berlina z katolicyzmem", Fronda 2026

Z okładki książki spogląda na nas kanclerz Otto von Bismarck, bezpośrednio zaangażowany w zainicjowanie całej akcji, który – jak anegdotycznie wspomina prof. Kucharczyk – miał mawiać, że tym, co podtrzymywało go przy życiu, była miłość do żony i nienawiść do lidera katolickiej partii Centrum Ludwiga Windthorsta. Owa niechęć do Niemców wyznających katolicyzm, a także Polaków z Wielkopolski, Śląska, Mazur czy Pomorza, została wzbudzona w świadomości niemieckich protestantów zarówno metodami administracyjnymi, jak i propagandowymi, za pośrednictwem prasy i książek oraz poprzez akcje ich publicznego palenia. Doprowadziło to do wyeliminowania ich z ważnych stanowisk państwowych i rządowych, wprowadzenia pewnej odmiany apartheidu, którego kulminacja nastąpiła w epoce narodowego socjalizmu.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl ca127791e6





HITY i KITY ZAREMBY

O Waszyngtonie niemal po raz pierwszy

Film „Młody Waszyngton” można oglądać w kinach od 31 lipca. Zaskakuje jako próba pokazania pierwszego prezydenta USA bez nadkrytycznej lub prześmiewczej maniery, jaką dziś niesie ideologia woke. Zarazem jest to zaskakująco ciekawie opowiedziana, wierna faktom historia postaci, która pozostała mało znana, choć jest uznawana za twórcę tego państwa

Poza miniserialem telewizyjnym z 1984 r. nikt nie nakręcił fabuły o wodzu wojny o amerykańską niepodległość. Podręcznikowy bohater Washington tonął w mrokach epoki, która zainspirowała kilka filmów o amerykańskim powstaniu, ale przecież nie o nim. Zarazem dziś generał stał się celem ataków historycznych rewizjonistów. Miał w Wirginii niewolników. To wystarczy, by zamachnąć się na jego pomniki.

Tematem nieprzypadkowo zajęła się chrześcijańska firma producencka i dystrybutorska Angel Studios, która opiera się ideologii woke. Film nakręcił Jon Erwin, reżyser mający na koncie obrazy o tematyce religijnej. Tu jednak o religii nie ma słowa, bo Washington nigdy się nią nie interesował. W filmie ludzie na własny rachunek zmagają się z przeciwnościami, chcąc ujarzmić dzikie ziemie na terenie dzisiejszego Ohio. Akcja toczy się 20 lat przed wojną o niepodległość. W 1755 r. Washington penetruje nowe tereny jako mierniczy lorda Fairfaxa. Potem walczy o nie z Francuzami, poniekąd prowokując starcie z nimi.

Nie znaczy to, że nie widać zaczynów konfliktu, który zaowocował potem buntem kolonii. George chce być brytyjskim dżentelmenem, ale Korona odmawia mu patentu oficera, bo jest stąd, jest potomkiem kolonistów i tylko dzierżawcą. Nie jest też godzien poślubić Sally Cary, panny z dobrego domu, obiecanej młodemu lordowi Fairfaxowi. Film pokazuje przykłady pogardy okazywanej przez Brytyjczyków, przysłanych z metropolii, miejscowym, choć przecież ci też są Anglikami.

Washington jest ambitny i próbuje realizować swoje aspiracje, służąc Koronie – jako oficer milicji kolonii Wirginia. Film ciekawie ukazuje jego rozsterki, także życiowe błędy. Zarazem ma on w finale pretensje do brytyjskiej elity, że nie traktuje nowych ziem jako swoich. Ta zaborczość kolonistów obróci się nie tylko przeciw Francuzom i minimalizmowi władz brytyjskich, lecz także przeciw Indianom.

Tu są oni pokazani ambiwalentnie. Mówią, że to ich ziemie. Nie jest to podważane, ale George pozostaje wobec tego obojętny. W tle widzimy też czarnoskórych niewolników. Główny bohater traktuje ich obecność jako oczywistość.

Mamy więc próbę swoistego kompromisu. Twórcy nie kwestionują ani indiańskich racji, ani murzyńskich krzywd, ale głównym punktem odniesienia są racje przyszłych twórców Stanów Zjednoczonych. To dziś zanikające podejście, ale kiedyś w ten sposób Amerykanie opowiadali nam o swojej historii. Bez takiego spojrzenia nie ma elementarnego poczucia ciągłości narodu. No i bynajmniej nie prowadzi to Jona Erwina do taniej hagiografii. Próbuje on odtworzyć punkt widzenia nowych amerykańskich elit z czasów, kiedy one same jeszcze go w pełni nie pojmowały.

Poza wszystkim jest to żwawy film przygodowy i wojenny. W napięciu oglądamy zmagania Washingtona, choć przecież jego sprawa powinna nam być obojętna. Gra go zaledwie 22-letni aktor William Franklyn-Miller i jest to sugestywna, pełna emocji kreacja. W tle mamy Mary-Louise Parker jako matkę George'a, Bena Kingsleya jako gubernatora Wirginii Dinwiddle'a i Andy'ego Serkisa jako gen. Braddocka. Serkis to aktor znany z tak dziwnych ról jak King Kong, Gollum z „Władcy pierścieni” czy małpa Cezar z cyklu „Planeta małp”. Tu jest wyrazistym brytyjskim arogantem.

Piotr Zaremba

Fot. Galapagos Films

Horror grudniowej Wrony

„Zima pod znakiem Wrony" Kasi Adamik pojawi się na tegorocznym festiwalu filmów fabularnych w Gdyni. Obejrzałem go na Canal+. To film o stanie wojennym, pełen dziwaczności i zdeformowanych realiów. Za to bez łagodzenia tematu

To nie tak, że stan wojenny, zarządzony przez gen. Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 r., jest nieobecny w polskiej kinematografii. Mieliśmy nawet falę powrotów do niego. W 2021 r. Jan Paweł Matuszyński nakręcił „Żeby nie było śladów", a Marek Bukowski – „Babilon. Raport o stanie wojennym", adaptację prozy Marka Nowakowskiego. Oba filmy utrzymano w czarnej tonacji. Rok później mieliśmy bardziej humorystyczne „Chrzciny" Jakuba Skoczenia.

Tu możemy być zaskoczeni. Kasia Adamik to córka Agnieszki Holland, do tej pory autorka filmów nie do końca udanych („Janosik. Prawdziwa historia"). Znana z feministycznych sympatii, tym razem wzięła się za ten historyczny moment, inspirowana opowiadaniem Olgi Tokarczuk. Pomysł wyjściowy jest sugestywny. Oschła Brytyjka, profesor psychiatrii Joan Andrews, przylatuje do Warszawy na konferencję dzień przed stanem wojennym. 13 grudnia traci kontakt ze swoją opiekunką, aktywistką Solidarności, i gubi się w mieście, bez paszportu i znajomości polskiego. Warszawa, pełna milicji i czołgów, jawi się jej jako senny koszmar (świetne zdjęcia Tomasza Naumiuka).

Zarazem ileż tu niedorzeczności w realiach. Wykład pani profesor zostaje zakłócony przez studentów protestujących przeciw złemu traktowaniu pacjentów psychiatryków. Ktoś pamięta taki ruch w tamtej Polsce? I czy ktoś poważyłby się wtedy tak potraktować cudzoziemca? Pani profesor ma prowadzić wykłady następnego dnia (13 grudnia to była niedziela). W tę niedzielę w sklepie sprzedaje się świąteczne karpie – 11 dni przed Bożym Narodzeniem. Taksówkarz odbiera w aucie pierwszą audycję konspiracyjnego radia. I tak dalej.

Mnie to przeszkadza, ale może to są szczegóły nieważne dla młodszego widza. Musimy jeszcze uwierzyć w serię przedziwnych zbiegów okoliczności. Prof. Andrews jest świadkiem wypchnięcia opozycjonisty przez okno, potem próbuje ją zamordować esbek. Mamy też niejasności. Brytyjski ambasador jest podsłuchiwany, ale przez kogo? Przez panią z ambasady i człowieka o wyglądzie funkcjonariusza SB, ale nawijającego po angielsku. Wystarczy?

Zarazem 13 grudnia jest opisany jako klaustrofobiczny koszmar. PRL-owskie służby są chyba nawet straszniejsze niż w rzeczywistości. To wszystko wbrew tendencji do relatywizowania tamtych czasów. Może więc nie dbać o realia? Mamy metaforę obcości, niezrozumienia między przybyszem z Zachodu a zajętymi swoją rewolucją, a także swoją biedą, Polakami. Lesley Manville jako profesorka i Zofia Wichłacz jako Alina dobrze oddają klimat grozy. Mielibyśmy swoistą uniwersalizację tematu?





PARKOWY FREDRO WIECZNIE ŻYWY

„Damy i huzary" Aleksandra Fredry obejrzałem po raz drugi – w amfiteatrze przy Pałacu Na Wyspie. To był ostatni punkt cudownej imprezy „Fredro w Łazienkach" Teatru Klasyki Polskiej. W 150. rocznicę swojej śmierci hrabia komediopisarz wciąż świetnie prowadzi dialog z publiką. Wcześniej Teatr Klasyki Polskiej przypominał w parkowej scenerii „Zemstę", „Dożywocie" i „Śluby panieńskie"

Zgodnie z maksymą dyrektora Jarosława Gajewskiego „klasyka mówi więcej niż współczesność", Karolina Labahua przyrządziła jedną z najlepszych komedii Fredry bez uwspółcześniających ekscesów, w tradycyjnych kostiumach Aleksandry Redy, jako rewię gagów słownych i nieporozumień. Po nim te same koncepty o ludziach opowiadano pewnie precyzyjniej, a jednak to on wciąż urzeka nas pomysłowością i celnością obserwacji. Widownia w łazienkowskim amfiteatrze łowiła je bezbłędnie.

To opowieść o najeździe trzech dam na dworek ich brata Majora, który wraz z kolegami huzarami chce się oddawać prostym męskim rozrywkom. Panie są zdegustowane oficerskimi obyczajami, ale to one snują intrygę, chcąc ożenić Majora. To satyra na wady kobiet sprzed politycznej poprawności, choć także na męską naiwność.

Pisałem już recenzję z tego spektaklu – po premierze w Żyrardowie. Tylko więc powtórzę: aktorzy sprawują się tu perfekcyjnie, z Majorem – Gajewskim i Orgonową – Wiktorią Gorodecką na czele. Chciałem sprawdzić, jak wypadnie Piotr Kramer jako Porucznik. W Żyrardowie grał go filmowy gwiazdor Sebastian Fabijański. Każdy z nich przedstawił swojego bohatera trochę inaczej. Fredro nie komplikował psychologii, ale portretował żywych ludzi. Kramer jako zakochany oficerek sprawił się świetnie.

Otwarta przestrzeń amfiteatru sprzyja dialogowi aktorów z widownią. W pewnym momencie doszło do inwazji parkowego pawia z jego charakterystycznym klangorem. Andrzej Mastalerz, wyborny Rotmistrz, swoim arcykomediowym głosem narzekał na panie, że przyjechały ze swoimi kotami i srokami. Błyskawicznie dodał do tyrady pawie, co wywołało owacje.

Fot. Teatr Klasyki Polskiej

Premier leci w kosmos, a Ziemia czeka na konkrety

Trudno o bardziej jaskrawy przykład politycznego PR oderwanego od rzeczywistości niż wystąpienie szefa rządu zapowiadającego zbudowanie polskiego statku kosmicznego. Podbój kosmosu i branża space-tech, jakkolwiek warte uwagi środowisk naukowych i przemysłu, są jednak na tyle odległe od codziennych problemów obywateli, że zapowiedź Donalda Tuska wywołuje raczej uśmiech



MACIEJ WOŚKO

„Centrum Europejskiej Agencji Kosmicznej w Polsce potwierdza nasze ambicje i możliwości. Jednym z celów jest budowa pierwszego polskiego statku kosmicznego” – zapowiedział premier. To sformułowanie, mające w zamyśle porwać tłumy, w branży technologicznej wywołało co najwyżej pobłażliwy uśmiech. Problem tkwi – delikatnie mówiąc – w niewiedzy lub niefortunnym skrócie myślowym. Bo nie o rakietę powinno tu chodzić, lecz o polski potencjał naukowy, naszą pozycję w badaniach i rozwoju technologii dual-use, dzięki którym awansujemy wreszcie z roli dostawcy taniej siły roboczej do ligi państw kreujących nowoczesny przemysł i technologię.

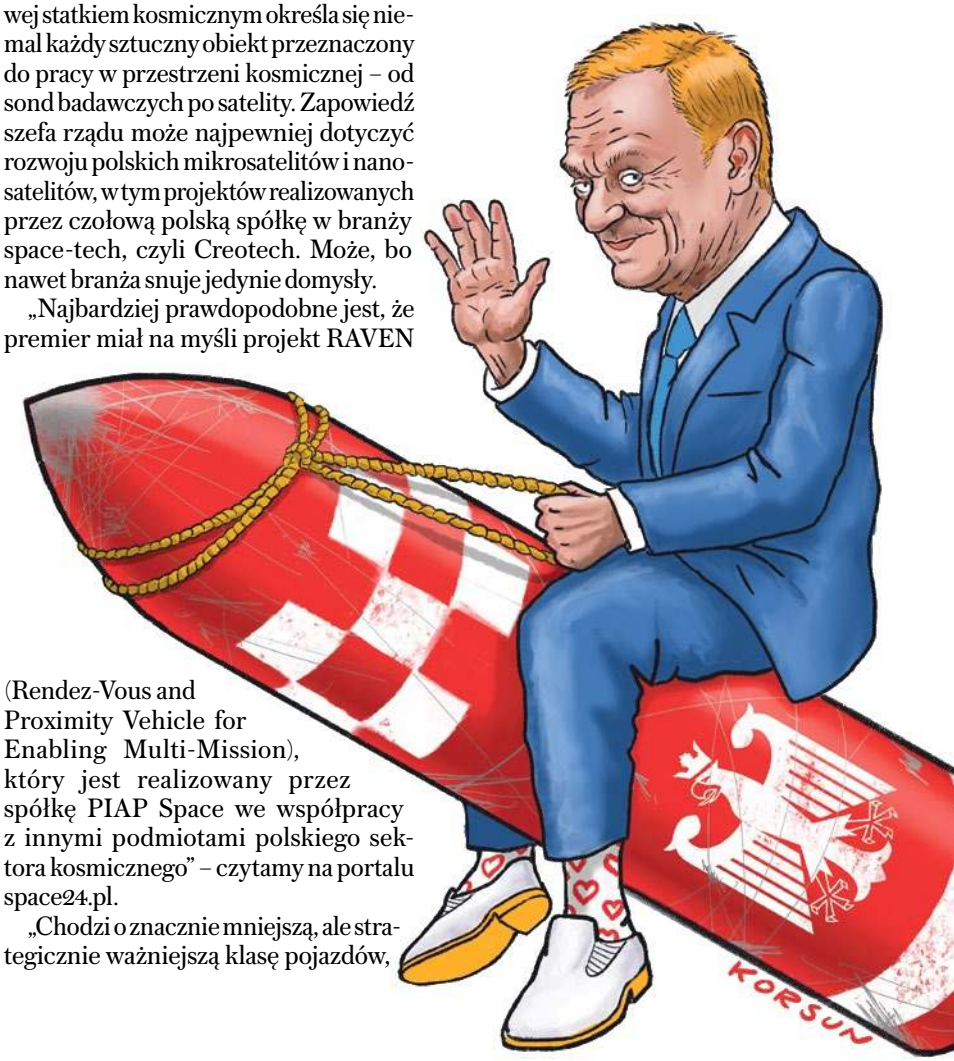
CZYM NAPRAWDĘ MA BYĆ „POLSKI STATEK KOSMICZNY”?

Medialna burza wokół deklaracji premiera skłoniła ekspertów i przedstawicieli branży do wyjaśnienia, co kryje się pod pojęciem „statku kosmicznego”. W nomenklaturze inżynieryjnej i wojskowej statkiem kosmicznym określa się niemal każdy sztuczny obiekt przeznaczony do pracy w przestrzeni kosmicznej – od sond badawczych po satelity. Zapowiedź szefa rządu może najpewniej dotyczyć rozwoju polskich mikrosatelitów i nanosatelitów, w tym projektów realizowanych przez czołową polską spółkę w branży space-tech, czyli Creotech. Może, bo nawet branża snuje jedynie domysły.

„Najbardziej prawdopodobne jest, że premier miał na myśli projekt RAVEN (Rendez-Vous and Proximity Vehicle for Enabling Multi-Mission), który jest realizowany przez spółkę PIAP Space we współpracy z innymi podmiotami polskiego sektora kosmicznego” – czytamy na portalu space24.pl.

„Chodzi o znacznie mniejszą, ale strategicznie ważniejszą klasę pojazdów, czyli orbitalne holowniki i satelity serwisowe, zdolne przedłużać życie innych satelitów, korygować ich orbity czy usuwać kosmiczne śmieci” – wyjaśnia Łukasz Wilczyński, prezes Europejskiej Fundacji Kosmicznej, w rozmowie z money.pl.

„Pierwsza część tego projektu jest już gotowa. Planowany termin zakończenia drugiego etapu, w tym wyniesienia statku na orbitę, to 2029 r. Mówimy więc o krótkiej perspektywie kilku lat, a nie odległych dziesięcioleci” – dodaje Grzegorz Brona, szef Creotech Instruments, precyzując założenia projektu RAVEN.



eprasa.pl ca127791e6

SKĄD TA RAKIETA?

Z oficjalnych dokumentów, takich jak Krajowy Program Kosmiczny, jasno wynika, że polski sektor kosmiczny – choć innowacyjny – cierpi na rozdrobnienie technologiczne i zmaga się z wysokimi barierami wejścia. Aż 79 proc. podmiotów zarejestrowanych w ESA to firmy komercyjne, z czego 40 proc. stanowią małe i średnie przedsiębiorstwa, specjalizujące się w niszowych podsystemach: oprogramowaniu pokładowym, mechanizmach czy strukturach dla satelitów. Owszem, inżynierowie z Polski mają na koncie spore sukcesy, jednak zapowiedź budowy całego autonomicznego pojazdu kosmicznego przez kraj, który wciąż nie posiada chociażby pełnej infrastruktury do testowania komponentów, brzmi jak skok w świat science fiction. Tymczasem potrzebna jest spójna konsolidacja działań na poziomie krajowym i międzynarodowym. Tę od kilku lat próbuje koordynować POLSA, czyli Polska Agencja Kosmiczna.

ELITARNY KLUB I ROSNĄCY RACHUNEK

Zapowiadane otwarcie w Polsce placówki ESA – pierwszej tego typu poza terytorium państw założycielskich Agencji, które było powodem kosmicznej konferencji premiera – zasadniczo potwierdza, że robimy krok w dobrą stronę.

Inicjatywę powołania ośrodka w Warszawie chwalił dyrektor generalny ESA Josef Aschbacher, wskazując, że Polska szybko staje się jedną z sił napędowych europejskiego sektora kosmicznego. Nic w tym dziwnego, skoro staliśmy się jednym z kluczowych płatników Agencji. Zaledwie kilka lat temu wpłacaliśmy do ESA kilkadziesiąt milionów euro, dziś kwoty te rosną skokowo. Zgodnie z zapowiedziami planowane jest zwiększenie polskiej składki na lata 2026–2028 do poziomu blisko 550 mln euro na programy opcjonalne, a Ministerstwo Finansów deklarowało wkład sięgający nawet 731 mln euro w tym okresie. Dla porównania: jeszcze w 2023 r. było to 69 mln euro, a w ub.r. łączna składka wyniosła 193,4 mln euro. Cóż, nie jest tajemnicą, że to m.in. właśnie te wpłaty pozwoliły nam wysłać w kosmos polskiego astronautę, dr. Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Tyle to kosztowało.



KLUCZEM JEST „DUAL-USE"

Utworzenie Centrum ESA w Polsce oznacza oczywiście korzystny transfer know-how, rozwój kapitału ludzkiego i nowe miejsca pracy dla absolwentów uczelni. W Warszawie docelowo mają pracować eksperci, od dekad zajmujący się technologiami satelitarnymi. To bezcenna wartość dodana dla innowacyjnej gospodarki. Tyle że gdyby rządzący chcieli właściwie wykorzystać ten impet, ich uwaga, zamiast na hasłach o budowie „statków", powinna się skupić na pojęciu technologii podwójnego zastosowania.

„Centrum ESA w Warszawie ma koncentrować się na bezpieczeństwie, odporności i technologiach podwójnego zastosowania, rozwijając rozwiązania zwiększające zdolności Europy do reagowania na zagrożenia" – czytamy na stronie gov.pl. To naturalne. Jednak w tym kontekście dual-use można też czytać jako wsparcie badań i rozwoju technologii, które z czasem powinny trafić do powszechnego stosowania w naszym codziennym życiu. Tymczasem premier poleciał w kosmos.

WCIĄŻ TYLKO LIST INTENCYJNY

Mimo szumnych deklaracji należy pamiętać o prawnym i organizacyjnym statusie całego przedsięwzięcia. Podpisany list intencyjny rozbudził nadzieje, ale szczegółowe ustalenia wciąż trwają i ostateczne decyzje dopiero zapadną w porozumieniu z ESA. Na razie mamy więc jedynie deklarację woli, bez podania ostatecznej lokalizacji, ścisłego harmonogramu czy precyzyjnego modelu finansowania.

Trzeba też przecież zadać fundamentalne pytanie o twardy bilans finansowy: ile zyska polska gospodarka. Instrumenty ESA (tzw. zwrot geograficzny) teoretycznie gwarantują, że większość wpłaconych środków wraca do kraju w postaci kontraktów dla rodzimych firm. Czy jednak wydatki rzędu miliardów złotych przełożą się na patenty, globalną sprzedaż i zyski polskich przedsiębiorstw?

HALO, ZIEMIA WZYWA!

Dyskusja o wydawaniu miliardów na kosmiczny prestiż budzi w środowisku naukowym narastającą frustrację. W tym samym czasie, gdy padają deklaracje o budowie statków kosmicznych, nakłady na rodzimą naukę relatywnie maleją. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego personel zaangażowany w działalność badawczo-rozwojową (B+R) w 2024 r. zmniejszył się o 1,9 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Zamiast boomu innowacyjnego obserwujemy odpływ kadr.

Uczelnie i instytuty borykają się z niedoborem środków na kluczowe projekty – od wsparcia infrastruktury badawczej (jak radioteleskop w Toruniu), przez energetykę jądrową, po technologie wodorowe i czysty węgiel. Wiele projektów znajduje się tuż przed wdrożeniem komercyjnym, które dałoby gospodarce natychmiastowy oddech. Przykładowo projekt polskiego reaktora badawczego POLA wciąż czeka na kluczowe decyzje administracyjne i finansowe. I leży.

PRAGMATYZM ZAMIAST MEGALOMANII

Zamiast politycznego PR potrzebujemy dziś ziemskiego pragmatyzmu. Jeśli państwo ma trudności z terminową realizacją strategicznych inwestycji infrastrukturalnych na ziemi – takich jak Centralny Port Komunikacyjny czy elektrownie jądrowe, SMR, projekty kolejowe i drogowe – deklarowanie przełomowych programów kosmicznych musi budzić pytania o priorytety.

Potrzebujemy konsekwentnej polityki wsparcia rodzimego sektora space-tech w obszarach, w których już teraz dysponujemy przewagami konkurencyjnymi, a nie niefortunnych sformułowań na konferencjach prasowych. W przeciwnym razie jedynym, co wystrzelimy w kosmos, będą miliardy złotych z kieszeni podatników.

eprasa.pl ca127791e6

Czy zwierzęta współczują?



Kamery, drony, fotopułapki, termowizja, noktowizja – żadne zachowanie zwierząt nie umknie naszej uwadze. O relacjach w świecie natury możemy się obecnie dowiedzieć bardzo wiele. Zaryzykowałbym twierdzenie, że człowiek nigdy wcześniej nie miał takiego wglądu w życie zwierząt



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dowiedzieliśmy się, że np. w gnieździe bielika zamieszkały kuny, że ryś iberyjski po upolowaniu królika długo moczył go w wodzie, że inwazyjne szopy pracze buszowały za dnia (!) po lesie – choć są zwierzętami nocnymi – wyławiając z rzek małże, raki i ryby oraz polując na jaszczurki i żaby. Z kolei w centrum Mumbaju sprawcą zaginięć psów okazał się lampart.

Nie jest jednak tak, że wcześniej człowiek nie znał świata przyrody. Nic podobnego! Nasz gatunek od początku był zdeterminowany do poznawania życia roślin i zwierząt. Bez tej umiejętności nie miałby szans na przetrwanie. Cudzożywność wymusza na zwierzętach – w tym na człowieku – ciągłą obserwację natury. Podczas gdy antylopa podąża za rozwijającymi się trawami, a renifery wypatrują porostów i krzewinek, mięsożercy obserwują inne gatunki zwierząt. Gdybyśmy byli samożywni, wiedzielibyśmy o otaczającym nas świecie dużo mniej. Skoro jednak nie fotosyntetyzujemy, musimy po prostu jeść, a to przez setki tysięcy lat doprowadziło nas do mistrzowskiego poziomu poznania wszelkich relacji w przyrodzie. Najpierw, gdy byliśmy głównie mięsożerni – w świecie zwierząt, później, gdy wynaleźliśmy rolnictwo – w świecie roślin.

Ta początkowa mięsożerność, okres, gdy byliśmy przede wszystkim łowcami, wraz z inteligencją i dobrym wzrokiem wykształciła w nas doskonałą orientację w leśnych relacjach. Jej podstawą była baczność na zachowania innych gatunków: ich zwyczaje, a nawet ruch. Człowiek paleolityczny bez kamer i dronów doskonale wiedział, gdzie żerują zwierzęta, jakie są ich zachowania terytorialne oraz jak unikają drapieżników.

Ta wiedza zaczęła powoli odchodzić w zapomnienie wraz z rozwojem rolnictwa i hodowli. Człowiek wciąż polował, ale coraz więcej czasu poświęcał

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ca127791e6

uprawom i stadom. Gdy na początku XIX w. liczba ludności osiągnęła 1 mld, a pod koniec XX w. przekroczyła 6 mld, zapominano coraz szybciej. Ustała konieczność wczuwania się w rytm dzikiej przyrody – głównie dlatego, że na dużych powierzchniach kuli ziemskiej zastąpiły ją tereny uprawne, będące w stanie wyżywić wielką ludzką populację. Podzielone obszary dzikiej przyrody przestały być dla człowieka rewirami łowieckimi, od których zależy przetrwanie gatunku, stały się natomiast przedmiotem ochrony, a obecnie także wzmożonych obserwacji, które nie wynikają z konieczności przeżycia, lecz z ciekawości. Przestaliśmy więc patrzeć na myszołowy, krukowate, wilki czy niedźwiedzie jako na konkurentów do zdobyczy, a borsuki czy bobry przestaliśmy jeść na hucznych wieczerzach.

Ogon bobra, łapa niedźwiedzia i sadło borsuka mniej interesują nas jako pożywienie – gatunki te bardziej wzbudzają zainteresowanie jako tajemniczy mieszkańcy naszej planety. Dzięki nowym technologiom jesteśmy w stanie odkryć ich sekrety, które przez tysiąclecia pozostawały poza naszymi zdolnościami poznawczymi. I możemy to robić, zupełnie im nie przeszkadzając. W efekcie obserwujemy najdziwniejsze zachowania, do których w obecności człowieka nigdy by nie doszło.

Wśród nich największe zainteresowania wzbudzają te upodobniające zwierzęta do ludzi: uczuciowość, altruizm, empatia, przywiązanie, poczucie estetyki, a także zazdrość czy brutalność, niełączoną przez nas ze światem przyrody.

Na małych ekranach smartfonów, oddzieleni cyfrowym buforem, oglądamy zadziwiające spektakle natury, których człowiek nigdy wcześniej nie był świadkiem. W kontekście tego, co napisałem wyżej, ten wgląd jest powrotem do dawnych zachowań przedstawicieli naszego gatunku. Pilnie obserwujemy świat wokół nas, próbując wykraść mu jego najlepiej strzeżone tajemnice. Historia zatoczyła koło – znów jesteśmy niezwykle blisko misterium natury. Tym razem jednak za sprawą miniaturowych kamer, autonomicznych fotopułapek oraz dronów o niskiej emisyjności.

Takie materiały, masowo trafiające na różne platformy cyfrowe, choć często są pokazywane jako sensacyjna rozrywka, stanowią w istocie bezcenny materiał dla współczesnej etologii. Internetowe algorytmy karmią nas nagraniami, które na pierwszy rzut oka przeczą podręcznikowym regułom walki o byt. Spektakularnym przykładem są udokumentowane przez ukryte kamery przypadki altruizmu międzygatunkowego – choćby to, jak dorosły słoń szarżuje na stado hien, by osłonić rannego lwa czy humbaki, aktywnie blokujące ataki orek na foki. Z klasycznego, ewolucyjnego punktu widzenia bazującego na teorii „samolubnego genu" takie zachowania wydają się paradoksalne. Dlaczego roślinożerca miałby ryzykować życie dla drapieżnika, który potencjalnie zagraża jego własnemu potomstwu?

Współczesna nauka, analizując te cyfrowe dowody, odchodzi od sztywnego automatyzmu wpisanego w geny zwierząt na rzecz uznania u nich wyższych procesów kognitywnych oraz empatii poznawczej. W przypadku słoni, posiadających neuroanatomiczne podłoże do przetwarzania emocji (ogromny hipokamp i neurony wrzecionowate), obrona lwa przed hienami nie musi być kaprysem. Może to być przejaw tzw. generalizacji instynktu opiekuńczego lub efekt głębokiej awersji do hien jako oportunistycznych drapieżników.

Drony rejestrujące życie waleni ujawniają z kolei, że ich ingerencje w polowania orek noszą znamiona globalnego „patrolowania" i celowego zakłócania działań agresora, co sugeruje istnienie namiastki kultury społecznej i pewnego rodzaju „moralności" wewnątrzgatunkowej, której beneficjentami są inne taksony, w opisywanym przypadku – foki.

Technologia pokazała, jak niezwykle plastyczne i złożone bywają strategie łowieckie w przyrodzie. Nagrania udowodniły, że drapieżniki różnych gatunków potrafią dynamicznie wchodzić w relacje, jeśli przynosi im to przewagę adaptacyjną – jak w przypadku kojotów i borsuków. Na filmach widzimy, jak zwierzęta te witają się, a nawet zachęcają nawzajem do biegu. Nauka szybko zweryfikowała te urocze kadry. W tym przypadku jest to czysty, wyrachowany mutualizm. Borsuk potrafi kopać w ziemi. Na skutek jego działań z nor uciekają gryzonie – wprost w paszczę szybkiego kojota. Jeśli zaś ofiara ucieka pod ziemię, tam czeka na nią borsuk. Wpisy pod tymi filmami mówią o przyjaźni i zabawie, ale biologia widzi w tym genialne dopasowanie strategii łowieckich przynoszące obopólną korzyść.

Internetowe archiwa wideo stają się gigantyczną, rozproszoną bazą danych. Dzięki nim nauka zyskała potężne narzędzie empiryczne, dowodząc, że zachowania zwierząt są plastyczne i znacznie bogatsze, niż wcześniej zakładaliśmy.

Błędem jest jednak uczłowieczanie zwierząt, opisywanie ich, używając ludzkich kategorii czy podejście charakteryzujące się gloryfikacją „moralności" zwierząt. Takie nastawienie może skutkować – w najlepszym przypadku – bezpośrednim zagrożeniem dla zdrowia i życia jednostki. Zwiedzeni ideą antropomorfizacji ludzie podchodzą do niedźwiedzi, jeleni czy dzikich kotów, ponieważ na filmach w telefonie sprawiały wrażenie wysoko etycznych, mądrych i empatycznych. Skutkuje to tragicznymi w skutkach atakami. To, że zwierzęta prezentują zachowanie altruistyczne, nie czyni z nich ludzi. I tu pojawia się prawdziwe zagrożenie.

Uczłowieczanie zwierząt często prowadzi do substytucji emocjonalnej. Człowiek, rozczarowany skomplikowanymi relacjami z ludźmi, ucieka w świat prostych interakcji ze zwierzętami. Przekonanie, że „zwierzęta są lepsze od ludzi i rozumieją mnie bez słów", pogłębia samotność i utrudnia budowanie zdrowych więzi z innymi ludźmi. Może więc dochodzić do zaburzenia ról, a w kwestii zaspokojenia potrzeb emocjonalnych rolę partnera lub dziecka przejmują zwierzęta. Pomija się przy tym, że potrzeby te powinny być zaspokajane w społeczeństwie, a nie w świecie fauny, który nie jest stworzony do odgrywania takiej roli. Powoli następujące w świecie kultury zachodniej przyznawanie prymatu zwierzętom, a odbieranie go człowiekowi skutkuje wieloma przerażającymi konsekwencjami, których analiza wykracza daleko poza ramy artykułu przyrodniczego.

Odkrywanie – dzięki najnowszym technologiom – altruistycznych zachowań zwierząt, nawet jeśli u ich podstaw tkwią mechanizmy naturalne, jest fascynujące! Korzystając z tych nowych możliwości niezwykłego obcowania z przyrodą i podglądając żbika czy jelenia, poczujmy się jak wczesny *Homo sapiens*. Ale nie idźmy za daleko.

eprasa.pl ca127791e6



BARBARA PAWLUK*

3333 kilometry wdzięczności

Nazywam się Basia Pawluk. Dzięki pierwszym studiom zostałam geografem. Teraz studiuję psychologię. Rok temu zostałam żołnierzem Wojsk Obrony Terytorialnej. Jestem też ambasadorką Fundacji Nagle Sami. I dla tej fundacji – a za jej pośrednictwem dla ludzi, którzy zmagają się z utratą bliskich – w szczególny dzień, 1 sierpnia, wyruszam rowerem dookoła Polski. To będzie moja trzecia wyprawa. 3333 km „dla tych, którzy zostali". Nazwaliśmy ją Drogą Wdzięczności, bo zrodziła się z refleksji nad tym, co najcenniejsze. Co warto zauważać, doceniać, chronić. I starać się nie zagubić w przebodźcowanym współczesnym świecie. Każdy dzień tej wyprawy będzie przeżywany jako akt wdzięczności. Za życie, które trwa mimo bólu. Za ludzi, którzy są obok (finał, zaplanowany na 25 sierpnia, zbiega się z moimi 33. urodzinami oraz rocznicą służby wojskowej).

Data startu nie jest przypadkowa. To Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego. A pamięć, odwaga i służba drugiemu człowiekowi są wartościami, które powinny nas prowadzić zarówno w chwilach próby, jak i w codzienności.

Doświadczenie straty zmienia perspektywę. Już to wiem. Podobnie jak to, że każdy sam musi przepracować



żałobę, ale w tej drodze bardzo cenna okazuje się obecność innych. Ta życzliwa i wspierająca. Przekonałam się o tym kilka lat temu, po śmierci taty, gdy – dodatkowo zatrzymana poza Polską przez covid (byłam wtedy na studenckiej wymianie Erasmus w Budapeszcie) – trafiłam na Fundację Nagle Sami.

Tamte rozmowy, choć na odległość, pomogły mi przejść przez najtrudniejszy czas. Teraz ja mogę pomóc innym.

Ta wyprawa jest nie tylko zaproszeniem do wdzięczności i refleksji, lecz także ma konkretny cel: zebranie 33 333 zł. Na rozwój i utrzymanie telefonu wsparcia dla osób w żałobie (800 108 108, tu anonimowo i bezpłatnie można liczyć na rozmowę i uważną obecność).

Skąd pomysł, by w tej intencji objechać Polskę? Rower to od czterech lat moja wielka pasja (na początku także jeden ze sposobów radzenia sobie z żałobą, nadal skuteczny w rozładowaniu napięć – i psychicznych, i fizycznych). Na dwóch kółkach dotarłam już do Santiago de Compostela (przejechałam z Krakowa 3,7 tys. km). I do Rzymu (1,8 km). W tym roku wybrałam Polskę, bo jest piękna i chyba nie do końca ją znamy oraz doceniamy. Po drodze odwiedzę też ważne dla mnie miejsca.

Wyruszę z Krakowa, w którym mieszkam od kilku lat. Potem będzie Jastrzębie-Zdrój, gdzie się wychowałam i gdzie tata uczył mnie jazdy na małym rowerze (rodzice pochodzą z lubelskiego i gdy tata przestał być górnikiem, przenieśli się pod Białą Podlaską, ale po jego śmierci mama wróciła do Jastrzębia-Zdroju).

Dalej droga poprowadzi na zachód, wzdłuż granicy, aż do Szczecina, a później m.in. EuroVelo 10, czyli popularną Trasą Rowerową Morza Bałtyckiego w kierunku Suwałk. Następnie ruszę na południe – Green Velo, czyli Wschodnim Szlakiem Rowerowym. Ważnym miejscem będą okolice Międzyrzeca Podlaskiego (odwiedzę grób taty w niedalekim Huszlewie). Potem planuję dojechać do Ustrzyk Dolnych, by następnie skręcić w stronę Nowego Sącza i przez Rabkę-Zdrój dotrzeć Krakowa.

Będę pokonywać ponad 100 km dziennie (trasę mam rozpisaną na 23 dni plus 2 w zapasie), niezależnie od pogody. Z nocowaniem pod namiotem lub gościnnie. Z doświadczenia wcześniejszych wypraw wiem, jak nieoczekiwane oraz ważne potrafią być spotkania i rozmowy z ludźmi poznanymi na szlaku.

Podobnie jak przygotowania do wyprawy, także całą trasę będę relacjonować na Instagramie (Basia.Pawluk) i Facebooku (Quo vadis? Rowerem ku marzeniom).

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Ambasadorka Fundacji Nagle Sami*

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl ca127791e6



SŁODKO-SŁONY

Złote morele

ANNA MONICKA

W tym roku na pewno nie popełnię ubiegłorocznego błędu. Właściwie przespałam sezon morelowy, latem zrobiłam tylko kilka małych słoiczków i oczywiście mniej więcej w listopadzie, kiedy nadszedł najbardziej depresyjny czas w roku, zjadłam wszystko, żeby poprawić sobie humor. Te owoce są dla mnie jak słońce. Już ich kolor energetyzuje, a słodko-kwaskowaty smak i mnóstwo witaminy C wspaniale orzeźwiają. Mają dużo beta-karotenu, który chroni skórę przed promieniowaniem UV, a poza tym doskonale nas nawadniają, są więc idealnymi owocami na lato. Warto jeść kilka dziennie w sezonie, gdy są najbardziej dojrzałe.

Bardzo sobie cenię mus morelowy – wrzucam kilka owoców do przenośnego akumulatorowego blendera, uzupełniam wodą lub jogurtem, dokładnie miksuję i wypijam na śniadanie w upalne dni. Można się nimi nasycić na kilka godzin. Właśnie taki mus, przesmażony z odrobiną miodu i cynamonu, jest moim lekarstwem na pochmurne dni jesienią, a także witaminowym dodatkiem do owsianek. Pasuje zresztą do pieczonego białego mięsa, np. piersi indyka, jako kwaskowata kontra.

Jednym z moich ulubionych dań, które przyrządzam, gdy wpadają znajomi, są pieczone morele. Tylko od dodatków i upodobań gości zależy, czy zostaną podane na słodko, czy na słono. Trzeba wybrać ładne, dojrzałe owoce, ale wciąż lekko twarde, żeby się nie rozpłynęły na blasze. Wypestkowane i przekrojone na połówki układamy ciasno obok siebie przecięciem do góry, w miejsca po pestce wlewamy odrobinę miodu, posypujemy cynamonem i płatkami migdałów. Pieczemy 15 minut pod folią, a potem jeszcze parę minut zapiekamy bez niej, żeby się ładnie zazłociły. Podaję je z sosem cytrynowo-jogurtowo-miodowym albo lodami śmietankowymi. Dla tego deseru można stracić głowę.

W wariancie wytrawnym owoce smaruję oliwą, używając pędzelka, a miód zastępuję serem. Może to być słodkawa gorgonzola, camembert, feta albo ser szopski. Posypuję tymiankiem i zapiekam. Doskonale smakują z grzankami delikatnie muśniętymi czosnkiem. Dania można też przygotować na grillu albo na patelni grillowej, a do pieczenia wziąć brzoskwinie, duże śliwki, jabłka lub gruszki.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Fauna w Karpatach

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niedługo kończy się znakomita wystawa czasowa w Muzeum Narodowym w Krakowie: „Gotyk w Karpatach". Wraz z kilkoma krajami europejskimi tworzymy niezwykłą wspólnotę ponad granicami, dynastiami czy językami. Przynależność do niej wynika z położenia geograficznego. Pośród pasm górskich wygiętych w łuk Karpat powstawała oryginalna, wspólna dla żyjących tam ludzi kultura. Moja refleksja dotyczy analogii: zupełnie tak samo jak w przypadku sztuki rzecz się ma z karpacką przyrodą. I nie dotyczy to tylko fauny, wymienionej w tytule tego artykułu, lecz także flory i wszelkich relacji przyrodniczych.

Wyjątkowość przyrodnicza Karpat zarysowuje się na różnych poziomach. Góry te mają swoje endemity, czyli gatunki, które nie występują nigdzie indziej na świecie. Endemitem karpackim jest chrząszcz sichrawa karpacka (*Pseudogaurotina excellens*), należący do odznaczającej się bardzo długimi czułkami rodziny kózkowatych, a także ślimak długowłosy (*Trochulus villosulus*), o muszli pokrytej włoskami gęstymi niczym futerko. Jego zasięg, obejmujący pogórze i niższe położenia karpackie, podkreśla bliskość naszej więzi z Ukrainą, Słowacją i Węgrami. Zupełnie tak samo jak nastawy ołtarzowe Mistrza z Maciejowców, rozsiane po karpackich kościołach.

Jelenie zamieszkujące łuk transeuropejskich gór są większe i masywniejsze od jeleni nizinnych, a ich poroża bywają dwukrotnie cięższe, są ozdobione charakterystycznymi, niespotykanymi gdzie indziej odnogami i pięknie wykształconą fakturą zwaną perełkowaniem.

Z kolei karpackie rysie odznaczają się wyraźniejszym niż u populacji nizinnych ciemnym cętkowaniem, a kozice tatrzańskie, będące podgatunkiem kozicy północnej, jako jedyne nawet w czasie najsroższych zim nie schodzą poniżej górnej granicy lasu i nie szukają osłony pomiędzy drzewami, pozostając wśród hal i turni.

Dzięki swojemu charakterowi długiego łuku Karpaty są korytarzem łączącym znaczną część Europy i umożliwiającym wędrówkę ludzi oraz wszelkich innych stworzeń. Mają też jeszcze jedną, specyficzną cechę – wciąż są dzikie. Więcej – nigdy nie utraciły swojego pierwotnego rdzenia dzikości, co czyni je tym bardziej intrygującymi i nieprzewidywalnymi.

eprasa.pl ca127791e6

3 MIŁOŚCI

Pięć historii



ROBERT TEKIELI

Wokół zamęt. Mam poczucie, że mechanizm świata został nakręcony i już nikt nie może wpłynąć na to, co musi się zdarzyć. Siedzę i myślę, że gdy umierał Rzym, gdy umierało Bizancjum, na pewno był choć jeden człowiek, który czuł identycznie jak ja.

Przystojna 30-latka. Szczupła, bardzo zgrabna. W czasie rozmowy mam okazję, by się jej przyjrzeć. W tych delikatnych rysach jest prawdziwe piękno. Ona o tym nie wie.

Studiowała reklamę, ale na ASP zobaczyła, że nawet ci utalentowani, potrafiący przetworzyć swoją jaźń w rysunek czy rzeźbę, tak naprawdę wracają w pustkę. Zrozumiała, że są granice tego, co może sam człowiek, że sam ze sobą jest smutny.

Jest katechetką. Wzrastała w małym miasteczku, w licznej rodzinie, z kochającą mamą. Dziś widzi pogubioną młodzież, szukającą po omacku nie wiadomo czego. „Często dzieci nie potrafią dziś odmówić sobie przyjemności, są zamknięte na Boga i siebie, ranią siebie i innych. Miałam piękniejsze dzieciństwo niż one, było więcej drzew, na które trzeba było wejść, więcej ptaków, które trzeba było wysłuchać. Mama wprowadziła mnie do Kościoła, jak miałam parę lat i ja już z niego nigdy nie wyszłam. Już wtedy zachwyciłam się Panem Bogiem. Kiedy czułam, jak pięknie pachną kwiaty, to wiedziałam, że dlatego, iż Pan Bóg jest piękny. Kiedy patrzyłam na krzyż w kościele, zawsze wydawało mi się, że Chrystus na nim jest żywy i tylko dlatego nie rusza głową, bo jest bardzo zmęczony".

Przeszła przez swoje ciemne doliny, miesiące cierpienia, śmierć ojca. Podczas modlitwy czasami czuje, że nie jest zbyt mocno związana z tym życiem. Kilkanaście lat temu złożyła prywatne śluby czystości. Ma błysk w oku, jest szczęśliwym człowiekiem.

Leszek: „Moje dzieciństwo było bardzo smutne. W 11. roku życia stwierdziłem, że nie ma Boga. W 13. zacząłem słuchać muzyki z przesłaniem satanistycznym. Miałem ołtarzyk i coś w rodzaju ziemianki, pomalowanej krwią różnych zwierząt. Potem wszedłem w tarota. Byłem nerwowy, zły. Potwornie się męczyłem. Pewnego razu wszedłem na pole namiotowe i wszyscy uciekli z krzykiem do jednego namiotu. Krzyczeli za strachu i płakali z przerażenia. Zobaczyli jakąś potworną, wielką postać. Coś demonicznego. Gdy o mało nie zostałem zmuszony przez coś, co we mnie weszło, do zamordowania mojego najbliższego kumpla, porzuciłem okultyzm, znalazłem Jezusa".

W domu Marka było bardzo biednie. Pięciu braci, mama pracowała jako salowa. Opowiada: „Wiem, co to jest głód, wiem, co to jest nie mieć butów na zimę. Jako 7-latek kradłem węgiel, żeby w domu było ciepło. Pomagałem mamie w polu, w pracach dorywczych. Ale kiedy w wieku 13 lat napiłem się alkoholu, wszystko się zmieniło. W szkole wszyscy chodzili w kapciach, ja miałem dziurawe skarpety i czułem się jak śmieć. Ale kiedy rzuciłem się po alkoholu na starszego, zacząłem coś znaczyć. Koledzy chcieli ze mną być, ze strachu. Potem był zakład poprawczy. Cały czas kradłem. Kiedy trafiłem do więzienia, poczułem się jak w domu. Grypsowałem, byłem poważany. Trafiłem na osadzonych za zabójstwo. Zrozumiałem, że napadając na ludzi, rabując, można dobrze żyć.

Nie ma znaczenia, jaką masz historię. Z każdego punktu istnieje droga na szczyt. Trzeba ratować to, co da się uratować. Trzeba szukać tego, na co można mieć wpływ

Po wyjściu z więzienia wróciłem w swoje rodzinne strony. Udawałem, że się uczę, że pracuję. Codziennie piłem i napadałem ludzi. Czułem się bezkarny, niepokonany. Agresja rosła z każdym dniem. Kiedyś w czasie libacji w kawiarni naraził mi się facet, wyprowadziłem go i zacząłem bić. Był nieprzytomny, a my go kopaliśmy i biliśmy. Zrzuciliśmy z wiaduktu, skakaliśmy po nim. Nie przeżył.

Przez pierwsze lata w więzieniu byłem z tego dumny. I z tego, że jestem bez skrupułów, bez uczuć. A tak naprawdę byłem potwornym tchórzem, który lęk zamieniał w agresję. Upadlałem ludzi ubranych lepiej od siebie, żeby pokazać, że jestem górą.

W więzieniu niszczyłem słabszych, niegrypsujących. Dokonywałem samouszkodzeń, głodowałem, wywoływałem bunty.

Kiedyś podeszła do mnie katechetka. Powiedziała: »Wiesz, Marku, ty jesteś wartościowym człowiekiem«. Gdyby nie lęk przed karą śmierci, która wtedy jeszcze była, zabiłbym ją. Upiłem się jakimś wynalazkiem. Nie mogłem znieść słów, że Jezus mnie kocha. Zrobiłem zadymę, wylądowałem w izolatce. Kiedy się obudziłem, nagi, pobity, zakrwawiony, spojrzałem na zakrwawione ręce i coś we mnie pękło. Pierwszy raz ukląkłem, sam będąc w celi, i powiedziałem: »Boże, pomóż mi, nie?«. Poczułem gorąco w całym ciele. Nie wiedziałem nawet, w czym może mi pomóc, miałem 20 lat do odsiadki, ale czułem nadzieję, że on już mi pomaga.

Nie dostałem zaostrzonego rygoru, poszedłem na mityng AA, kiedy podeszli do mnie ci, których najbardziej wcześniej

eprasa.pl ca127791e6

niszczyłem, bo chcieli coś w swoim życiu zmienić, i kiedy zrobili mi herbatę, zacząłem płakać i płakałem dwie godziny. Poszedłem do szkoły, do szóstej klasy. Skończyłem zawodówkę, chodziłem z encyklopedią. Kiedyś usłyszałem takie słowo: »de facto«, i to było dla mnie bardzo ważne. Skończyłem technikum, zrobiłem maturę. Zacząłem wychodzić na przepustki. Poznałem dziewczynę, 17-latkę, zakochałem się z wzajemnością. Musiała zostawić rodziców, żeby ze mną być. Wzięliśmy ślub, choć miałem siedem lat do momentu, w którym mogłem starać się o warunkowe zwolnienie. Dostałem ułaskawienie.

Jak ktoś mi mówi, że nie ma Boga, nie dyskutuję, ja wiem. Jezus jest dla mnie ojcem, którego nie miałem. Mam fantastyczną żonę, dwoje wspaniałych dzieci. Ale co roku przychodzi listopad, najtrudniejszy czas w roku. Myślę o człowieku, którego zabiłem i o jego rodzinie. I o moich dzieciach, którym będę kiedyś musiał odpowiedzieć na pytanie: »Tato, dlaczego?«".

Remigiusz, przedsiębiorca, opowiadał mi do kamery, że czuł pustkę w sobie, że czegoś szukał. Natknął się na medytację transcedentalną, doznania były potężne. Następnym krokiem stało się doskonalenie umysłu. Tygodniowy kurs z Lechem Emfazym Stefańskim. Uczono tam relaksacji, odprężenia, wchodzenia we własny świat, w którym Remek mógł kreować rzeczywistość. Nazywali to refugium. Napotykał tam jednak takie miejsca, które napawały go panicznym lękiem. Najgorsza była głęboka, ciemna jama, w której czaiło się zło. Ciemny dół. To miała być przestrzeń wyobraźni, ale Remek mówi, że nie miał wpływu na tę ciemną jamę. Nie chciał, żeby tam była. Ale ona istniała.

W czasie ćwiczeń trzeba było mieć duchowego przewodnika. Zaprosił więc jakąś istotę i nawet poznał jej imię. Była ubrana w średniowieczny strój mnicha, ale kiedy się odwróciła, okazało się, że pod kapturem nie ma twarzy. Po latach zobaczył rzeźbę tej potwornej postaci w jednym ze śląskich kościołów. Zrozumiał, że ona istnieje. Bo wieki temu inni ludzie również ją widzieli.

Remek leczył na odległość. Otrzymywał imię i nazwisko osoby, po czym opisywał, jak wygląda, gdzie pracuje, jakie ma choroby. Sprawdzało się to w 80 proc. Niby to wszytko działało, ale czuł się coraz gorzej. Zajął się kolejnymi technikami duchowymi. Rebirthingiem, medytacją zen, buddyzmem. Nachodziły go wtedy okropne stany lękowe, doły, depresja, paniczny strach. Po ćwiczeniach lepsze samopoczucie przychodziło na krótko, zaraz po tym następowała depresja, rozchwianie emocjonalne. Jak mówił, „te techniki działają jak narkotyk".

Skończyło się, gdy 26-letni kolega Remka zachorował na raka. Wyniszczonego, wręcz wrak człowieka, zabrał na spacer i zrozumiał, że techniki, których uczył się przez kilkanaście lat, nie pomogą wobec takiego cierpienia. Żadne afirmacje, medytacje, nic.



Miał przyjaciół, nawróconych chrześcijan, charyzmatyków, modlili się nad nim. Opowiadał tak: „Zamknąłem oczy i zacząłem Bogu wywalać żal, złość, agresję, gorycz, niecenzuralne słowa. Była to płynąca z serca modlitwa. I nagle poczułem wtedy, jak ktoś stojący z boku z własnej woli coś mi dał. Było to ciepło, pokój, było to prawdziwe przeżycie duchowe, jakich wcześniej nigdy nie miałem, pomimo tylu technik duchowych".

I piąta historia. Przed kamerą siada atrakcyjna 40-latka ze śladami ciężkich przeżyć na twarzy. Wyszła z bogatego domu. Była jedynaczką. Zawsze miała najładniejsze ciuchy, do tego ekstrasamochody, ładny dom. Nie była szczęśliwa. Została zgwałcona, gdy miała 15 lat. Potem szukała miłości wśród ludzi. W końcu trafiła na narkomana. Zaczęła brać na poważnie. Chciała zapomnieć o błocie, w jakim tkwiła, znieczulić się. Szukała kolejnych doznań. Sześciu lat właściwie nie pamięta. To był heroinowy, mocny ciąg. Sprzedawała się na ulicy. Kradła. Miała nadzór policyjny. Kilka zapaści. „Była zima, -20 st. Celsjusza, autostrada koło przejścia granicznego. Zostałam okradziona ze wszystkiego, co miałam przy sobie. Z »towaru«, z pieniędzy, z ciuchów, które miałam na sobie. Tak zostałam w nocy sama, na drodze. I chyba po dwóch godzinach, kiedy byłam bliska zamarznięcia, zawołałam do tego Boga, na którego się obraziłam po gwałcie, w akcie zupełnej desperacji: »Boże, jeśli gdzieś jesteś, gdziekolwiek, i mnie słyszysz, to przyjdź i pokaż mi, że jest inne życie«. I wyobraź sobie, że Pan Bóg przyszedł. Zatrzymał się kierowca TIR-a, zabrał mnie, była ciepła herbata, jedzenie. Potem zaprosił mnie do domu na święta. Całkowicie bezinteresowny, dobry człowiek. Dziś mam męża, trójkę dzieci. Pomagam ludziom, jestem szczęśliwa".

Nie ma znaczenia, jaką masz historię. Z każdego punktu istnieje droga na szczyt. Trzeba ratować to, co da się uratować. Na bieg zderzających się tektonicznych globalnych gier naszego świata nie mamy już wpływu. Trzeba szukać tego, na co można mieć wpływ.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ca127791e6

OGNIEM NA WPROST

Drapaty – po prostu kozak



Andrzej Rafał Potocki

Łapy Ruska już dawno sięgnęły Kenii, a teraz zaciskają się na Botswańczykach. Pojawiają się oferty dobrze – jak dla Botswańczyków – płatnej pracy w „krainie mlekiem i miodem płynącej", którą ktoś kiedyś nazwał Erefią (od RF – Rosyjska Federacja). Każdy, kto ma choć trochę pojęcia o życiu wśród troglodytów zamieszkujących moskiewską prowincję (głubinkę), wie, że Murzyn z Afryki nie znajdzie tam żadnej uczciwej, a już tym bardziej dobrze płatnej roboty. Kraj, w którym wybuchają bójki w kolejkach po benzynę, po prostu nie jest w stanie dać pracy biedakom z Afryki. Ale jest wyjątek: tłuczka na froncie z Ukrainą. I właśnie tam trafiają zwabieni podstępem Murzyni po krótkim przeszkoleniu. Padają jak muchy. Według organizacji InPact do tej pory już 316 czarnoskórych trafiło na łono Abrahama. Resort stosunków międzynarodowych Botswany ciągle otrzymuje rozpaczliwe telefony od Botswańczyków, którzy już znajdują się na linii frontu, opisujące niebezpieczne warunki, w jakich się znaleźli, jednocześnie występując z apelem do obywateli, aby przed przyjęciem ofert zatrudnienia dokładnie sprawdzali ich wiarygodność. Tonący Murzyna się chwyci.

A w Kijowie krawaciarze (Zełenski & company) szarpią się z obsadą głównych stanowisk w wojsku. Minister obrony Mychajło Fedorow w wyniku sporu z dowódcą SZU gen. Ołeksandrem Syrskim został zdymisjonowany, a to z kolei nie spodobało się społeczeństwu. Od kilku dni w Kijowie i innych miastach trwają demonstracje tysięcy ludzi przeciwko pozbawieniu Fedorowa stanowiska. Na jego miejsce Zełenski wstawił nijakiego Gienka Chmarę, do tej pory szefa ukraińskiej bezpieki (SBU). Ale „czerni" to nie uspokoiło i wścieka się coraz bardziej, bo nie cierpi Syrskiego. Aby uspokoić grę, Zełenski „zberetował" gen. Sysrkiego, ale to niewiele dało, bo tłum chce z powrotem widzieć go na stanowisku ministra obrony. W spór wmieszał się szef Sztabu Generalnego Andrij Hnatow, który wskazał, że Ukraina jest w kluczowym punkcie wojny. Wojskowy uważa, że do porażki Kijowa może się przyczynić jedna rzecz. Katastrofalny moment może nadejść, jeśli wydarzenia doprowadzą do podziału społeczeństwa. Ale Zełenski, jak widać, ma coraz większą ochotę na poszerzenie swojej władzy i przebudowuje Ukrainę pod siebie. Tylko przeciwników ma coraz więcej i cała ta zabawa może się skończyć fatalnie, o czym ostrzega szef Sztabu Generalnego.

Kim jest nowy dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, dotychczasowy szef sił połączonych, gen. maj. Mychajło Drapaty? To dowódca, który cieszy się opinią „otwartej głowy" na innowacje. Drapaty jest postacią znacznie młodszą i kojarzoną z reformami. Walczył już w Donbasie od 2014 r., dowodził siłami lądowymi, a następnie siłami połączonymi. W 2025 r. zrezygnował z dowodzenia wojskami lądowymi po rosyjskim uderzeniu na poligon. Jest postrzegany jako dowódca „żołnierski", fan dronów i bliski zdymisjonowanemu ministrowi obrony Fedorowowi. Zasłynął już jako major, dowódca szpicy, która jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny odbijała Mariupol z rąk Moskali. Sławę zdobył, pędząc z dużą prędkością swoim gąsienicowym wozem bojowym BMP-2 przez ulice miasta z ukraińską flagą przyczepioną do pancerza. Drogę zatarasowała mu barykada w poprzek ulicy. Ten tylko zwiększył prędkość i dosłownie przeleciał w powietrzu, odbijając się od przeszkody. Wylądował kilkanaście metrów dalej na asfalcie na jednej gąsienicy i pomknął dalej, ku uciesze gawiedzi (w sieci jest filmik z tej akcji). Jednym słowem – dobrze się zapowiada. No kozak.

Minister spraw zagranicznych Kremla Siergiej Ławrow, kolega Radka Sikorskiego od fajek, powiedział, że za kilka dni jest planowane jego spotkanie z szefem dyplomacji USA Marco Rubio – poinformowała Agencja Reutera. Plan spotkania potwierdził także amerykański sekretarz stanu, który powiedział, że USA szukają możliwości „odegrania konstruktywnej roli" w procesie zakończenia wojny na Ukrainie. Spotkanie ma się odbyć podczas konferencji krajów ASEAN w stolicy Filipin Manili. Ble, ble, bla, bla. Przyleciały łabędzie, nic z tego nie będzie.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ca127791e6

Michał Korsun prezentuje:
Posłanka Izabela Bodnar: rybki każdy lubi



Wycinki z przeszłości

Chrzest pod czerwonym sztandarem zamiast w kościele? Historię sensacyjnych praktyk ze Związku Radzieckiego opisywało w 1924 r. „Słowo Kujawskie". Noworodek „owinięty czerwonym sztandarem sowieckim" był zanoszony do lokalnego komisarza, a rodzice składali „uroczystą przysięgę, że dziecko będzie wychowane w zasadach komunistycznych". Popularnymi imionami były m.in.: Ninel, Lenul, Narkom, Kompart, Agitrop czy Awangard.

(sp)


SŁOWO KUJAWSKIE

Państwo i partja.

Różne.

Bolszewicka »reforma chrztu«.

Polega ona na tem, że noworodek, owinięty czerwonym sztandarem sowieckim, na rękach rodziców wędruje przed oblicze komisarza, a rodzice składają uroczystą przysięgę, że dziecko będzie wychowane w zasadach komunistycznych. Potem otrzymuje dziecko imię, ale nie jakiegoś świętego, tylko czysto bolszewickie. Najczęściej imię Lenina — Iljicz, albo imię stworzone z dowolnego zestawienia liter nazwiska Lenina, a więc Ninel, Lenul. Także i nazwiska innych wybitnych prowodyrów bolszewickich zmieniono na imiona własne. Spotykamy więc dzieci, których imiona brzmią: Zinowi, Łunaczara, Ledaw, Dierr, Eugfryda. Nie brak i takich imion jak Narkom, Kompart, Agitrop, Awangard.

Z WOLEJA

„Rzyg, rzyg, wymiot"



Ryszard Czarnecki

Wydawało się, że światowa federacja futbolowa – FIFA – organizując najbardziej komercyjny mundial (zresztą w prymitywnym wydaniu) w historii, firmując fatalne sędziowanie promujące faworytów, odwołując czerwoną kartkę dla zawodnika gospodarzy, bo tak chciał prezydent USA, i wskazując na sędziego finału kontrowersyjnego arbitra, którego główną zaletą okazuje się to, że jest rodakiem (Słoweńcem) pierwszej damy państwa gospodarza tegoż finału, sięgnęła dna. Nic bardziej mylnego. Usłyszeliśmy bowiem głośne pukanie od dna i głos: „To ja, UEFA".

Federacja europejska nie chciała być gorsza w psuciu piłki nożnej niż ta globalna. Oto bułgarscy kibice zrobili taką zadymę na wyjazdowym meczu ich klubu CSKA Sofia w Irlandii Północnej, że dzieciaki, małe „Ajrysze", musiały uciekać z trybun na murawę. I UEFA natychmiast, bo już po pięciu dniach, wymierzyła klubowi spod Witoszy karę 50 tys. euro plus koszty naprawy obiektu, plus 5 tys. euro dla jednego z bułgarskich oficjeli. Źle? Ależ dobrze. Tylko że nie lubię podwójnych standardów i oceanu eurodziałaczowskiej hipokryzji. Ta sama UEFA trzy miesiące (!) – a nie pięć dni, jak teraz – zwlekała z decyzją o ukaraniu izraelskiego klubu Maccabi Hajfa za wywieszenie transparentu odnoszącego się do Polaków, z napisem „Mordercy od 1939" na meczu z Rakowem Częstochowa. Poza szmatą oskarżającą nas o mordowanie Żydów kibice z Izraela zaprezentowali lalkę przybraną w polską flagę i imitowali uprawianie z nią seksu. Po kwartale, a nie po kilku dniach, wymierzono im karę w wysokości... 30 tys. euro. Znacznie wcześniej polskiemu Rakowowi za ten sam dwumecz wlepiono grzywnę... wyższą (!), bo 40 tys. euro. Widocznie UEFA uważa, że Słowian trzeba karać szybko i ostro, ale istnieją dla nich nacje pod specjalną ochroną.

Nic mi nie wiadomo, aby Witold Gombrowicz uprawiał sporty czy specjalnie interesował się sportem. Ale akurat cytat z jego „Operetki" pasuje do tej sytuacji jak ulał. Bohater tego dramatu, Profesor, demonstruje, że mdli go na widok establishmentu i powtarza co chwilę: „Rzyg, rzyg, wymiot". Nic dodać, UEFA, nic ująć. Rzyg.

I jeszcze wieści z innej oślej łączki. Dwie rosyjskie sportsmenki: tenisistka Kasatkina i łyżwiarka figurowa Zabijako wzięły ze sobą „ślub". „Ceremonia" odbyła się w Grecji. Bawiły się na niej m.in. dwie tenisistki z Ukrainy: Kiczenok i Starodubcewa. Oficjalnie Ukrainki nie podają Rosjankom ręki po meczu, prywatnie – świetnie się z nimi bawią. Obecne były tam wśród 40 gości, głównie Rosjan, w tym tenisistek Andriejewej i Pawluczenkowej. Sprawa się wydała i obie Ukrainki złożyły samokrytykę w iście sowieckim stylu.

Tyle o ukraińskiej sportowo-politycznej schizofrenii. Cytat z Gombrowicza też tu pasi. Po prostu rzyg.

eprasa.pl ca127791e6



OD A DO ZYBERTOWICZ

Kobieta konserwatywna

Ludzie coraz powszechniej tracą zdolność odróżniania tego, co ważne, od tego, co jedynie głośne

Patrzę na świat z perspektywy osoby, która – choć zanurzona w codzienności klasy średniej – nie przestaje analizować jego struktury.

WIDZĘ CHAOTYCZNY ŚWIAT

Moje warszawskie – od jakichś 10 lat – życie, z jego rytuałami zakupów, lektur, regularnych odwiedzin kościoła na Placu Zbawiciela oraz zawodową pracą analityczną jest tylko cienką warstwą nałożoną na głębsze procesy społeczne. A te – czuję to coraz wyraźniej – przypominają dziś ruchy tektoniczne: niewidoczne na pierwszy rzut oka, ale zdolne zmienić krajobraz w jednej chwili.

W tym felietonie próbuję uchwycić ten moment drżenia jako socjolog, który wciąż wierzy, że porządek jest możliwy, choć wymaga wysiłku. Może większego niż kiedykolwiek w przeszłości. Coraz częściej mam bowiem wrażenie, że chaos stał się nową normą.

PRZYTŁACZAJĄCA ZWYCZAJNOŚĆ

Nie chodzi tylko o globalne kryzysy czy niepewność sytuacji gospodarczej, lecz przede wszystkim o codzienny szum informacyjny, który rozprasza i odbiera klarowność myślenia. Który – tak myślę – drażni nas bardziej niż jakiekolwiek realne zagrożenie. Jako badaczka społeczeństwa widzę w tym niebezpieczną tendencję: ludzie coraz powszechniej tracą zdolność odróżniania tego, co ważne, od tego, co jedynie głośne.

Rośnie podatność na uproszczenia, emocjonalne narracje i pozorne autorytety. A przecież fundamentem zdrowej wspólnoty jest *zdolność rozróżniania*. Innymi słowy: umiejętność hierarchizowania faktów, wartości i zobowiązań.

BARDZO UGRUNTOWANA POTRZEBA

Czasem myślę, że moje konserwatywne przekonania nie wynikają z nostalgii za przeszłością, lecz z obserwacji i subiektywnego odczucia, iż człowiek potrzebuje zakorzenienia. Bez niego dryfuje, szukając sensu w przypadkowych impulsach. Widzę to wyraźnie wśród młodych, np. studentów: inteligentnych, wrażliwych, ale często pozbawionych stabilnych punktów odniesienia. W świecie, w którym każdy rzekomo może być „kim chce", coraz trudniej odpowiedzieć na pytanie, kim jest naprawdę.

To paradoks współczesności – wolność bez struktury staje się ciężarem. Ale obecnie samo pojęcie struktury też nie jest takie oczywiste. Coraz więcej kobiet deklaruje, że nie chce mieć dzieci. Czy nie bez znaczenia pozostaje to, że dziś na dziecko patrzy się jak na świadomie realizowany projekt, a nie – jak było dawniej – na naturalny proces czy dar losu, któremu trzeba sprostać?

Warszawa – miasto, które pokochałam – jest idealnym laboratorium tych przemian. Z jednej strony pulsuje energią, z drugiej – myślę, że bywa zmęczona własnym tempem.

W kawiarniach słyszę rozmowy o samorozwoju, *mindfulness*, nowych aplikacjach do organizacji życia. A jednak w tych głosach pobrzmiewa niepokój. Jakbyśmy wszyscy próbowali ujarzmić chaos za pomocą narzędzi, które same są jego częścią.

Socjolog we mnie chciałby zapytać o źródła tego lęku, kobieta i matka – o jego konsekwencje dla relacji, dla codziennych wyborów, dla poczucia wspólnoty.

ODPOWIEDŹ SUPERPROSTA

Chciałabym powiedzieć, że wciąż wierzę, iż odpowiedzią nie jest rewolucja, lecz powrót do prostych zasad: odpowiedzialności, umiaru, troski o najbliższych. Ale mam coraz więcej wątpliwości. To przecież nie są modne hasła. Jednocześnie wiem, że są to zasady w jakiś szczególny sposób trwałe, ponadczasowe.

W kulturze gloryfikującej dynamikę i nowe bodźce, celebrującej zmienność, warto przypomnieć sobie o wartościach, które nie potrzebują aktualizacji. Czyż nie w tym tkwi właśnie siła konserwatywnego spojrzenia – w przekonaniu, że nie wszystko, co nowe, jest lepsze, a nie wszystko, co stare, jest zbędne?

Patrząc na chaotyczny świat, nie czuję rezygnacji. Czuję zadanie. Socjologia nauczyła mnie, że porządek nie jest dany raz na zawsze – trzeba go nieustannie tworzyć. Moje doświadczenie kobiecości pokazało mi, że oprócz analizy i modelowania potrzebna jest również czułość.

Może więc w tym felietonie chodzi o jedno: o próbę połączenia rozumu z matczyną odpowiedzialnością, aby w świecie pełnym szumu odbudować choć odrobinę sensu.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl ca127791e6

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl ca127791e6

wPolsce 24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów



Piotr Pawelec

Marta Kielczyk

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl ca127791e6